



Ingrid Weaver

***W ZŁOTEJ
KLATCE***

Gideon Faulkner - więzień Koalicji, która pozbawiła go pamięci i dzieciństwa. Po dwudziestu trzech latach pragnie uwolnić się spod jej wpływu, by wreszcie zakosztować prawdziwej miłości

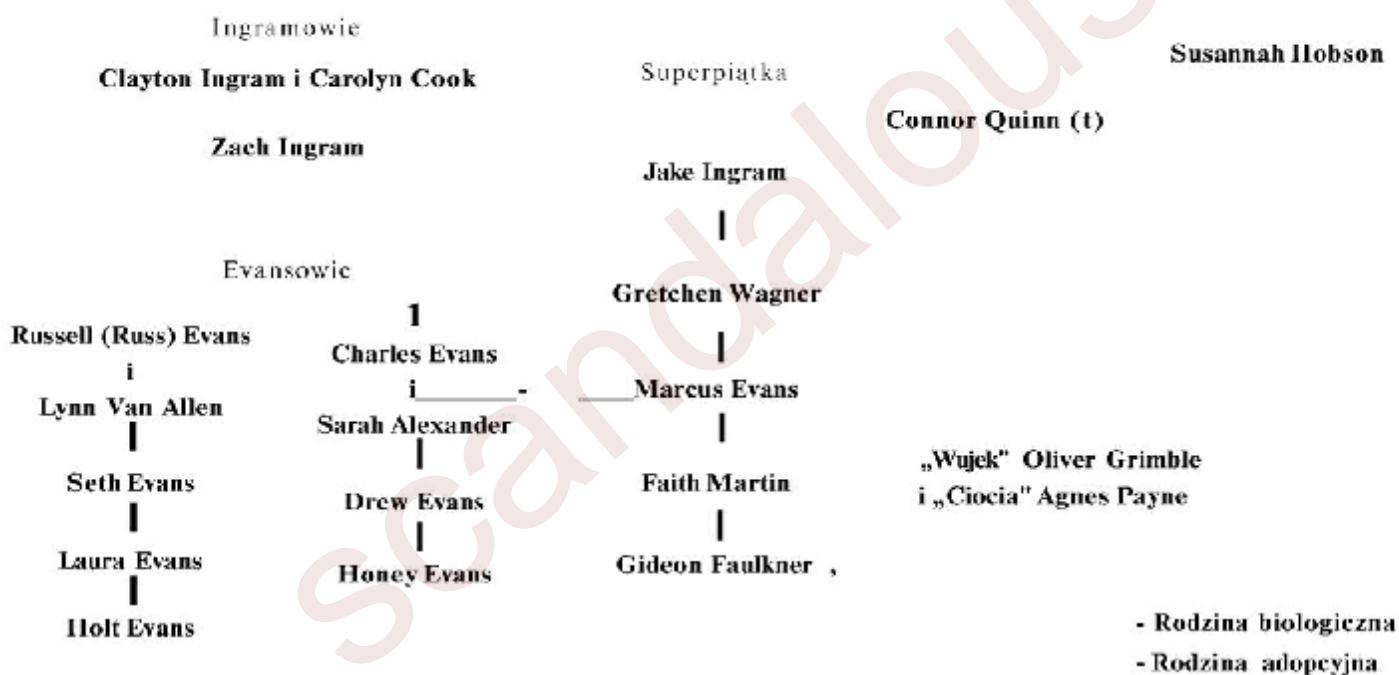
Brooke Carter - kelnerka z małego miasteczka, która traci głowę i serce dla nieznajomego. Czy ten tajemniczy, dziwnie zachowujący się mężczyzna okaże się jej księciem z bajki?

Jake Ingram - wreszcie odnalazł swe rodzeństwo, lecz czy za sukces nie przyjdzie mu zapłacić życiem?

Agnes Payne i Oliver Grimble - para bezwzględnych naukowców, którzy nie zamierzają poddać się bez walki

RODZINNE SEKRETY

Henry Bloomfield (t) i Violet Vaughn, poślubiła potem Dalca



PROLOG

Łom osunął się, rozdzierając skórzaną rękawiczkę ochraniającą dłoń mężczyzny. Ze skały buchnęły iskry. Wejście do tunelu zamknięto ponad dwadzieścia lat temu; od tamtej pory nikt tych drzwi nie otwierał. Wilgotne powietrze we wnętrzu góry sprawiło, że zawiasy dawno temu pordzewiały...

Zupełnie jak ja, pomyślał Gideon. Jestem równie pordzewiały jak ta zapomniana kupa żelastwa. Niewidoczny, pozbawiony kontaktu ze światem, ulegający powolnej samozagładzie...

- Weź się w garść! - Ponownie przyłożył łom do kamiennej ściany. - Jeszcze się nie wydostałeś, a już marudzisz.

Żelazo zazgrzytało o stal. Drzwi nawet nie drgnęły. Gideon poświecił latarką, szukając jakiejś szczeliny. Nie miał innych narzędzi, jedynie prymitywny łom oraz dłuto; tylko to mógł zdobyć bez wzbudzania podejrzeń.

Żadne materiały wybuchowe nie wchodziły w grę. Wprawdzie znajdował się dostatecznie daleko od zamieszkanym części ośrodka, aby ktokolwiek słyszał wybuch, lecz czujniki sejsmiczne zanotowałyby wstrząsy w tunelu i zaraz przysłano by kogoś na zwiady.

Nie był pewien, jak by się zachował w takiej sytuacji. Czy potrafiłby odebrać komuś życie, by ocalić własne?

Z drugiej strony, jedynie ludzie mają opory, wyrzuty, wahania, a on nie do końca jest człowiekiem.

Spojrzał na rękawiczkę - na szczęście tylko ona się rozdarła, a skóra pozostała nienaruszona - po czym ponownie zacisnął rękę na żelaznym pręcie. Dlaczego to robi? Tu, w tym bunkrze, jest bezpieczny. Cenią go. Ma ogromne mieszkanie wyposażone we wszystko, o czym można zamarzyć.

Niczego mu nie brakuje poza jednym - prawdą.

Potrząsnął głową. Człowiek figurujący na pierwszym miejscu listy najbardziej poszukiwanych przez FBI przestępców chce poznać prawdę? Co za ironia losu.

Zerknął za siebie. Tunel pogrążony był w ciemnościach. Nie szkodzi. Gideon pamiętał każdy jego szczegół. Użycie komory powietrznej oddzielającej mieszkanie od korytarza było zbyt ryzykowne, dlatego postanowił przebić się z sypialni. Zajęło mu to kilka tygodni. Potem pozostało tylko wyłączyć alarm - rzecz dziecinnie prosta, zważywszy na to, że sam go skonstruował w wieku kilkunastu lat.

Oczywiście system alarmowy służył temu, aby żaden niepożądany gość nie dostał się do środka, a nie -żeby mieszkańcy nie mogli wydostać się na zewnątrz.

Jeszcze nie jest za późno, pomyślał. Jeszcze mogę się cofnąć, zawrócić. Od ponad dwudziestu lat ten podziemny labirynt jest jego domem. Wyjście na zewnątrz, choćby na jedną noc, może się skończyć tragicznie. Prawda, której szuka, może okazać się zwykłą iluzją. Ma tylko fragmentaryczne wspomnienia jakiegoś domu nad brzegiem morza, innego lepszego świata... i innego siebie.

A jeżeli tam, na zewnątrz, nie znajdzie odpowiedzi? Lub gorzej: jeżeli nie spodoba mu się to, co odkryje?

Wzdychając ciężko, uniósł łom i wziął potężny zamach. Chwilę później stanął w nieco szerszym rozkroku, napiął mięśnie i ponownie, się zamachnął.

Tuż przy framudze odleciał kawałek skały. Potem trzy następne. Gideon wbił koniec pręta w powstały otwór i naparł z całej siły. Bolce puściły. Ledwo zdążył odskoczyć w tył, kiedy drzwi zwały się z hukiem na ziemię. W powietrze wzbiły się chmury pyłu.

Czym prędzej zasłonił twarz i wstrzymał oddech; dopiero gdy pył osiadł z powrotem na ziemi, Gideon ruszył wolno przed siebie. Nagle poczuł w nozdrzach coś dziwnego, coś zdecydowanie innego. Trochę przypominało to zapach mydła, którym się codziennie mył, a trochę zapach drewnianych regałów w bibliotece, kiedy były jeszcze nowe.

Dopiero po chwili skojarzył, że to, co wciąga w nozdrza, to zapach świeżego powietrza.

Udało się! Wydostał się na zewnątrz.

Chwyciwszy latarkę, podniósł z ziemi drzwi i wstawił je na miejsce. Ma sześć godzin, zanim ktokolwiek zauważy jego nieobecność. Powinno starczyć na pokonanie pięciu kilometrów do miasteczka i rozpoczęcie poszukiwań.

Poszukiwań prawdy, poszukiwań wspomnień. Według map topograficznych, którymi dysponował, czeka go wędrówka na przełaj

po nierównym, górzystym terenie. W porządku; byleby nie natknął się na jakieś niespodziewane...

Nagle wyrosło przed nim potężne monstrum, które zasłoniło sobą całe niebo. Gideon znieruchomiał, po czym skierował do góry promień latarki. Zobaczył łagodnie kołyszące się na wietrze gałęzie. Rozpoznał obiekt z rysunków i zdjęć, które przeglądał w książkach - było to drzewo. Świerk. No tak, faktycznie, naziemne budynki oraz cały podziemny kompleks dość szczelnie skrywał rosnący wkoło gęsty szpilkowy las.

Wyciągnął rękę, pogładził płaskie igły wilgotne od unoszącej się w powietrzu mgły, a potem, ślizgając się po porastającym ziemię mchu, zbliżył się do pnia. W nozdrza wdzierał mu się intensywny zapach mokrego podszycia. Poprzez cieniutką kożłecą skórę rękawiczki zaczął badać korę.

Czas jest na wagę złota. Gideon wiedział, że nie powinien tracić cennych minut na głupstwa. W końcu to jest zwykły świerk. Nic szczególnego.

Zacisnął powieki. Nic szczególnego? Psiakrew! Ma przed sobą prawdziwe drzewo, a nie zdjęcie w książce lub obraz na monitorze. Po raz pierwszy w życiu dotyka kory, wacha igły, słyszy szum gałęzi kołyszących, się na wietrze...

Czy na pewno po raz pierwszy?

Gdzieś w zakamarkach umysłu snuły mu się mgliste wspomnienia. Czuł na twarzy muśnięcia wiatru, ale tamten wiatr nie

pachniał lasem; pachniał solą i morzem. Jego szumowi towarzyszył huk rozbryzgujących się fal, a z nieba lał się żar...

Raptem wspomnienie zgasło, rozplynęło się. Gideon ostatni raz pogładził drzewo i rozpoczął podróż.

Scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Brooke zauważyła go, gdy szedł przez pusty parking. W blasku świątecznych lampek zawieszonych wokół okna ubrana na czarno postać wyglądała jak demoniczna zjawa.

Dziewczyna, która stała z ręką na tabliczce „Otwarte”, zamierzając ją obrócić na drugą stronę, nagle zawahała się. Musi być zmęczona, skoro takie pomysły przychodzą jej do głowy. Facet nie jest żadną zjawą; przypuszczalnie jest drwalem, który czeka na okazję, by zabrać się do domu.

W Highway Grill często zatrzymywali się kierowcy ciężarówek, żeby coś przekąsić, i chętnie zabierali autostopowiczów. Ale dziś ruch był mały. Jeśli facet na parkingu liczy na to, że go ktoś podwiezie... Cóż, może mu szczęście dopisze, choć mała szansa.

Dosłownie parę minut temu mgła, która przez cały wieczór wisiała nad miastem, ustąpiła i zaczął prószyć gęsty śnieg. Dziewczyna chciała zamknąć lokal trochę wcześniej niż zwykle, ale jeżeli nieznajomy na par-, kingu ma zamiar wejść do środka i się ogrzać, nie może go nie wpuścić.

Mężczyzna uniósł głowę; był na tyle blisko, że wyraźnie widziała jego twarz w świetle palącej się nad drzwiami lampy. Wirujące śnieżynki osiadały mu na czole, topniały na policzkach. Wysunawszy język, mężczyzna oblizał wargi, jakby sprawdzał smak białych płatków.

Ten niewinny gest miał w sobie coś tak niesamowicie zmysłowego, że dziewczynę przeszył dreszcz.

Wtem zamyśliła się: on zlizuje śnieg. Czy tak bardzo jest spragniony, czy raczej niespełna rozumu?

Obserwowała go przez szybę. Zdjął rękawiczki i wyciągnął przed siebie ręce. Rękawy i ramiona czarnego palta powoli pokrywały się bielą, podobnie jak włosy. On jednak nie zwracał na to uwagi, tylko z zafascynowaniem przyglądał się płatkom śniegu, które topiły się na jego dłoniach.

Restauracja Highway Grill znajdowała się za miastem, w miejscu dość odosobnionym. Nigdy to Brooke nie przeszkadzało; przeciwnie, uważała, że dzięki temu Frankowi trudniej będzie ją odnaleźć. Owszem, czasem musiała opędzać się od zaczepek podrywaczy, ale z tym umiała sobie radzić. A kłopoty? Odkąd cztery lata temu zaczęła pracować w Grillu, może z pięć razy jakiś pijaczyna nie chciał zapłacić rachunku i ze dwa razy niedźwiedź z pobliskich gór buszował w śmietnikach na zapleczu.

Dziś było wyjątkowo pusto. Ostatni klient wyszedł dziesięć minut temu. Cheryl, druga kelnerka, wyjechała do rodziny na święta, a Mabel, właścicielka lokalu, wzięła wolne popołudnie i wieczór, by obejrzeć wnuki w przygotowanym przez szkołę świątecznym przedstawieniu. Jediną osobą w polu widzenia był stojący za drzwiami obcy, który zachowywał się tak, jakby po raz pierwszy w życiu oglądał śnieg.

Brooke zacisnęła rękę na zasuwie, wahając się, czy jednak nie zamknąć lokalu, kiedy nagle mężczyzna obrócił się w jej stronę. Poprzez szybę w drzwiach i wirujące w powietrzu płatki napotkała jego wzrok.

Boże, jak można się bać kogoś takiego? - pomyślała. Miał spojrzenie zagubionego dziecka, kogoś, kogo wszyscy opuścili. Na widok bezbrzeżnej samotności wyzierającej z jego oczu Brooke cofnęła rękę od zasuwki i zanim uświadomiła sobie, co robi, wyciągnęła ją do obcego.

Mężczyzna zamrugał, przybierając neutralny wyraz twarzy. Spojrzenie zagubionego dziecka znikło. Przyglądając się badawczo Brooke, włożył z powrotem rękawiczki.

Ona zaś, zawstydzona swym spontanicznym gestem, odeszła parę kroków od drzwi, by mężczyzna mógł swobodnie wejść do środka. Rany boskie, co ją napadło? Spojrzenie zagubionego dziecka? Albo jest bardzo zmęczona, albo brakuje jej piątej klepki.

Mężczyzna odczekał, aż znalazła się na środku sali, i dopiero wtedy pchnął drzwi. Na dźwięk dzwonka przystanął w progu, po czym odsunął się na bok i spoglądając do góry, patrzył, jak zamykające się drzwi trącają zawieszony nad nimi dzwonek. Miał taką minę, jakby proste urządzenie sygnalizujące wejście gościa było czymś nadzwyczajnym.

Brooke wytarła dłonie o fartuch i skierowała się za ladę. Nerwowo zastanawiała się, co powiedzieć.

- Śnieg długo nie poleży - oznajmiła w końcu. Mężczyzna zerknął na swoje palto.

- Już się topi - stwierdził głębokim głosem.

Stukając obcasami o podłogę, przeszedł koło stojących wzdłuż ściany stolików; mijając je, ręką w rękawiczce gładził lśniące sosnowe blaty, a jednocześnie bystrym wzrokiem rozglądał się dookoła.

Jak mogła dojrzeć w nim cokolwiek z dziecka? Jest stuprocentowym facetem o szerokich ramionach, pociągłej twarzy i twardym, doskonale umięśnionym ciele.

- Chodziło mi o śnieg na dworze - wyjaśniła. - Zresztą w radiu mówili, że meteorolodzy nie przewidują większych opadów.

Przechylił w bok głowę. Z głośników na ścianie płynęła muzyka country.

- Czekasz, żeby cię ktoś podwiózł? - spytała Brooke. - A ty?

- Ja? No nie.

- Pracujesz tu?

Jego pytania wydawały się jej dziwne. Niby logiczne, ale...

- Tak - odparła. - Napijesz się kawy? - Stanąwszy za ladą, wskazała szklaną gablotę. - Do północy, kiedy zamykam, zostało jeszcze sporo czasu, więc jeśli masz ochotę na kawałek świeżutkiego placka... Jest jagodowy, bakaliowy i czekoladowy.

Mężczyzna podszedł bliżej i z powagą, jakby wybór placka był sprawą życia lub śmierci, wpatrywał się w gablotę. Obserwując go spod oka, Brooke uświadomiła sobie, że facet nie może być drwalem. Miał na sobie płaszcz z najlepszej jakościowo wełny, który jej

zdaniem kosztował majątek. Z kolei za skórzane rękawiczki przypuszczalnie zapłacił więcej niż ona za swoją puchową kurtkę. Jego gęste czarne włosy były zaczesane do tyłu i związane w kucyk. Rozpuszczone pewnie opadałyby na ramiona.

Z reguły Brooke nie lubiła długich włosów u mężczyzn, ale do tego pasowały. Gdyby jeszcze miał kolorową opaskę na czole i złoty kolczyk w uchu, wyglądałby jak najprawdziwszy pirat. Pirat, który zlizuje z warg śnieg? Ho, ho!

Za bardzo puściła wodze fantazji. Zresztą wielu mężczyzn czesze się w ten sposób, nawet poważni naukowcy pracujący w instytutach badawczych na obrzeżach miasta.

No tak; wszystko jasne. Gładka, nieopalona skóra, świetnej jakości odzież, ekscentryczne zachowanie - to by pasowało do kogoś, kto całe dni spędza w laboratorium. Biedacy rzadko wychodzą na zewnątrz.

Może rzadko wychodzą na dwór, ale sądząc po sprężystych ruchach, mężczyzna często odwiedza siłownię. Z każdego kroku, jaki robił, biła siła. Przypominał groźne zwierzę, które krąży po klatce, sprawdzając jej wielkość.

Brooke nalała kawy.

- Proszę - rzekła, przesuwając kubek w stronę gościa. - Na koszt firmy.

Przyglądał się parującemu napojowi w ten sam sposób, w jaki przed chwilą przyglądał się plackom.

- Nie, dziękuję - oznajmił. - Nie mam czasu. Wszedłem tylko spytać o drogę...

- Do Redcomu czy do Tabera? Uniósł zdziwiony brwi.

- Brawo. Jak na to wpadłaś?

- To proste, mój drogi Watsonie. - Uśmiechnęła się. - Wyglądasz na człowieka, który zarabia na życie głową, a nie rękami. Pomyślałam więc sobie, że pewnie szukasz któregoś z tych instytutów badawczych. Jesteś tu nowy?

- Po raz pierwszy jestem w tych stronach... Szukam Taber Aviation.

- Myślałam, że wszyscy wyjechali na święta.

- Ktoś na pewno został na straży. Możesz mi powiedzieć, jak się tam dostać? Mapa, którą mam, jest chyba nieaktualna.

- Nic dziwnego. Władze miasta od wielu miesięcy przebudowują starą szosę. W każdym razie zignoruj tablice pokazujące objazd i trzymaj się starej szosy. Ona cię doprowadzi do tartaku. Jakieś pół kilometra za nim skręcisz w pierwszą w prawo. Tabera nie sposób przeoczyć. Na trawniku przed budynkiem stoi wielki silnik odrzutowy.

- Dzięki.

Brooke wyjrzała przez okno na pusty parking. - Przyszedłeś pieszo? Pewnie samochód ci się zepsuł? Jeśli chcesz wezwać holownika albo taksówkę, to na ścianie przy drzwiach wisi telefon.

- Nie, nie warto. Spacer dobrze mi zrobi. Przeniosła spojrzenie na mężczyznę. Pewnie mieszka w jednej z tych luksusowych

rezydencji na wzgórzu. Tylko wysoko kwalifikowanych naukowców jest na nie stać.

Odwrócił się do wyjścia, po czym nagle się zawahał.

- Dlaczego nazwałaś mnie Watsonem?

- Sherlock Holmes.

- Tak też się nie nazywam.

Roześmiała się, sądząc, że mężczyzna żartuje. Spowaźniała po chwili, gdy zauważyła, że on wciąż obserwuje ją w skupieniu.

- Wiem. To bohater powieści sir Arthura Conan Doyle'a - wyjaśniła.

- Nie znam jego twórczości.

- Holmes to detektyw o analitycznym umyśle, a Watson to jego wspólnik.

- Aha - szepnął, unosząc ku górze kąciki warg. Tak jak wtedy, gdy zlizywał z ust płatki śniegu, dziewczyna poczuła, jak przeszywa ją dreszcz.

Dlaczego? Co takiego miał w sobie? Wielokrotnie odrzucała zaloty znacznie przystojniejszych mężczyzn. Nie żeby ten był nieatrakcyjny; zresztą wcale się do niej nie zalecał. Odkąd wszedł do restauracji, starał się zachować pomiędzy nimi odległość co najmniej trzech metrów. Nawet nie chciał skosztować ciasta.

Przełała kawę, której nie tknął, do styropianowego kubka, nałożyła plastikową pokrywkę, po czym wyszła z za lady.

- Weź na drogę - powiedziała. - Jeśli nie lubisz kawy, przynajmniej ogrzejesz sobie ręce.

Wstrzymał oddech. Po chwili wyciągnął rękę. Biorąc kubek, niechcący otarł rękawiczką o jej palce.

Zaskoczyła ją cieniutka, gładka jak jedwab skóra. Dotyk był lekki niczym muśnięcie wiatru, i trwał ułamek sekundy.

- Dziękuję.

Chciała coś powiedzieć, lecz głos uwiązł jej w gardle, albowiem neutralny wyraz twarzy, jaki mężczyzna przybrał jeszcze za drzwiami lokalu, nagle znikł. Z jego oczu znów wyzierała straszliwa samotność.

To nie jest iluzja, podobnie jak muśnięcie skórzaną rękawiczką. Mężczyzna przyglądał się jej z takim zafascynowaniem, jak wcześniej padającym z nieba płatkom śniegu. Jakby ją też chciał polizać, sprawdzić, jak smakuje. Wręcz pożerał ją wzrokiem. Widziała to i czuła. Ale było to coś znacznie głębszego niż zwykłe pożądanie, raczej tęsknota za drugim człowiekiem, pragnienie kontaktu z żywą istotą.

Gideon cofnął się o krok. Obraz dziewczyny zaczął mu się zamazywać. W jego głowie pojawił się inny obraz. Czuł zapach morza, dotyk piasku pod stopami oraz ciepło - ciepło promieni słonecznych i ciepło płynące z... dobroci.

Hm, nigdy dotąd nie doświadczył dobroci, więc jak mógł ją rozpoznać? Koalicja ceniła siłę; dobroć uchodziła za oznakę słabości.

Ciągnęło go do ciepła, do tej obcej dziewczyny, która troszczy się o to, by nie zmarł.

Wtem kubek wysunął mu się z rąk. Ocknąwszy się z zadumy, odskoczył, zanim gorący płyn zdążył ochlapać mu nogi. Niestety,

pośliznął się na gładkiej posadzce i wpadł na stół. Ten przewrócił się, ciągnąc za sobą krzesło.

Gideon pokręcił głową. Całymi tygodniami nie nawiedzały go żadne dziwne obrazy ani wspomnienia, a dziś zdarzyło się to już dwukrotnie. Najpierw wywołał je widok drzewa, a teraz ta dziewczyna, jej uśmiech i serdeczność. Boże, gdyby tylko wiedziała...

- Ojej, nic ci nie jest?

Cofnął się pośpiesznie, zanim podeszła zbyt blisko.

- Nie. Bardzo przepraszam. Ja... - Był przyzwyczajony do kłamstw, ale czuł opór przed okłamywaniem tej dziewczyny.

Co jednak mógł powiedzieć, by nie wzięła go za wariata? Czy pomogłaby mu, gdyby się przyznał, że dzięki niej ujrzał obrazy ze swojej przeszłości?

- Pośliznąłem się - rzekł. - Zaraz posprzątam.

- Lepiej usiądź - powiedziała, stawiając krzesło - a ja pójdę po wiadro i szczotkę. - Ruszyła w stronę wahadłowych drzwi prowadzących na zaplecze.

Gideon odprowadził ją wzrokiem. Miała na sobie dzinsową spódnicę, z przodu osłoniętą krótkim białym fartuszkim, oraz sweter w tym samym odcieniu co mech, który rósł pod drzewami. Pasma loków mieniające się kolorami jesieni - czerwienią, brązem, złotem - opadały jej na plecy. Przez chwilę, gdy podbiegła do niego zaniepokojona, czuł zapach jej skóry, czysty i świeży jak płatki śniegu wirujące w mroku.

Zgarnął z podłogi pusty kubek, podniósł przewrócony stół, po czym pogładził ręką gładki blat. Bombardowały go dziesiątki myśli, dziesiątki wrażeń; zbyt wiele musiał przetrwać naraz. Wiedział, że opuszczenie podziemnego ośrodka będzie stanowiło wyzwanie, ale nie spodziewał się, że aż tak wielkie.

Znalazł się w realnym świecie, gdzie wszystko jest prawdziwe. W świecie, który dotąd znał jedynie w teorii, a teraz miał okazję poznać w praktyce. Książki nie przygotowały go na to spotkanie.

Dziewczyna wróciła z wiadrem i mopem. Policzki miała zarumienione.

- Nawet lepiej, że ją rozlałeś, bo by cię pewnie zabiła.

Poderwał się na nogi.

- Kto? Co?

- Ta kawa. Od dwóch godzin bulgotała na grzejniku.

Uświadomił sobie, że dziewczyna żartem usiłuje pokryć zmieszanie. Ale miała rację. Gdyby niechcący dotknęła palcami brzegu kubka, a on przyłożyłby tam usta, faktycznie mógłby umrzeć.

Postawiła wiadro na podłodze i zmarszczyła czoło.

- Usiądź. Jesteś bardzo blady...

Jej troska była jak balsam na jego serce.

- Wbrew temu, co myślisz, czuję się świetnie. Od lat nie czułem się tak dobrze.

- Pokręciła z niedowierzaniem głową.

- Zmęczenie różnie się objawia. Często w sposób najmniej oczekiwany. Powiedz, długo jesteś w drodze?

- Trudno się mierzy czas, kiedy każde kolejne doświadczenie jest tak... emocjonujące.

- Nie rozumiem.

Zdał sobie sprawę, że musi się bardziej starać, jeśli chce uchodzić za normalnego człowieka. Nie było to łatwe, zważywszy, że nigdy dotąd nie prowadził z nikim zwyczajnej rozmowy. Wyklócał się, spierał, stawiał żądania, ale nie rozmawiał. Po raz pierwszy w życiu miał do czynienia z kimś, kto niczego od niego nie chce. Z kimś, czyja obecność przejmuje go miłym dreszczem.

Przez chwilę Brooke uważnie mu się przyglądała, po czym wzięła się do pracy. Zanurzyła mop w wodzie, następnie wcisnęła go w specjalnie urządzenie, by pozbyć się nadmiaru wody, a dopiero potem zaczęła myć podłogę.

Gideon z zaciekawieniem śledził jej ruchy. Dla własnego bezpieczeństwa zawsze przechodził gdzie indziej, kiedy ekipa, sanitarna czyściła pomieszczenia w podziemnym kompleksie. Dlatego nigdy nie widział, jak to się odbywa; zresztą nigdy go to nie interesowało. Ale teraz zaciekawił go mop z wyżymaczką... Wspaniałe urządzenie, równie genialne w swej prostocie co dzwonek nad drzwiami.

- Pozwól - rzekł, zaciskając palce na długim trzonku.

Zaskoczona, posłusznie oddała mu mop.

- Nie musisz tego robić, Watsonie - powiedziała. - I tak zawsze sprzątam po zamknięciu lokalu.

- Gideonie.

- Słucham?

- Mam na imię Gideon. - Wytarł ostatnie krople kawy, po czym spostrzegł na podłodze brudne ślady, jakie zostawił, kiedy wszedł z dworu, i je również wytarł. - Jeszcze raz przepraszam za moją niezdarność.

- Nic się nie stało.

- Brzydko się odpłaciłem za twoją serdeczność, Brooke.

- Skąd znasz moje imię? - zdziwiła się. Odstawiwszy wiadro z mopem, wskazał na przypiętą do fartuszka małą metalową plaketkę.

- To proste, mój drogi Holmesie. Uśmiechnęła się, a jego znów zalała fala ciepła.

A potem pomyślał sobie: ciekawe, czy uśmiechałaby się tak przyjaźnie i promiennie, gdyby wiedziała, z kim ma do czynienia?

ROZDZIAŁ DRUGI

- Mam nadzieję, że go złapią, zapudłują, a klucz od celi wrzucą do rzeki. - Poprawiwszy okulary na nosie, Mabel MacKenzie, właścicielka Highway Grill, złożyła na pół gazetę. - Minęło już prawie dziewięć miesięcy, odkąd ten drań Achilles obrabował Bank Światowy, a fundusze, w które zainwestowałam swoje oszczędności, dopiero teraz zaczynają wskazywać tendencje zwyżkowe.

Jak zwykle siedziała przy stole na samym środku kuchni, by mieć lepszy dostęp do padającego z góry światła. Brooke podejrzewała, że jej szefowa potrzebuje mocniejszych okularów, lecz jest zbyt leniwa, aby wybrać się do okulisty, i zbyt uparta, by się do tego przyznać.

- Nie powinnaś czytać części finansowej tak wcześnie rano - oznajmiła dziewczyna, wyjmując z pieca ostatni placek. - To źle wpływa na ciśnienie.

- Czytałam pierwszą stronę, a nie część finansową. FBI twierdzi, że lada dzień złapie tego drania. - Mabel rzuciła gazetę na blat, wzbijając w powietrze tumany mąki. Pomachała ręką, usiłując odgarnąć sprzed twarzy biały pył, po czym postukała palcem w artykuł. - Najwyższy czas - mruknęła. - Z naszych podatków dostają pensje, a ruszają się jak muchy w smole. Przecież kradzież była w kwietniu! Już sama nie wiem, kto jest większym złodziejem, Achilles czy rząd.

Brooke położyła placek obok innych, które już stygły, i zerknęła do gazety. Wiadomości dotyczące skoku na Bank Światowy wciąż trafiały na pierwsze strony, mimo że od wydarzenia minął prawie rok. Ale nic dziwnego; suma wyprowadzona przez człowieka zwanego Achillesem była po prostu porażająca - ponad trzysta pięćdziesiąt miliardów dolarów. Kradzieży dokonano drogą elektroniczną, czyli obyło się bez ofiar w ludziach. Niestety, skutki ekonomiczne odczuwane były do dziś.

W wyniku kradzieży inwestorzy spanikowali, akcje na giełdzie zaczęły spadać na łeb na szyję, zawaliły się fundusze emerytalne tysięcy osób, wiele firm zbankrutowało. Mabel straciła większość swych oszczędności; nie dałaby rady utrzymać Highway Grilla, gdyby nie Brooke, która za możliwość korzystania po godzinach z restauracyjnej kuchni, by prowadzić własny interes, zgodziła się na znaczną obniżkę pensji.

Brooke zawsze marzyła o tym, by otworzyć cukiernię, ale plany musiała odłożyć na później. Wszystkie pieniądze, jakie miała na koncie, straciła wiosną, kiedy padł Savings and Loan Bank w Redemption. Sprzedając wypieki, które powstawały w kuchni Highway Grilla, liczyła na to, że pozyska grono wiernych klientów i zacznie na nowo gromadzić kapitał. Tak też się stało. Mimo trudnych czasów ludzie chętnie kupowali jej pyszne ciasta.

- Nie podali żadnych nowych informacji - stwierdziła, przebiegłszy wzrokiem treść artykułu.

- Masz rację. - Mabel ponownie chwyciła gazetę. - To zwykła propaganda rządowa. Rzucają nam okruchy, żebyśmy nie zaczęli protestować. Banda niekompetentnych głupców. Gdybym zarządzała Grillem tak jak oni rządzą krajem, po tygodniu poszłabym z torbami.

Brooke popatrzyła z sympatią na starszą kobietę. Od pierwszego dnia Mabel była dla niej bardziej przyjaciółką niż szefową. Przyjęła ją pod swój dach, nakarmiła i nie zadając żadnych pytań, przygotowała kompres na jej liczne sińce. Otwarcie przyznawała się do tego, że jest uparta, próżna i wszystko wie najlepiej. Nie lubiła okazywać emocji, a gdy dokuczał jej artretyzm, stawała się drażliwa i nadmiernie wymagająca. Ale Brooke przychyliłaby jej nieba.

Cmokając z niezadowoleniem, Mabel strzepnęła ze spódnicy cieniutką warstwę mąki. Jak na sześćdziesięciodwuletnią kobietę miała niewiarygodnie zgrabne nogi, z czego doskonale zdawała sobie sprawę. Cienkie czarne pończochy oraz buty na ośmiocentymetrowych obcasach jeszcze bardziej je wydłużały. Była siwa. Włosów nie farbowała; nosiła je krótko obcięte, zaczesane do tyłu. Zęby miała duże, jeszcze bielsze od włosów. Kiedy się uśmiechała, bardziej przypominała wilka niż babcię.

- Co się tak uśmiechasz? - Zerknęła na Brooke.

- Bez powodu - odparła dziewczyna. - Po prostu myślę o tym, jak świetnie wyglądasz. Zazdroszczę ci figury. Ja bym nie mogła nosić tak opiętych ubrań. Powiedz, jak to świąteczne przedstawienie, na które się wybrałaś?

- Próbujesz zmienić temat, a ja się jeszcze nie rozkręciłam.

Właśnie chciałam cię uraczyć jedną z moich tyrad.

- Na temat podatków, rządu czy Achillesa?

- Najchętniej na wszystkie trzy. Psiakrew, stawy mnie bolą; ta pogoda mnie wykończy. - Westchnąwszy ciężko, założyła nogę na nogę. - A przedstawienie było cudowne. Sherry wystąpiła w roli aniołka, Jonathan zaś w roli jednej z owieczek. Oboje spisali się na medal.

- Oczywiście. Przecież to twoje wnuki. Masz może zdjęcia?

Mabel zahaczyła czubek cyklamenu buta o pasek torebki i uniosła ją z podłogi.

- Wiedziałam, że będziesz chciała obejrzeć. - Postawiła torebkę na kolanach. - Zaraz zobaczysz, jakie Sherry miała upierzone skrzydła...

Brooke wytarła ręce i podeszła do Mabel. Zdjęcia przedstawiały gromadę przejętych dzieci w kostiumach oraz zdenerwowanych rodziców. Podobnie jak reszta kraju, miasteczko Redemption powoli zaczynało odżywać po kryzysie spowodowanym rabunkiem w Banku Światowym, ale jeszcze w tym roku w większości domów prezenty pod choinką będą skromne.

- Dzięki, że zostałam wczoraj na posterunku - rzekła Mabel, chowając zdjęcia do torebki. - Inaczej ominęłoby mnie przedstawienie. - Zeskoczyła ze stołka. - Swoją drogą, jak było? Spokojnie?

- Bardzo.

- Tego się spodziewałam. I co, zamknęłaś wcześniej?
 - Prawie.
 - Hm, ale pysznie pachną. - Mabel schyliła się, by powąchać świeżo upieczone placki. - Najbardziej lubię bakaliowy, ale po bakaliach cierpię na niestrawność.
 - Jutro upiekę babeczki z kremem waniliowym. Spodobają ci się.
 - Dobra, dobra, jeszcze trochę, a będę musiała poluzować w pasie spódnicę. Co to znaczy, że prawie zamknęłaś wcześniej?
 - W ostatniej chwili pojawił się człowiek, który chciał spytać o drogę. Wyszedł dopiero koło północy.
 - Człowiek pytający o drogę? No proszę, co za atrakcja.
 - Wiesz, to było dziwne...
- Poważniejąc, Mabel uniosła głowę i popatrzyła badawczo na swoją młodą przyjaciółkę.
- Co się stało? - spytała.
 - Właściwie to nic. Byłam zmęczona, więc może dlatego facet wydał mi się taki dziwny.
 - Jeżeli cokolwiek wzbudziło twój niepokój, powinnaś była od razu zadzwonić do Trevora. Przyjechałby w mig.
 - Nie miałam powodu alarmować policji.
 - Trevor by się tylko ucieszył. Wszystko jedno, czy zadzwoniłabyś do niego z powodem czy bez. Przecież wiesz.
 - Wiem. Wszyscy w miasteczku wiedzą.
 - Och, nie narzekaj. Można trafić znacznie gorzej.
 - I komu to mówisz? - W głosie Brooke zabrzmiała gorzkość.

- Kochanie, minęły już cztery lata. Nie wszyscy faceci są tacy jak Frank.

- Wczorajszy klient też nie był jak Frank, dlatego nie wzywałam pomocy. - Brooke zaczęła sprzątać ze stołu. - Wybierał się do Taber Aviation. Wszyscy ci naukowcy są trochę pokręcani.

- Ha!

Brooke przycisnęła dłonie do policzków.

- Boże, Mabel! Zupełnie jakbym słyszała babcię mojej sąsiadki! Staruszka...

- Babcię, powiadasz? Próbujesz mnie rozzłościć, żebyś mogła zmienić temat.

To prawda, pomyślała dziewczyna. Nie chciała rozmawiać ani o Trevorze, ani o wczorajszym nieznanym. Gideonie. Żałowała, że w ogóle wspomniała o jego wizycie.

Właściwie nic takiego się nie wydarzyło. Facet wszedł do lokalu, spytał o drogę do Tabera, ona mu wytłumaczyła, jak tam dotrzeć, on upuścił kubek, wylewając kawę, potem pomógł jej wytrzeć podłogę i wyszedł. To wszystko.

Nie chciała się przyznać Mabel, że odprowadzała go wzrokiem, dopóki nie znikł za zakrętem; że jadąc do domu, rozglądała się, czy przypadkiem go gdzieś nie zobaczy; że myślała o nim, zasypiając, i że przyśnił się jej nad ranem.

Nie potrafiła zapomnieć wyrazu osamotnienia, jakie ujrzała w jego oczach. Osamotnienia, które zdawało się z niego emanować. Może Gideon zachowywał się trochę nietypowo, ona jednak czuła, że

coś się za tym kryje. Tak, wczorajszy gość wywarł na niej ogromne wrażenie.

Mabel zacisnęła rękę na jej ramieniu.

- Złotko, zrób sobie dziś wolne. Ledwo trzymasz się na nogach. Wstajesz o świcie, żeby zdążyć z zamówieniami świątecznymi, potem cały dzień obsługujesz gości...

- E, bez przesady, nic mi nie będzie. Zresztą teraz, kiedy Cheryl wyjechała, masz za mało rąk do pracy.

Poza tym może Gideon znów się pojawi, pomyślała. Zaskoczyło ją, że tak bardzo pragnie go ujrzeć.

Gideon odwrócił się w stronę kamery zamontowanej na suficie w sypialni - lata wprawy w ukrywaniu uczuć pozwoliły mu zachować neutralny wyraz twarzy - przybrał tę samą pozycję co na taśmie, po czym policzył do pięciu. Idealnie. Taśma, która przedstawiała go, jak śpi, leciała przez całą noc. Teraz spreparowane nagranie się skończyło i kamera zaczęła przekazywać prawdziwy obraz.

Gideon przeciągnął się leniwie, jakby rozkoszował się, dotykiem satynowej pościeli. W tym samym momencie z głośników w ścianie popłynęła muzyka - dziś akurat nokturn Chopina. Przez chwilę leżał bez ruchu, zasłuchany, jakby zbierał w sobie siły do wstania. W rzeczywistości usiłował spowolnić bicie serca.

Tej nocy w ogóle nie zmrużył oka. Dotarł do wylotu tunelu zaledwie kwadrans przed upływem sześciu godzin, jakie przeznaczył na swoje pierwsze wyjście z podziemnego świata. Włączył z powrotem system alarmowy, po czym biegiem ruszył do części

mieszkalnej. Wszystko razem zajęło mu trochę dłużej, niż się spodziewał.

Nie, czas wyliczył dobrze. Po prostu chodzi o nadmiar wrażeń. Był tak oszołomiony tym, co ujrzał na zewnątrz, że zwyczajnie w świecie nie ciągnęło go domu.

Ale jeśli chciał żyć, musiał wrócić. Nie miał wyboru.

Przetoczywszy się na brzeg łóżka, spuścił nogi i usiadł. Ruch spowodował włączenie się światła. Gideon zerknął szybko w bok, sprawdzając, czy spod czarnej aksamitnej narzuty nigdzie nie wystaje plastikowa płachta zasłaniająca wejście do tunelu, następnie sięgnął po leżący nieopodal jedwabny szlafrok.

- Dzień dobry, Gideonie. - Z głośników, na tle muzyki Chopina, rozległ się chrapliwy głos Agnes.

Agnes Payne i jej mąż Oliver Grimble zastępowali Gideonowi rodziców. Od najwcześniejszych lat troszczyli się o jego zdrowie oraz wykształcenie. Przez jakiś czas Gideon łudził się, że naprawdę są jego ojcem i matką, ale Agnes szybko wyprowadziła go z błędu. Ani ona, ani Oliver nie byli dawcami materiału, z którego go wyprodukowano.

Miał dawców, nie rodziców. Urodził się w wyniku doświadczenia naukowego polegającego na manipulacji genetycznej. Poczęty został w probówce, trzydzieści trzy lata temu, podczas finansowanych przez CIA tajnych badań o nazwie Proteusz.

Innymi słowy, nie był stuprocentowym człowiekiem, dlatego nie pamiętał swojego dzieciństwa. Jego najwcześniejsze wspomnienie pochodzi z okresu, gdy miał dziesięć lat: otumaniony, straszliwie

obolały, leży w sali pełnej sprzętu medycznego. Cudem przeżył; uratowała go błyskawicznie przeprowadzona operacja, w trakcie której wyjęto mu z serca kulę.

Wciąż miał na piersi bliznę - pamiątkę po nocy, kiedy rząd zdecydował o likwidacji programu Proteusz.

Włożył szlafrok i obwiązał się paskiem - nie po to, by zakryć nagość, lecz po to, by chwilę dłużej móc w spokoju pomyśleć. Kamery w mieszkaniu teoretycznie zostały zamontowane dla jego bezpieczeństwa: gdyby nagle zaniemógł, ktoś mógłby natychmiast wciągnąć kombinezon, przejść przez komorę powietrzną i zaaplikować mu leki lub służyć inną pomocą. Jako nastolatek traktował ten stały nadzór jako rzecz konieczną; nie protestował, bo nie znał innego życia. Później jednak uświadomił sobie, że nieustanna obserwacja, jakiej był poddawany, służy również innym celom.

Póki Koalicjanci śledzili jego ruchy, byli pewni, że mają go pod kontrolą. Zresztą nigdy nie dał im powodu, aby zaczęli kwestionować jego lojalność. Dlaczego miał-by być wobec nich nielojalny? Przecież uratowali go, kiedy rząd chciał go wyeliminować z gry. Stworzyli mu odpowiednie warunki do tego, aby prawidłowo funkcjonował, dawali mu zmodyfikowaną genetycznie żywność, dostarczali stymulacji intelektualnych.

Koalicja była mu tak samo potrzebna, jak on jej. Tej delikatnej równowagi żadna ze stron nie chciała naruszyć.

Leniwym ruchem - pasującym do wizerunku osoby kochającej życie w luksusie - pogładził frędzle u paska. Tego by się po nim spodziewała Agnes.

Oczywiście, że lubił otaczać się zbytkiem. Przypuszczalnie z powodu ograniczeń, jakim był poddany, potrzebował jak najwięcej stymulacji zmysłowych.

Tak było, dopóki dziś nie uzmysłowił sobie, że od pięknych przedmiotów, które można nabyć za pieniądze, woli magiczny dotyk spadających z nieba płatków śniegu.

- Witaj, Agnes - odparł sennie, po czym udał, że ziewa. -
Wczesnie dziś wstałaś. Czy coś się stało?

- Chciałam ci zadać to samo pytanie.

Gładząc jedwabne frędzle, starał się zwolnić oddech. Przecież nie mogą wiedzieć o jego nocnej wyprawie. Ubranie i zabłocone obuwie zostawił w tunelu. Czy powinien był zwrócić rękawiczki i płaszcz do chłodni na terenie laboratorium? Wisiało tam sporo innych okryć, braku jednego nikt by nie zauważył. Pewnie dręczą go wyrzuty sumienia i dlatego...

Wyrzuty? Tylko nie to! Ma wystarczająco dużo grzechów na sumieniu; kolejny nie jest mu potrzebny.

- Owszem, stało się - oznajmił zirytowany. - Co z tym Renoirem, o którego prosiłem? Powinienem był go otrzymać w zeszłym tygodniu.

- Jest w trakcie odkażania. Ze względu na wiek płótna musieliśmy zastosować inną metodę niż zazwyczaj.

- Kto jest odpowiedzialny za zwłokę?
- Część osób wyjechała na święta do rodzin. Cierpimy na chwilowy niedostatek personelu. Ale obiecuję ci, że sama się tym zajmę.
- Kiedy dostanę obraz?
- Niedługo. Najpóźniej w przyszłym tygodniu.
- Dobrze. - Podniósł się z łóżka. - Będę czekał.
- A ja czekam, żebyś mi zdradził szczegóły twojego nowego programu.

Wstrzymał oddech. Czyżby jednak wiedziała? Psia-kość. Zaryzykował wyjście na zewnątrz, bo nie chciał, by się domyślili, co robi. W Taber Aviation mógł skorzystać z komputera, nie będąc przez nikogo monitorowanym. Gdyby Agnes odkryła, że szuka informacji na temat pierwszych dziesięciu lat swojego życia, uznałaby go za sentymentalnego głupca, który traci cenny czas. Dla ludzi z Koalicji prawda była pojęciem względnym. Zapewne miałyby duże nieprzyjemności, gdyby dowiedzieli się, że kwestionuje wersję wydarzeń, którą mu podano.

- Jesteśmy coraz bliżej celu, Gideonie. Wkrótce będziemy potrzebować dodatkowych funduszy.

Uff, odetchnął z ulgą. Agnes mówiła o kolejnej kradzieży, nie zaś o jego poszukiwaniach prawdy.

Brooke stwierdziła, że on, Gideon, wygląda na człowieka, który zarabia na życie głową, a nie rękami. To było bardziej skomplikowane. Gdyby nie jego genialny umysł, już dawno by nie

żył. Teraz jednak chciał zacząć używać rąk; chciał znów zacisnąć palce na łomie i wyładowywać zgromadzoną energię na czymś innym niż drzwi zagradzające wyjście z tunelu.

Wtem usłyszał trzask. Tak mocno owinął pasek szlafroka wokół zwiniętych w pięści rąk, że rozdarł materiał.

- Kiedy mogę oczekiwać bardziej konkretnych informacji? -

Głos Agnes ponownie zakłócił ciszę.

Nie okazując emocji, Gideon obrócił się twarzą do kamery. Z doświadczenia wiedział, jak najlepiej rozmawiać z przedstawicielami Koalicji: na pytania odpowiadać pytaniami. Chciwość - to był język, który rozumieli, a który on sam opanował do perfekcji.

- Kiedy Renoir zawiśnie na ścianie mojej biblioteki - odparł.

Zapadła kilkusekundowa cisza.

- Zgoda.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałbym mieć w bibliotece.

- Słucham.

- Wszystkie powieści sir Arthura Conan Doyle'a.

- Po co?

Pokręcił głową, jakby rozmawiał z ćwierćinteligentem.

- Bo ich nie mam.

- Dobrze. Zobaczą, co da się zrobić. - Rozłączyła się. Z głośników znów płynęła niczym niezakłócana muzyka Chopina.

Udawszy się do wyłożonego marmurem pokoju kąpielowego, Gideon zrzucił szlafrok odkręcił połączone krany i wszedł pod

prysznic. Z ośmiu dysz trysnęła woda podgrzana do zaprogramowanej wcześniej temperatury.

Prysznic kazał sobie zamontować rok temu w nagrodę za wynalezienie reagującego na najmniejszy ruch urządzenia, które mogło stanowić element systemu alarmowego. Zarówno na tym, jak i na innych jego wynalazkach Koalicja zarobiła fortunę.

Ale fortuna im nie wystarczała; na sfinansowanie swoich celów potrzebowali znacznie więcej. Nawet trzysta pięćdziesiąt miliardów, które w kwietniu wyprowadził z Banku Światowego, było im za mało. Chcieli, by z pomocą swego genialnego umysłu i niebywałych zdolności komputerowych dokonał następnej kradzieży, przy której poprzednie trzysta pięćdziesiąt miliardów byłoby błahostką. Tym razem miał przeprowadzić skok nie na jeden bank, lecz na wszystkie ważniejsze giełdy światowe.

Wiedział, że potrafi; takie działanie absolutnie leżało w zasięgu jego możliwości. Nie dlatego więc zwlekał.

Zwiększył strumień wody i uniósł ramiona. Przez chwilę obracał się, pozwalając, by woda masowała jego ciało, po czym namydlił się od stóp do głów, opłukał i znów namydlił.

Zdawał sobie jednak sprawę, że szorowanie nic nie da. Jeżeli podczas parogodzinnego pobytu na zewnątrz został skażony, to nie uratuje go żadne mycie. Zmiany genetyczne, dzięki którym otrzymał nadludzki intelekt, pozostawiły go ułomnym pod względem fizycznym. Zwiększając wydajność jego mózgu, naukowcy pozbawili go kwasu gamma-aminomasłowego blokującego reakcje synaptyczne.

Nieostrożność – czy też lekkomyślność, za jaką można by uznać dzisiejszą wyprawę poza sterylny bunkier - mogła się zakończyć dla niego tragicznie.

Oczywiście świadom zagrożenia starał się zachować maksimum ostrożności. Niczego nie dotykał gołymi rękami. Jedyną rzecz, z jaką miał bezpośredni kontakt, to była skryzalizowana woda. Śnieg. A jedyną osobą, z którą rozmawiał, to była Brooke. Cały czas utrzymywał między nimi dystans. Dziewczyna dwukrotnie wyciągnęła do niego rękę, ale nie zaryzykował; nie zdjął rękawiczek, wiedząc, co mu grozi. Nawet nie oddychał tym samym powietrzem co ona.

A chciał. Pragnął podejść bliżej. Już tak długo był sam. Zastanawiał się, jak to jest czuć czyjś bezpośredni dotyk, czyjeś ciepło.

Opierając się dłońmi o marmurową ścianę, wsunął głowę pod strumień wody. Nagle zatrzymał wzrok na nierównej białej szramie na piersi.

W świecie Brooke czyha na niego całe mnóstwo śmiertelnych niebezpieczeństw. Dlaczego więc czuł się w nim tak dobrze?

System alarmowy w Taber Aviation należał do najlepszych i najnowocześniejszych w świecie; po prostu nie miał prawa się zepsuć. Działał zarówno podczas awarii elektrycznych, jak i podczas trzęsień ziemi. Dlatego większość biznesmenów na zachodnim wybrzeżu, które było szczególnie narażone na trzęsienia, albo już wyposażała

swoje w firmy w identyczny system, albo zamierzała to wkrótce zrobić.

Ten genialny produkt stanowił jeden z najbardziej dochodowych wynalazków Gideona.

Wszedł do budynku bocznym wejściem i pośpiesznie wyłączył alarm. Wczoraj na nikogo się tu nie natknął - nic dziwnego, niemal wszyscy rozjechali się na święta - ale wiedział, że nie może sobie pozwolić na chwilę nieuwagi. Na wszelki wypadek postanowił skorzystać z innego komputera. Dziewięćdziesiąt minut - tyle zamierzał przy nim spędzić; ani minuty dłużej. Powinno wystarczyć, byleby pracował w skupieniu, a nie błądził gdzieś myślami.

Czy kiedykolwiek przywyknie do tego nadmiaru wrażeń? Nawet w zwykłym budynku wykonanym ze stali i szkła wiele rzeczy go zdumiewało. Odgłos kroków na wełnianym dywanie, zaskakujące wzory, jakie palące się w górze światło rzucało na ściany, nowe zapachy, nowe obrazy...

Idąc szybko korytarzem, ściągnął skórzane rękawiczki i włożył lateksowe. Budynek lśnił czystością, w powietrzu nie unosiła się ani odrobina kurzu, ale Gideon nie bał się brudu. Najgroźniejszy dla niego był kontakt z czymkolwiek, czego dotykał drugi człowiek.

Minął laboratoria i skręcił w stronę biur. Wybrawszy pierwsze z brzegu drzwi, przycisnął do klamki skonstruowany przez siebie płaski magnetyczny klucz. W elektronicznym zamku rozległ się cichy chrzęst i po chwili Gideon wszedł do pokoju.

Serce zabiło mu równie mocno jak wówczas, gdy Brooke się do niego uśmiechnęła, ale tym razem nie czuł radości; czuł zdenerwowanie. Ręce w gumowych rękawiczkach miał mokre od potu. Dotychczas obmyślał i planował kradzieże, ale dopiero wczoraj po raz pierwszy w życiu użył łomu.

Zdziwił go ten przyływ adrenaliny. W końcu czymże jest wyważenie drzwi lub wejście na cudzy teren w porównaniu z innymi przestępstwami, jakie ma na sumieniu?

Zamknął za sobą drzwi i rozejrzawszy się uważnie wokół, ruszył w stronę komputera, który stał koło biurka na długim niskim stole. Zalogował się, zapisał coś na twardym dysku, tak aby nie pozostawić po sobie śladu, po czym przystąpił do pracy.

Na pierwszy artykuł trafił przez przypadek. Buszował w sieci, szukając informacji o kradzieży w Banku Światowym; chciał się upewnić, czy agenci FBI wciąż idą po tropach, które dla nich przygotował, poza tym ciekaw był, co prasa pisze na temat Achillesa. Znalazł jednak coś zupełnie innego.

„Mutanty są wśród nas”, „Superludzie - wytwór CIA” donosiły brukowce, opisując tajne badania rządowe, w których wyniku wyprodukowano genetycznie zmodyfikowane dzieci. Oczywiście wszyscy traktowali te rewelacje ze zrozumiałym sceptycyzmem; bądź co bądź, te same pisma donosiły o porwaniach przez kosmitów i widzianym to tu, to tam Elvisie Presleyu.

Gideon też nie traktował tego typu informacji poważnie, dopóki nie przeczytał artykułu w cieszącym się dobrą opinią „Washington Post”:

„Niedawno odtajnione dokumenty potwierdzają istnienie tajnego programu rządowego mającego na celu

wyprodukowanie doskonałej istoty ludzkiej. Ponad trzy dekady temu, kiedy badania genetyczne były jeszcze w powijakach, amerykańscy naukowcy zdołali złamać kod genetyczny. Chcieli stworzyć człowieka o idealnej konstrukcji fizycznej i wyjątkowych zdolnościach intelektualnych”.

Wszystko zgadza się z tym, co Koalicjanci mówili na temat jego poczęcia. Nie powiedzieli mu jednak, że dzięki funduszom z CIA urodziło się pięcioro genetycznie zmodyfikowanych dzieci. Pięcioro!

Do tej pory naukowcy utrzymywali go w przekonaniu, że tylko on przyszedł na świat w wyniku eksperymentów genetycznych. Nie widział powodu, aby wątpić w ich słowa. Ale skoro okłamali go w tej sprawie, mogli okłamać także w innych. Może wcale nie jest tak osamotniony, jak sądzi? Może ma siostry i braci, którzy podobnie jak on żyją w ukryciu? Ciekawe, gdzie mieszkają i co robią? Czy są tak samo jak on skażeni genetycznie? Czy potrafiliby zrozumieć pobudki, które nim kierowały, kiedy popełniał przestępstwa? Że w ten sposób, wykonując polecenia Koalicji, ratował siebie? A może jego rodzeństwo nie żyje? Może nakazując przerwanie eksperymentu, rząd nakazał również likwidację dzieci urodzonych w wyniku tychże badań?

Bracia, siostry... czy umieliby mu coś powiedzieć , o posiadłości nad brzegiem morza i o tym, kim był, nim został Achillesem? Czy to prawda, że kiedyś mieli normalny dom, że byli normalną rodziną? Musi to wiedzieć, zanim popełni następne przestępstwo.

Jedno więcej, jedno mniej... czy to rzeczywiście robi różnicę? Chyba tak. Może nie jest immanentnie przesiąknięty złem? Ale nie miał pewności. Z dobrocią nigdy się nie zetknął; gdyby nie książki, nawet by nie wiedział, co to takiego.

Nie tracił czasu na archiwum prasowe; wszystko, co wczoraj odkrył, zapisał w pamięci. Informacji na temat Proteusza było zresztą niewiele. Nic dziwnego, pomyślał. Agenci, którzy chcieli go zgładzić, woleli, by pewne fakty nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Gideon włamał się do systemu komputerowego CIA. Ale niestety dwadzieścia trzy lata temu, kiedy przerwano badania, przechowywanie danych w komputerze nie było tak powszechne jak obecnie. Znalazł kilka nazwisk oraz dane finansowe, lecz nic poza tym, żadnych szczegółów o samym eksperymencie.

Miał wrażenie, że więcej dowiedział się o sobie podczas kilku minut spędzonych w towarzystwie Brooke, że ukryte głęboko w podświadomości obrazy z dzieciństwa zaczęły wolno wypływać na powierzchnię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przez tydzień Brooke codziennie wypatrywała Gideona, w końcu uznała, że już nie wróci. Wykształceni, dobrze zarabiający ludzie, którzy pracowali w paru mieszczących się niedaleko placówkach naukowych takich jak Taber lub Redcom, rzadko zaglądali do Highway Grilla; woleli elegantsze restauracje, w których podawano niskokaloryczne dania wyglądające na talerzu jak małe dzieła sztuki.

Kiedy więc dwa dni po świętach wyszła z kuchni, niosąc dwa ogromne talerze z indykiem oraz dwa mniejsze ze smażonymi w głębokim tłuszczu cebulowymi krążkami, i zobaczyła Gideona przy końcu lady, nie potrafiła ukryć zdumienia.

Serce natychmiast jej zakołatało. Był taki, jakim go pamiętała: wysoki, intrygujący, o lśniących czarnych włosach i szerokich ramionach. Siedział w niedbalej pozie, z rękami w kieszeniach płaszcza, i wpatrywał się w tablicę, na której Mabel wypisała kredą specjały dnia.

- Brooke, złotko, pospiesz się. Umieram z głodu.

Dziewczyna ruszyła pośpiesznie do stolika pod oknem. Do zamknięcia zostało tylko pół godziny, więc poza mężczyzną przy ladzie i dwójką klientów czekających na indyka, w lokalu nie było już nikogo. Postawiwszy talerze na stole, przywołała na usta profesjonalny uśmiech.

- Mógłbyś śmiało zapaść w zimowy sen, Paul - rzekła do zaprzyjaźnionego gościa. - Dość tłuszczu, jaką ukrywasz pod swetrem, starczyłaby ci do wiosny.

Kompan Paula ryknął śmiechem.

- Ale ci przygadała!

- Tej ślicznotce, Phil, wszystko mogę wybaczyć. Ona wie, że najkrótsza droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek. Powiedz, Brooke, kiedy wyjdiesz za mnie za mąż?

Przyzwyczajona do niewinnych zalotów Paula, dziewczyna wzniosła oczy do nieba.

- Och, Paul, nie mogłabym tego zrobić. Znienawidziłyby mnie wszystkie kelnerki od Eugene po Cheyenne. Poza tym za małe zostawiasz napiwki.

- No widzisz, złotko? - Paul przecesał ręką swoją siwą czuprynę. - Narzekasz, jakbyś już była moją żoną.

- Brooke, nalałabyś mi kawy do termosu? - poprosił Phil.

- Jasne, Zaparzyłam mocną, tak jak lubisz. Szatan dla szatana.

Obaj mężczyźni zaśmiali się, po czym zabrali się do jedzenia. Od lat mniej więcej co dwa tygodnie przejeżdżali przez Redemption. Zostawiali ciężarówki na parkingu, a sami wstępowali na kolację. Dziś jednak byli mocno spóźnieni, więc nie zajmując ich dłużej rozmową, Brooke wzięła puste termosy i podeszła do dzbanka z kawą.

Gideon przeniósł spojrzenie z tablicy na solniczkę. Zaczął nią obracać, obserwując przesypujące się białe kryształki. Pod rozpiętym

czarnym płaszczem było widać czarny golf. Z rękawów wystawały rękawiczki z cienkiej czarnej skóry.

Ręce miał duże, ale solniczkę obracał delikatnie, jak ktoś, kto zawodowo styka się z kruchymi przedmiotami.

Ciekawe, czy tak samo pieściłby kobietę?

- Witaj, Brooke.

Głos miał tak samo niski i głęboki jak w jej wspomnieniach. Oderwała spojrzenie od zaciśniętych na solniczce rąk i napotkała wzrok mężczyzny.

- Cześć, Gideonie. Co tam słysząc w Taber Aviation?

Przez chwilę dumał nad odpowiedzią.

- Wszystko w porządku, dziękuję. A co u ciebie?

- Po staremu. Zaraz do ciebie podejść, tylko napełnię termosy. -

Przypomniawszy sobie, co miała zrobić, podniosła dzbanek z kawą. - Skusisz się dziś na kawałek placka?

- Dzięki, ale nie.

- Jeszcze nikt się tym nie otruł. Przysięgam.

- Na pewno są wyśmienite, nie chciałbym jednak zepsuć ci opinii. Muszę... muszę bardzo uważać na to, co jem.

- Masz jakąś alergię?

- Coś w tym stylu.

- Żałuj. - Zakręciła pierwszy termos. - Ludzie przyjeżdżają z daleka po moje wypieki.

- Sama je pieczesz? - W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta. Tak jakby po raz pierwszy słyszał, że ktoś własnoręcznie robi takie rzeczy.

- Owszem. Babeczki, drożdżówki, ekierki. Wszystko, co słodkie, grzeszne i dekadencjonalne.

Kąciki ust mu zadrgały.

- Dekadencjonalne, powiadasz?

Serce znów zabiło jej mocniej. Czym prędzej chwyciła drugi termos i wysypała do niego kilka łyżeczek cukru.

- Zarabiam na życie jako kelnerka - powiedziała - ale moim marzeniem jest otworzyć małą cukiernię.

- Powiedz... dobre masz wspomnienia z dzieciństwa?

Co za dziwne pytanie, przemknęło Brooke przez myśl. Zerknęła na drugi koniec sali. Paul nabitym na widelec kawałkiem mięsa zgarniał z talerza sos, a Phil polewał keczupem krążki cebuli. Z kuchni dolatywał brzęk naczyń i garnków; przypuszczalnie Mabel zaprowadza własny ład w szafce, którą Brooke dziś rano uporządkowała.

- Hm, czy dobre... - zadumała się. - Klepaliśmy biedę, ale tak, wspomnienia mam dobre. Pewnie jak większość ludzi te niedobre wyparłam z pamięci.

- Co najlepiej pamiętasz?

- Zapach świeżo pieczonego chleba - odparła bez namysłu. - Zapach kojarzący się z ciepłem, z bezpieczeństwem, z miłością.

Otworzył szeroko oczy, jakby nie miał pojęcia, o czym ona mówi. Brooke roześmiała się speszona.

- Mieszkałyśmy z mamą nad piekarnią. Błędym świtem mama schodziła na dół, ugniatała ciasto, formowała bochenki i wsadzała je

do pieca, żeby wyrosły, zanim pojawią się pierwsi klienci. Codziennie rano budził mnie ten zapach. Uwielbiałam go.

- Może dlatego marzysz o własnej cukierni? Bo pragniesz odtworzyć nastrój tamtych lat?

Zaskoczyły ją jego słowa. Zawsze dotąd sądziła, że jest osobą twardo stąpającą po ziemi; lubiła i potrafiła wypiekać pyszności, więc cukiernia jawiła się jej jako świetny sposób zarabiania na życie. Ale w tym, co powiedział Gideon, było sporo racji. Chyba faktycznie dąży do tego, by odzyskać coś z czasów, które minęły.

No cóż, potwierdziły się jej przypuszczenia, że ma do czynienia z wyjątkowo inteligentnym facetem. Odstawiwszy na bok termosy, przyjrzała mu się uważnie.

- A ty? - spytała. - Co najlepiej pamiętasz? Uniósł solniczkę.

- Ciepły piasek pod stopami. Wiejący znad morza wiatr o smaku soli.

- To miłe. Opowiedz coś jeszcze.

- Niewiele więcej pamiętam. - Wzruszył ramionami. - Pewnie resztę wspomnień... wyparłem. Co to za muzyka?

Słucham?

- Ta muzyka z głośników. Nie rozpoznaję jej. Uświadomiła sobie, że mężczyzna próbuje zmienić temat. Chociaż pragnęła dowiedzieć się o nim czegoś więcej, ustąpiła. Też by nie chciała, aby ktoś kazał jej odgrzebywać wspomnienia, o których wołałaby zapomnieć. Przez moment skupiła uwagę na piosence.

- To stary utwór Alabamy.

- Stanu Alabama? - zdumiał się Gideon.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Alabama to zespół. Mabel jest wielbicielek muzyki country, dlatego zawsze nastawia radio na tę stację.

- Mabel?

- Moja szefowa - wyjaśniła, wskazując głową w stronę drzwi na zaplecze - która jednocześnie jest właścicielką lokalu i naszym kucharzem. Ciągłe usiłuje mnie nawrócić na country, ale ja wolę rock. A ty?

- Gdybym musiał wybierać, wybrałbym Beethovena. Pasuje, pomyślała.

- Nie znam się na poważnej muzyce.

- Trzeba umieć jej słuchać. Wtedy wychwytyje się humor Mozarta, delikatną melancholię Chopina, siłę Haendla czy niemal matematyczną precyzję Bacha.

- Brzmi to fascynująco, a mnie zawsze taka muzyka kojarzyła się nudą i zadęciem.

- Och nie, muzyka nigdy nie jest nudna. Potrafi przemówić do każdego. Zauważ, że istnieje we wszystkich kulturach, nawet tych najmniej rozwiniętych.

- Faktycznie. To ciekawe.

- Zauważ też, że większość rzeczy tworzonych przez ludzi służy praktycznym celom. Muzyka zaś służy wyłącznie karmieniu duszy.

Nie da się ukryć, dziwna to rozmowa, ale podobała się jej.

Brooke oparła łokcie o ladę, a brodę wsparła na splecionych dłoniach.

- No dobrze. Więc z czym ci się kojarzy Beethoven? - spytała.
- Z pasją. Z cierpieniem. Z furją.
- I dlatego Beethovena lubisz najbardziej?
- Nie wiem. Chyba tak.

Nagle ujrzała coś w jego oczach. Jakiś mrok, zło. Przeszył ją dreszcz. Po chwili otrząsnęła się. Zgoda, nic o nim nie wie; stanowił zagadkę, ale z całej jego postawy biła dobroć i łagodność. I chociaż wyglądał jak pirat, mówił jak poeta. Jak poeta, któremu doskwiera straszliwa samotność.

Ponownie utkwiał wzrok w solniczce.

- Muzyka pobrzmiewa w szumie fal. Ma własny rytm, który współgra z oddechem morza. Dźwięki toczą się po piasku, przeskakując fale niczym rozbawione dzieci.

Poeta, zdecydowanie poeta, uznała Brooke. Gideon zamilkł.

- Niczym rozbawione dzieci... - powtórzyła za nim, chcąc go zachęcić, aby kontynuował.

Czarna skóra okrywająca kłykcie napięła się.

- Tak, widzę dzieci...

- Gdzie?

- Na plaży. Bawią się.

Zniżył głos, mówił niemal szeptem. Jego spojrzenie straciło ostrość; miało się wrażenie, że mężczyzna pa-trzy przez grube szkła na coś, co znajduje się poza zasięgiem wzroku. Tak samo patrzył poprzednim razem, kiedy upuścił styropianowy kubek z kawą.

Brooke zaniepokojona podeszła bliżej.

- Gideon?

- Hej, Gideon. Ścigamy się do domu?

Dziecięcy głos rozległ się tuż nad jego uchem. Gideon, który kuczał na mokrym piasku, wiedział, że jeśli się odwróci, zobaczy, kto do niego mówi. Poczuł, jak nad jego ramieniem przesuwa się cień.

Pokręcił przecząco głową. Jeszcze nie chciał wracać do domu.

Właśnie skonstruował generator, który naładuje baterie w ciężarówce; żeby go przetestować musi poczekać na falę.

- Gideon, co tym razem wymyśliłeś?

Pytanie zadał inny głos - dziewczęcy. Drugi cień przesunął się nad piaskiem. Nagle fala wpadła do kanału, który Gideon wykopał. Koło zaczęło się obracać.

- Chodźcie tutaj! Zobaczcie, co Gideon zbudował! Ale fajne!

Pojawiły się kolejne cienie. Wszyscy patrzyli, jak koło obraca się coraz szybciej, wprawiając w ruch przekładnię, a potem inne części skomplikowanego urządzenia. Po chwili Gideon uśmiechnął się z zadowoleniem; tak jak się spodziewał, strzałka wychyliła się w prawo.

- Gideon? Dobrze się czujesz?

Obraz powoli zaczął zanikać. Szum morza ucichł, jego miejsce zajęły dźwięki gitary i ochryply głos śpiewający piosenkę o drodze. Słysząc było brzęczenie sztućców o talerze. Słońce przeobraziło się w wiszącą na suficie lampę. On sam już nie kuczał na mokrym piasku, lecz siedział na stołku przy barze. Z drugiej strony stała Brooke, marszcząc z zatroskaniem czoło.

Nagle poczuł, że ma dziwnie rozciągnięte usta. Zdał sobie sprawę, że się uśmiecha, tak jak we wspomnieniu, które go przed chwilą nawiedziło. Kiedy popatrzył na Brooke, rozciągnął usta jeszcze szerzej.

- Świetnie - odparł. Przechyliła w bok głowę.

- Na pewno? Miałam przed chwilą wrażenie, że odpłynąłeś gdzieś myślami.

- Tak... Goś mi się przypomniało.

Nie mógł wyjść ze zdumienia, że obraz z przeszłości był tak wyraźny i pełen szczegółów. Na pewno przedstawiał fakty, prawdziwe zdarzenie.

Dzieci. Wciąż słyszał ich głosy. Kim byli ci, którzy do niego wołali? Czyżby jego rodzeństwem? Chyba tak. W przeciwnym razie, z powodu jego genetycznej skazy, nie pozwolono by mu z nimi przebywać.

Uśmiech na jego twarzy zgasł. Agnes mówiła, że wychowywał się sam, na terenie laboratorium, ponieważ kontakt ze światem zewnętrznym groził mu śmiercią. Że razem z Oliverem wymyślała dla niego specjalne programy edukacyjne, aby się nie nudził. Nie miał kolegów, koleżanek. Stykał się wyłącznie z naukowcami, którzy śledzili jego rozwój.

Najwyraźniej Agnes kłamała.

Tak podejrzewał. -Właśnie dlatego, by poznać prawdę, postanowił wymknąć się nocą z ośrodka. Całe szczęście, że już dawno temu przestał traktować Agnes i Olivera jak rodziców. W przeciwnym

razie pewnie by cierpiał, że mówili nieprawdę na temat jego przeszłości.

Nie zamierzał pozwolić, aby ich kłamstwo go zabolalo. Cierpią ludzie, a on nie do końca jest człowiekiem.

- O tej porze roku ja też się robię sentymentalna - oznajmiła Brooke. - Pewnie wszystkich nachodzą teraz wspomnienia.

Wbił w nią wzrok.

- Tak? A dlaczego?

- No, z powodu świąt. Spędziłeś je z rodziną?

Zawahał się, niepewien, co powiedzieć. Na terenie podziemnego ośrodka nie obchodzono świąt. W Boże Narodzenie Koalicja pracowała pełną parą. Akurat w takie dni większość firm i instytucji była zamknięta; pracownicy świętowali z rodzinami, a ochrona nie była tak czujna. Między innymi dlatego Gideon uznał, że to dobra pora na nocne wyprawy do Taber Aviation.

- Musiałem pracować - odparł. - A ty?

- Upiekłam deser dla Mabel i jej bliskich, więc nie mieli wyjścia, musieli mnie zaprosić na obiad.

Na dźwięk dzwonka nad drzwiami Gideon obejrzał się sprawdzić, kto przyszedł.

Potęźnie zbudowany gość w kurtce z kożucha stał w progu, wodząc wkoło wzrokiem. Na oko był w tym samym wieku co dwaj posilający się kierowcy ciężarówek, ale, w przeciwieństwie do nich wydawał się spięty. Coś w jego postawie sugerowało władzę i autorytet. Podobnie jak złota oznaka lśniaca na piersi.

Policjant, uznał Gideon; miejscowy glina. Nie było sensu rzucać się do ucieczki. Tylko niepotrzebnie zwróciłby na siebie uwagę; zresztą nie miał powodu bać się, że ktokolwiek go rozpozna. Policja na całym świecie szuka Achillesa, lecz nikt nie wie, jak on wygląda. Nikt poza paroma szychami z Koalicji.

No i Brooke; Brooke już wie.

Siląc się na nonszalancję, Gideon odwrócił się twarzą do baru i podniósł oprawioną w plastik kartę dań wetkniętą między cukiernicę a serwetnik. Teoretycznie nie miał się czego obawiać, ale tyle razy mówiono mu, co go czeka, jeśli kiedykolwiek wpadnie w ręce przedstawicieli władzy, że serce automatycznie zaczęło mu szybciej bić.

- Dobry wieczór, Brooke - powiedział policjant, zbliżając się do baru. Usiadł na stołku przed szklaną gablotką z ciastkami i rozpiął kurtkę. - Dałabyś mi kawałek bakaliowego placka? Jestem na nogach od samego rana.

- Jasne, Trevor. Za sekundę.

Gideon wskazał głową kartę dań, którą trzymał w ręku.

- Poczekam, nie spiesz mi się - rzekł.

Chociaż dziewczyna nie zmieniła wyrazu twarzy, Gideon odniósł wrażenie, że niechętnie kieruje się w stronę przybysza. Zastanawiał się dlaczego: czy dlatego, że facet jest gliniarzem, czy po prostu nie bardzo go lubiła?

Nowy zmierzył Gideona od stóp do głów. Gideon znał to spojrzenie; w identyczny sposób członkowie Koalicji ostrzegali go,

kiedy za bardzo się czymś interesował. Wara! - wyczytał z oczu policjanta; to moja dziewczyna!

Gideon nie należał do potulnych; zawsze podejmował wyzwanie. Jednakże w tym wypadku postanowił nie reagować. Brooke, owszem, bardzo mu się podobała. Kiedy ujrzał ją dziś przez okno, nie mógł się oprzeć pokusie, aby nie wstąpić do Grilla. Ale na nic więcej nie liczył, tylko na uśmiech, na chwilę rozmowy. Więc przewrócił stronę i udał, że studiuje ceny wymienionych w karcie napoi.

- Wyborne, Brooke - oznajmił Trevor, przetykając pierwszy kęs.

- Naprawdę pyszne. Zupełnie jak placki, które piekła moja mama.

- Dziękuję.

- Przez całą drogę z Portland myślałem o twoich ciastkach. -

Nabił na widelec kolejny kawałek. - No i o tobie - dodał pośpiesznie. - Ślicznie wyglądasz. To nowy sweter?

- Prezent gwiazdkowy od córki szefowej. W tym roku dla każdego zrobiła coś na drutach. Byłeś w Portland?

- Tak, służbowo. FBI zażyczyło sobie spotkania z przedstawicielami lokalnych komisariatów.

- Serio? Po co?

Trevor opróżnił talerz do końca.

- Nie mogę ci zdradzić. Tajemnica służbowa. Zjadłbym jeszcze jeden kawałek, Brooke. - Przesunął pusty talerz w jej stronę. - I poproszę o dużą szklanekę mleka.

Z drugiego końca sali dobiegł odgłos kroków. Kątem oka Gideon- zobaczył, że kierowcy podchodzą do kasy.

- Jak tam drogi, szeryfie? - spytał siwowłoso.

- Czarne - odparł Trevor. - Ale bądźcie ostrożni, miejscami mogą być oblodzone. Do rana temperatura ma spaść o kilka stopni.

- W porządku. Dzięki, szeryfie. Brooke, dostaniemy nasze termosy?

Gideon powolnym ruch zamknął kartę dań i odstawił ją na miejsce, po czym korzystając z drobnego zamieszania, zsunął się ze stołka i ruszył do drzwi.

W dalszym ciągu nie miał powodu rzucić się do ucieczki, ale nie miał też powodu dłużej siedzieć. Ciekaw był, w jakim celu agenci federalni przybyli do Portland i dlaczego chcieli się spotkać z miejscową policją. Domyślał się odpowiedzi.

Tak jak mówił szeryf, temperatura na dworze zaczęła się obniżać. Idąc przez parking, Gideon zapiął płaszcz pod szyją i postawił kołnierz. Zamiast zgodnie z wcześniejszym planem skrócić w stronę Tabera, skierował się tam, skąd przyszedł - w stronę Redcom Systems. Wędrował ścieżką pod lasem, biegnącą równoległe do szosy. Po mniej więcej trzech kilometrach ujrzał oświetloną tablicę informującą o zjeździe na Redcom.

Te dwie firmy, Taber i Redcom, w sposób znaczący ożywiły lokalną gospodarkę, zwłaszcza odkąd zwolennicy ochrony środowiska doprowadzili do tego, że wstrzymano wyrąb lasów. Taber Aviation specjalizowała się w badaniach lotniczych, Redcom zaś realizowała

zamówienia klientów z całego świata na sprzęt łącznościowy i skomplikowane urządzenia alarmowe.

Gideonowi nawet nie powstała w głowie myśl, aby użyć komputerów Redcomu do szukania informacji o swojej przeszłości. Wiedział bowiem, że cały znajdujący się tam sprzęt, zarówno komputery, jak i telefony, kontrolowany jest przez Koalicję. Po prostu w Redcomie mieściła się główna siedziba Koalicji.

Wszystko było bardzo sprytnie zorganizowane. Budynki, w których prowadzono badania naukowe i wytwarzano sprzęt, zostały tak zbudowane, aby ukryć ogromny podziemny kompleks. Ogrodzenie pod wysokim napięciem, kamery pracujące dwadzieścia cztery godziny na dobę oraz dokładne sprawdzanie wszystkich wchodzących na teren gości teoretycznie miały chronić firmę przed szpiegostwem przemysłowym.

Redcom, którego głównym źródłem pieniędzy były wynalazki jednego człowieka, Gideona, cieszył się znakomitą opinią i Koalicji oczywiście zależało na utrzymaniu takiego stanu rzeczy. Firma nie stosowała agresywnych kampanii reklamowych, aby zdobyć nowych klientów, a o starych zawsze dbała. Na terenie ośrodka pracowali prawdziwi naukowcy, którzy nie mieli pojęcia o tym, co się dzieje w podziemiach.

Podsumowując, jedna z największych firm na świecie specjalizujących się w alarmach i systemach zabezpieczeń była od ponad dwudziestu lat prowadzona przez bandę złodziei. I nikt nawet nie domyślał się prawdy.

Gideon skręcił do lasu, zanim zdążyły go zauważyć zamontowane przy zjeździe kamery. Przedzierając się między drzewami, zwolnił tempo. Kilka minut później dotarł do wylotu tunelu; wstawił z powrotem drzwi, włączył alarm, po czym ruszył pośpiesznie w głąb kompleksu. Tak jak poprzednimi razy, rozebrał się w tunelu, a ubranie zostawił przed wejściem do sypialni. Odciągnął plastikową płachtę i właśnie sięgał po aksamitną narzutę zasłaniającą otwór wykuty w ścianie, kiedy usłyszał głos.

- Gideon? Wstawaj. Jesteś nam potrzebny. Psiakrew, tego się spodziewałem. Przeczuwałem, że coś takiego się stanie, dlatego skróciłem dzisiejszą wyprawę i wróciłem wcześniej do podziemnego świata. Koalicjanci na pewno też słyszeli, że w okolicy pojawili się agenci FBI.

Wskoczył do pokoju.

- Gideonie, obudź się.

W głosie Olivera wyczuł nutę niepokoju. Zazwyczaj Oliver przejmował nastrój żony, a Agnes miała nerwy ze stali; niełatwo było wytrącić ją z równowagi. Gideon wyciągnął spod łóżka pilota, zatrzymał taśmę z przygotowanym nagraniem i wsunął się szybko pod kołdrę. Odczekawszy trzy sekundy, przeciągnął się.

Światło powoli zaczęło wypełniać pokój. Gideon potarł ręką twarz i usiadł.

- No, wreszcie - mruknął Oliver. - Słuchaj, musimy...

O co chodzi, do diabła? - przerwał mu Gideon. Skinął na zegar. - Jest pierwsza w nocy.

- Wiem, przepraszam.

Zamierzał odgarnąć włosy z czoła, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że wciąż są związane w kucyk. Cholera.

Miał nadzieję, że Oliver jest zbyt zdenerwowany, aby zwrócić na to uwagę. Opadł z powrotem na łóżko, przysłaniając ręką oczy.

- Przecież dzisiejszej nocy niczego nie planowano.

- Owszem, ale to sytuacja awaryjna. Mamy się wszyscy zebrać w sali konferencyjnej.

- Potrzebuję więcej snu - oznajmił gniewnie Gideon. - Dobrze wiesz, że nie należy mi przeszkadzać, kiedy odpoczywam.

- Wiem. I jeszcze raz przepraszam. Jednak musisz wstać.

Gideon ponownie ziewnął i podrapał się po karku, dyskretnie uwalniając włosy z gumki.

- Oby to była ważna sprawa - warknął.

- Jest. Bardzo ważna. Zebranie zaczyna się za pięć minut.

- Będę gotów za piętnaście.

- Za dziesięć.

- W porządku. - Gideon przeciągnął się, po czym usiadł na brzegu łóżka.

Sala konferencyjna była wykorzystywana do spotkań na najwyższym szczeblu. Znajdowała się w samym centrum podziemnego kompleksu. Przed elektronicznym podsłuchem zabezpieczały ją ściany zbudowane z betonu i ołowiu. Do środka można się było dostać tylko jedną drogą: prywatną windą, która łączyła biuro prezesa Redcomu z gabinetem Agnes i Olivera. Gideon

oczywiście nie musiał stawać się tam osobiście; komputer miał połączony z kamerami - wystarczyło go odpowiednio nastawić.

Kazał na siebie czekać nie dziesięć, lecz jedenaście minut, po czym ustawił krzesło tak, by widzieć obraz ze wszystkich kamer. Przybierając neutralny wyraz twarzy, połączył się z salą konferencyjną.

Światła były przygaszone; w sali panował półmrok - bynajmniej nie dlatego, że był środek nocy, ale dla spotęgowania efektu tajemniczości.

Przy długim owalnym stole siedziały trzy osoby. Miejsce honorowe zajmował Willard Croft, były agent CIA, który przed laty pośredniczył między rządem a grupą naukowców skupionych wokół programu Proteusz. Był to chudy łysiejący mężczyzna koło sześćdziesiątki o łzawiących piwnych oczach i nerwowym uśmiechu. Nawet po godzinie pierwszej w nocy miał na sobie białą koszulę oraz krawat. Siedział pochylony do przodu niczym szykujące się do ataku drapieżne ptaszysko.

Po likwidacji Proteusza Croft pomógł Agnes i Oliverowi uratować Gideona, a następnie, sfingowawszy ich śmierć w pożarze domu, sprowadził parę naukowców z genialnym dziesięciolatkiem do Oregonu. Z tego też powodu musiał zrezygnować z kariery w CIA; podobnie jak Agnes i Oliver, zaczął się ukrywać. Gideon zawdzięczał mu życie, co Croft podkreślał na każdym kroku, żądając w zamian lojalności. - Dobrze, że do nas dołączyłeś - powiedział, spoglądając w

ekran, na którym wyświetliła się twarz Gideona. - Skoro wszyscy jesteśmy, możemy zaczynać.

Jak zwykle, przejął kontrolę. Oszukiwał się, że to on jest siłą sprawczą Koalicji, jednakże prawdziwa władza spoczywała w rękach kobiety, która siedziała po jego lewej stronie.

Gideon przeniósł wzrok na Agnes Payne. W przeciwieństwie do Crofta siedziała sztywno, jakby kij połknęła; pewnie chciała wydać się wyższa. Była to kobieta, którą zżerała ambicja i która kochała władzę. Fizycznie niczym się nie wyróżniała. Może w młodości była atrakcyjna, ale lata zgorzknienia i żalu z powodu zrujnowanego życia odcisnęły piętno na jej twarzy.

Przyglądając się Agnes, Gideon poczuł tęsknotę za dobrocią i ciepłem, które pojawiły się w jego wspomnieniach. Pomyślał o Brooke; ciekaw był, jak pachnie świeżo upieczony chleb.

Agnes powitała Gideona skinieniem głowy; w jej oczach malowało się zniecierpliwienie.

- Oliver długo musiał cię budzić - stwierdziła. - Źle się czujesz, Gideonie?

Ocknął się z zadumy. Nie mógł sobie pozwolić na błądzenie myślami. Koalicjanci bezlitośnie wykorzystywali każdą najmniejszą oznakę słabości.

- Dobrze wiecie, że nie lubię, kiedy mi się przerywa odpoczynek. A w tym tygodniu przerwano mi go dwukrotnie. To niedopuszczalne.

- Przepraszam, Gideonie - rzekł Oliver. - Wiem, że ciężko pracujesz, ale nie mogliśmy czekać do rana. Chodzi o to, że musisz zwiększyć tempo.

Gideon skierował spojrzenie na męża Agnes. Nad każdą z trzech postaci paliło się światło, światła miały identyczną moc, lecz w porównaniu z żoną Oliver wydawał się prawie niewidoczny, jakby siedział w cieniu.

Spośród trzech obecnych przy stole osób on dzierżył najmniejszą władzę, co wcale nie czyniło go potulnym czy bezbronnym. Pod wpływem Agnes był równie groźny i bezlitosny jak pozostała dwójka.

- Wykluczone. - Gideon skrzyżował ręce na piersi.

- Jeszcze nie otrzymałem zamówionego Renoira.

- Przecież ci mówiłam, że zajmę się tym osobiście

- oznajmiła Agnes.

- Nie tak się umawialiśmy. Ja przystąpiłem do pracy, a wy... -

Oczywiście kłamał. Nawet gdyby ukradli dla niego dziesięć obrazów Renoira, to i tak zwlekałby z daniem im tego, czego zażądali.

Croft bębnił palcami o stół, a raczej paznokciami długości szponów.

- Nie mamy czasu na twoje humory, Gideonie. Właśnie się dowiedzieliśmy, że w Portland pojawili się agenci FBI.

- Portland mieści się równo sto dziewięćdziesiąt siedem przecinek dziewięć kilometrów stąd - stwierdził Gideon. -

Przypuszczam, że w innych miastach Stanów również przebywają agenci FBI.

- Jest z nimi Ingram - wtrącił Oliver. Gideon uniósł pytająco brwi.

- Jake Ingram, ten specjalista od finansów zatrudniony przez Bank Światowy do wyjaśnienia sprawy kradzieży?

- Tak. Dlatego zależy nam na pośpiechu.

- No, no, no. Czyli udało mu się ominąć wszystkie zastawione pułapki. Gra staje się coraz bardziej interesująca.

- Cholera jasna, ty mutancie! To nie jest żadna gra!

- Mutancie? - Gideon skierował na Crofta zimne spojrzenie.

- Chciałem powiedzieć... - zaczął Croft, wyraźnie unikając jego wzroku.

- Moja cena właśnie poszła w górę - przerwał mu Gideon. - Chcę słoneczniki Van Gogha sprzedane w zeszłym miesiącu na aukcji w Nowym Jorku.

- Otrzymasz je - przyrzekła Agnes. - Zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby zdobyć je jak najszybciej.

Zwrócił uwagę, z jakim naciskiem wypowiedziała słowo „ludzkiej mocy”. Nie skomentował tego; jedynie skinął głową.

- Pamiętaj, proszę, że wszyscy żyjemy w ogromnym stresie - kontynuowała - a w największym Willard. Trudno mu pogodzić się z myślą, że w rządzie, któremu kiedyś służył i który szczerze podziwiał, zasiadają ludzie, którzy chcą nas zabić. Sam doskonale wiesz, że nie cofną się przed niczym, aby wyeliminować wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób byli związani z Proteuszem.

Gideon milczał. Słyszał to już dziesiątki razy.

- To prawda - przyznał Croft. - Wiem, jak działają agencje rządowe. Nie doczekalibyśmy się uczciwego procesu. Chcą nas zgładzić, tak jak próbowali zabić ciebie dwadzieścia trzy lata temu.

- My się wszędzie ukryjemy, Gideonie - wtrąciła Agnes. - To o ciebie się boję. Zrozum, wciąż szukamy sposobu na zlikwidowanie twojej wady genetycznej.

Twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Wystarczy moment nieuwagi. Wiesz, jakich szkód może ci narobić jedna mała cząsteczka DNA normalnego człowieka? Twój system immunologiczny odmówi posłuszeństwa, a organizm zacznie atakować własne tkanki.

Gideon poczuł ostre klucie w dłoni. Nic dziwnego; zaciskał ją aż do bólu. Powoli zaczął rozprostowywać palce. To też już słyszał dziesiątki razy. Szczegółowo potrafił opisać kolejne etapy dezintegracji, jakiej ulegnie jego ciało, jeżeli on sam nie zachowa należytej ostrożności. Będzie go czekała długa, powolna, nieprzyjemna śmierć.

Agnes pochyliła się do przodu i ciągnęła, zwracając się wprost do kamery:

- Pamiętaj, Gideonie: nie wolno ci pić ani jeść niczego, co się znajduje poza tymi ścianami. Nie możesz pozwolić, aby ktokolwiek cię dotknął. Żyjesz tylko dzięki nam. Dlatego musisz nam pomóc.

Gideon zaklął pod nosem, po raz pierwszy podczas tej rozmowy okazując emocje. Tak, Agnes ma rację. Jeżeli FBI ich znajdzie, on ma najwięcej do stracenia. Wspaniałe uczucie wolności, jakiego

doświadczył poza terenem podziemnego ośrodka, było równie złudne jak jego wspomnienia. Życ w świecie zewnętrznym by nie mógł, więc te wyprawy właściwie mijają się z celem.

- Jak szybko zakończysz pracę?

Próbując zyskać na czasie, Gideon wziął głęboki oddech. Z jednej strony, kusilo go, by spełnić ich prośbę. Łatwiej jest grać w jednej drużynie, niż strzelać do przeciwnej bramki. Z drugiej jednak strony...

Postanowił zaryzykować.

- Zanim odpowiem, chciałbym was o coś spytać.

- Oczywiście. Pytaj.

- Co się stało z innymi dziećmi urodzonymi w trakcie trwania eksperymentu Proteusz?

Gdyby uważnie nie obserwował swych rozmówców, pewnie przegapiłby drobne objawy zaniepokojenia. Agnes wciągnęła gwałtownie powietrze; powieka jej zadrżała. Na monitorze z prawej Croft wyprostował się. Oliver wydał okrzyk, który natychmiast starał się pokryć kaszlem.

Agnes pierwsza odzyskała równowagę.

- Skąd taka myśl w ogóle powstała ci w głowie? - spytała, przerywając ciszę.

Wiedział, że musi zachować ostrożność, aby nie wzbudzić podejrzeń.

- Minęły dwadzieścia trzy lata, odkąd się uratowaliśmy, a wy wciąż powtarzacie, że agenci rządowi nas zabijają. Dlatego się

zastanawiam... czy tak gorliwie poszukiwaliby wszystkich, którzy mieli cokolwiek wspólnego z Proteuszem, gdyby eksperymentu nie powtórzono?

Agnes popatrzyła na Crofta, potem przeniosła spojrzenie na swojego męża.

- Może czas powiedzieć mu prawdę?

-Gideon ledwo ukrył zaskoczenie. Czy Agnes zamierza się przyznać, że go latami okłamywali? Jej gotowość do „szczerzej” rozmowy wydała mu się nagle podejrzana. Skoro kłamała tyle lat, czy teraz może jej ufać?

- Przykro mi, Gideonie. Sądziliśmy, że lepiej ci wszystkiego nie mówić. Dla twojego dobra. Ale oczywiście masz rację. W wyniku eksperymentu powstało więcej żywych istot. A dokładnie sześcioro.

Powstało, nie urodziło się. Żywych istot, a nie dzieci. Gideon zacisnął zęby, starając się nie okazać bólu.

- Co się z nimi stało?

- Jednej pozbyto się ze względu na jej wadę. Pozostałe dożyły do wieku młodzieńczego, ale nie udało nam się w porę do nich dotrzeć. Tej nocy, kiedy dosięgła cię kula, twoja matka...

- Matka?

- Przepraszam, nie powinnam używać słów mających ładunek emocjonalny. - Uniosła brodę. - Chodzi mi o Violet Vaughn, kobietę, w której macicy umieszczono zarodki. Violet była gorącą zwolenniczką Proteusza, dlatego zgodziła się, żeby naukowcy wykorzystali do badań jej ciało.

Violet Vaughn. Widział to nazwisko w aktach CIA. A więc w sprawie udziału Vaughn w programie Proteusz Agnes mówi prawdę. A zatem czy Violet Vaughn była jego matką?

Nie; tylko ludzie mają ojców i matki. On zaś rósł w brzuchu kobiety, której zapłacono za to, by nosiła zarodki. Jedno z jego rodzeństwa urodziło się ze skazą, dlatego się go pozbyto.

Gideon z całej siły próbował zachować kamienny wyraz twarzy. Nie mógł sobie pozwolić na okazanie słabości.

- Vaughn była jedyną osobą, która mogła bez przeszkód wchodzić do laboratorium, które urządziliśmy z Oliverem. Dlatego rząd właśnie jej zlecił wykonanie zabójstwa.

Coś leciutko zakołatało w pamięci Gideona. Jakieś wspomnienie, ale nie wspomnienie ciepła, śmiechu czy plaży. Tym razem było to coś mrocznego, ciemnego. Wspomnienie bólu, strachu, paniki. Towarzyszył temu zapach fiołków oraz swąd prochu strzelniczego. A także niewyraźny obraz ciemnowłosej kobiety.

- Violet Vaughn zastrzeliła pozostałe cztery obiekty badań. W nocy, kiedy spały. - Głos Agnes wdarł się w wizję Gideona. - Wierzyła, że śmierć od kuli będzie szybsza i mniej bolesna niż powolne umieranie na skutek zetknięcia się z kwasem gamma-aminomasłowym. Dokonawszy zabójstwa, Vaughn opuściła ośrodek. Była przekonana, że uśmierciła was wszystkich. Kiedy cię znaleźliśmy, leżałeś zakrwawiony na podłodze. Z trudem cię odratowaliśmy.

Kobieta w jego wizji przyglądała mu się, mrużąc swe niebieskie oczy. Był półprzytomny, bo go wyrwała ze snu. Próbował się bronić, ale był za mały. Wzywał pomocy, ale kobieta nie przejmowała się jego krzykiem. Nagłe poczuł w piersi straszliwy ból, biała piżama zabarwiła się na czerwono...

Gideon wcisnął przycisk, przerywając połączenie z salą konferencyjną. Monitory zgasły. Obrócił się na fotelu, tak by ukryć twarz przed zamontowaną na ścianie kamerą. Oddech miał przyśpieszony. Krople potu rosily mu górną wargę, spływały strużką między łopatkami. Blizna na piersi tętniła.

A jeżeli prawda nie istnieje? Jeżeli nie zdoła jej znaleźć? Albo, co gorsza, jeżeli nie spodoba mu się to, co odkryje? Zacisnął powieki, chcąc pozbyć się obrazu przed oczami. Bał się tego, co jeszcze może zobaczyć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- To był błąd, Agnes. - Croft przemierzał salę nerwowym krokiem, to znikając w półcieniu, to znów pojawiając się w blasku lampy.

- Mylisz się, Willardzie. Przecież wiedzieliśmy, że zaprogramowanie, któremu go poddaliśmy, z czasem ulegnie osłabieniu. Gideon przestał reagować na bodziec hipnotyczny, w który go wyposażyliśmy w dzieciństwie. Musimy znaleźć inny sposób, żeby odsunąć wspomnienia, które powoli zaczynają go nawiedzać.

- Jak to? To ten wierszyk już nie odnosi skutku? Agnes syknęła z irytacją.

- Żadnego.

- Myślałem, że całkowicie wykasowaliście z Oliverem jego wczesną pamięć.

Oliver odchrząknął.

- Mózg jest rzeczą niezbadaną, Willardzie. Nawet gdy dochodzi do poważnego uszkodzenia, niekiedy tworzą się dziwne połączenia między nieuszkodzonymi....

- Chcesz powiedzieć, że on sobie wszystko przypomni?

- Z czasem to niewykluczone - przyznała Agnes. - Pytanie o rodzeństwo może wynikać z logicznej dedukcji, ale też może świadczyć o tym, że proces zdrowienia się rozpoczął.

- Psiakrew.

- Pamiętaj, że mamy do czynienia z niezwykle jednostką - dodał Oliver. - Mózg normalnego człowieka nie zdołałby się zregenerować po „kuracji”, jakiej poddaliśmy Gideona, ale w tym wypadku zmiany genetyczne spowodowały...

- Że mutant sam się wyleczył? - Croft stanął przy swoim krześle i zacisnął palce na metalowym oparciu. - Należało pomyśleć o tym dawno temu. - Popatrzył z pretensją w oczach na siedzącą przy stole parę. - Nie możecie zwiększyć dawki leków psychotropowych w podawanych mu posiłkach?

- Tak, zrobimy to jutro, ale musimy zachować dużą czujność - odparła Agnes. - Już i tak przekraczamy maksymalną dzienną dawkę, a nie możemy całkiem pozbawić go wolnej woli, bo przestanie twórczo myśleć. Jego umysł musi działać sprawnie.

- Ile może minąć czasu, zanim w pełni odzyska pamięć?

- To zależy. Podejrzewam, że proces zdrowienia zaczął się wiele miesięcy temu, mniej więcej w okresie włamania do systemu komputerowego Banku Światowego. Gideon sprytnie to ukrywa, ale zauważyłam, że stał się bardziej oporny, mniej chętny do współpracy.

- Dlaczego mnie nie poinformowałaś?

- Bo to by nic nie dało. Poza tym uważam, że możemy nim manipulować w inny sposób.

Croft usiadł z powrotem na krześle.

- W jaki?

- Właśnie to zademonstrowałam. - Agnes uśmiechnęła się. -

Wzbudzać w nim strach przed wspomnieniami oraz wrogość do rządu.

Uświadamiać mu, co się stanie, jeżeli wpadnie w ręce agentów federalnych. Podkreślać, ile nam zawdzięcza i przypominać, że w zamian liczymy na lojalność. Innymi słowy, uzmysławiać mu, że jeśli nie chce zginąć, to musi być nam posłuszny.

Oliver przez moment dumiał nad słowami żony.

- Obawiam się, że Gideon jest zbyt silny i uparty, aby przez dłuższy czas ulegał manipulacji psychologicznej lub emocjonalnej.

- Na razie to skutkuje - warknęła Agnes. - Nie widziałeś wyrazu jego twarzy, zanim zerwał połączenie?

- Widziałem, ale pamiętaj, że spośród piątki dzieci jego najtrudniej było kontrolować. Miał wrodzoną odporność na leki, które działały na jego rodzeństwo. Musimy być piekielnie ostrożni. Jeżeli on kiedykolwiek pozna prawdę...

- Wtedy to już nie będzie miało znaczenia.

- Ale...

- Kochanie, czy mógłbyś ściągnąć windę? - Agnes przerwała mężowi. - Na górze czeka Victor.

- Victor? Chyba sytuacja nie jest aż tak beznadziejna?

- Jeszcze nie. Wolę być jednak zabezpieczona.

Oliver zmarszczył czoło, jakby nie do końca się zgadzał, ale wstał i, jak zwykle posłuszny, podszedł do niedużej tablicy rozdzielczej. Wystukał kombinację cyfr, by uruchomić mechanizm, po czym wcisnął skaner. Gdy nad windą zapaliło się zielone światelko, odwrócił się do żony.

- Chcesz, żeby Victor zajął się federalnymi?

- Musimy im przeszkodzić. To, że nie zdołaliśmy powstrzymać Jake'a Ingrama, źle o nas świadczy. Tym razem nie wolno nam popełnić najmniejszego błędu.

- Masz rację - poparł ją Croft. - Tym bardziej że jesteśmy już prawie u celu.

- Jak tylko Gideon zakończy przygotowania i przeprowadzi kolejną akcję, będziemy mieli dość funduszy, aby rozmieścić naszych ludzi na całym świecie. Wtedy Victor może zająć się resztą.

- Czyli? - spytał Oliver.

- Budowa nowego ośrodka w Arizonie powoli dobiega końca. Jeśli dobrze pamiętam, nie przewidzieliśmy tam specjalnej „sterylnej” części dla Gideona.

- To prawda - przyznał ze śmiechem Croft. Oliver ściągnął z namysłem brwi, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z niedopatrzenia.

- Więc gdzie on zamieszka?

- Nasze próby odcyfrowania notatek Henry'ego również dobiegają końca. Kiedy wreszcie je rozszyfrujemy, możemy wyprodukować dowolną liczbę nowych Gideonów. Ten nie będzie nam już potrzebny.

Drzwi windy rozsunęły się bezgłośnie. Oliver cofnął się wpuszczając gościa.

Victor Prego wszedł do sali, leniwie rozglądając się dookoła. Miał w sobie coś z padlinożercy. Lojalny i posłuszny, gotów był do największych poświęceń. Wraz z Croftem, Agnes i Oliverem należał

do Koalicji od samego początku. Nie był najważniejszą osobą w organizacji, ale na pewno najgroźniejszą.

Nie przywitał się, nie wymienił żadnych uprzejmości z grupą przy stole, tylko spytał wprost:

- Masz dla mnie zadanie, Agnes?

- Do Portland przybył Jake Ingram - oznajmiła. -Zrób wszystko, żeby nie dotarł do Redemption.

Mężczyzna opuścił wzrok, zatrzymując go na piersiach Agnes. Nikt nie wiedział, co łączy tę dwójkę. Nawet Oliver wolał nie spekulować na ten temat.

- Facet zawsze podróżuje z obstawą - rzekł Prego. - Może dojść do jatki.

- Nie szkodzi. Za wszelką cenę trzeba go powstrzymać. Nie może tu dotrzeć, póki Gideon nie skończy pracy.

Prego przysunął się bliżej; koniuszkiem języka oblizał wargi.

- A potem?

- Potem możesz pozbyć się również Gideona.

Nie zważając na pieczenie w mięśniach, zacisnął zęby i podniósł sztangę. Dodatkowe kilogramy, które doczepił na obu końcach, pomagały mu się skoncentrować na ćwiczeniach. Póki się gimnastykował, póki skupiał się na powtarzaniu jednej monotonnej czynności; nie myślał o niczym innym.

Opuścił wolno sztangę, obserwując w lustrze, czy prawidłowo wykonuje ćwiczenie. Prywatna siłownia wyposażona była we

wszystkie przyrządy potrzebne do tego, by utrzymać ciało w najwyższej sprawności.

Stała tu między innymi bieżnia, na której mógł uprawiać jogging, łóżko do opalania, które dostarczało mu witaminy D, oraz wielkie jacuzzi, w którym można pozbyć się napięcia.

Tak, w swym podziemnym świecie Gideon miał wszystko, czego dusza może zapragnąć. Powinien być zadowolony.

Ponownie zacisnął zęby i napinając maksymalnie mięśnie, wykonał jeszcze jedno powtórzenie. Będzie potrzebował co najmniej dwudziestu minut podwodnego masażu, aby dojść do siebie. Nie szkodzi. Wolał ból od myśli, które go nawiedzały.

Czy Agnes go wczoraj okłamała? Chciał w to wierzyć, ale wspomnienia, które zaczęły się w nim budzić, zdawały się potwierdzać jej słowa. Rozum mówił mu, że powinien zaprzestać poszukiwań i kontynuować pracę, którą obiecał wykonać. Po to został stworzony: aby wykonywać rzeczy niemożliwe. Niestety, skaza genetyczna pozbawiała go swobody działania. Był zależny od Koalicji. Agnes z Oliverem od lat szukali leku, który zlikwidowałby jego ułomność. Nie powinien występować przeciwko swoim wybawcom i opiekunom. Tak, absolutnie powinien zrezygnować z bezsensownych prób poznania swej przeszłości. Przecież to, co zdołał już odkryć, wcale mu się nie podobało. Puścił sztangę. Zadudniła głucho o miękki dywan, ze dwa razy odbiła się o podłogę, i zatrzymała przy ławce. Mimo że mięśnie drżały mu z wysiłku,

rozpierała go energia. Zacisnąwszy pięści, krążył po pokoju. Starał się opróżnić umysł z wszelkich myśli, ale nie potrafił.

Coś w tym wszystkim się nie zgadza. Jeśli jest fizycznie niedoskonałym produktem eksperymentu, to skąd się biorą te inne wspomnienia? Wspomnienie beztroskiej zabawy na plaży, innych dzieci, śmiechu, poczucia przynależności, ciepła? Jak to się ma do ponurego życia, które opisywała mu Agnes?

No i Brooke. Czy umiałby rozpoznać i docenić serdeczność oraz życzliwość, jaką mu okazywała, gdyby nigdy nie zaznał podobnych uczuć?

Może to wszystko było iluzją, rozpaczliwą próbą podjętą przez sztucznie wyhodowany twór natury, który koniecznie chce znaleźć w sobie cokolwiek ludzkiego? Ale dlaczego od tylu lat tkwi w marazmie, dlaczego wcześniej nie poszukiwał prawdy?

Gnębiły go różne wątpliwości. Nie pamiętał pierwszych lat swojego życia, ale nie pamiętał również późniejszych, kiedy znalazł się pod opieką Koalicji. Dlaczego? Może Brooke miała rację, mówiąc o tym, że ludzie starają się wymazać z pamięci nieprzyjemne wspomnienia. Może specjalnie zapomniał o złych rzeczach, jakie miał na sumieniu?

Wrócił do ławy z ciężarami. Dorzucił do sztangi kolejne trzy kilo i znów przystąpił do ćwiczeń. Zmachał się, ale nie poczuł ulgi ani odprężenia. Nic dziwnego. Źródło jego niepokoju tkwi w psychice, nie w ciele.

- Przepraszam. - Ciszę zakłócił głos Olivera. Gideon odłożył sztangę i pochylony, oparł dłonie o kolana, usiłując złapać oddech.

- O co chodzi?

- Mam dobrą wiadomość. Zlokalizowaliśmy Van Gogha i wysłaliśmy naszych trzech najlepszych ludzi, żeby go dla ciebie zdobyli. A Renoir został odkażony i czeka razem z twoją kolacją w komorze powietrznej.

Zaczęło się, pomyślał Gideon. Spełnili obietnicę; teraz będą oczekiwali, że i on dotrzyma słowa.

- Świetnie.

- A jak się posuwa twoja praca?

Gideon uniósł głowę i przez opadające na czoło wilgotne kosmyki popatrzył w róg lustra, gdzie zamontowana była kamera.

- Świetnie.

- To dobrze, cieszę się - rzekł Oliver. - Nasz informator w FBI twierdzi, że Ingram wciąż przebywa w Portland.

Gideon nie zareagował. Czuł ogromny respekt dla człowieka, który od kilku miesięcy ścigał go w cyberprzestrzeni. Niemal deptał mu po piętach. Jeszcze nikomu nie udało się podejść go tak blisko. Jake Ingram udowodnił, że jest groźnym i godnym podziwu przeciwnikiem. Koalicjanci mają rację, że się go obawiają.

On, Gideon, też powinien mieć się na baczności. Jak mu słusznie wytknęła Agnes, gdyby go schwytano i postawiono przed sądem, nie dożyłby do końca procesu.

- Myślę, że prezenty sprawią ci radość.

- Prezenty?

Tak. Oprócz obrazu Renoira zdobyliśmy książki,- o które prosiłeś.

Książki? Ach, tak. Przypuszczalnie chodzi o Conan Doyle'a. Poprosił o nie dla kaprysu, ale oczywiście bardzo chętnie je przeczyta. Z ciekawości i żeby mieć o czym rozmawiać podczas następnego spotkania z Brooke.

Wziął głęboki oddech, po czym wolno wypuścił powietrze. Brooke. Tak, na pewno się z nią spotka. Jeszcze nie zamierzał się poddawać. Przecież dobre wspomnienia, które czasem go nawiedzają, muszą o czymś świadczyć. Owszem, miał silny instynkt samozachowawczy, ale istniało w nim także ogromne pragnienie odkrycia prawdy. Nawet gdyby w dążeniu do prawdy miał zginąć, to trudno; gotów był podjąć ryzyko.

Już od pewnego czasu wiedział, że musi coś zmienić; że nie może dłużej żyć tak jak dotąd.

- Sprawia, Oliverze. Nie mam wątpliwości.

- Cieszę się.

- Mam jeszcze jedną prośbę.

- Tak?

- Proszę mi dziś już więcej nie zakłócać spokoju.

- Dobrze. Chyba żeby wydarzyło się coś...

- Jeśli mam ułożyć plan kolejnej kradzieży, muszę się porządnie wysypiać. Mój umysł, kiedy jest zmęczony, nie pracuje na najwyższych obrotach.

- Wiem, już nam o tym mówiłeś. Ale...

- Żadnych ale. Jeżeli ktokolwiek przerwie mi odpoczynek, zrywam naszą umowę.

Odwróciwszy się plecami do lustra, skierował się w stronę sali kąpielowej. Dręczyła go niepewność, czy słusznie postąpił, upierając się przy swoim. Wszelkie pragnienia raczej należy trzymać w tajemnicy przed członkami Koalicji. Z" drugiej strony nie może ryzykować, że jego nocne wypadki do miasteczka wyjdą na jaw.

Zwłaszcza kiedy Ingram jest coraz bliżej. Jeżeli teraz nie odkryje prawdy o sobie, może już nigdy nie będzie miał ku temu okazji.

- Zepsuło się radio? Co to, do cholery, za rzepolenie? Brooke zacisnęła zęby, modląc się o cierpliwość.

Trzej mężczyźni, którzy przyszli jakieś czterdzieści minut temu, opróżnili już talerze, czyli niedługo opuszczą lokal. Przynajmniej miała taką nadzieję.

- „Adagio” Albinoniego - odparła, zerkając na leżące na barze opakowanie po płycie CD.

- Lalcia, ten twój Albinos, czy jak mu tam, przyprawia mnie o skręt kiszek! - ryknął najgłośniejszy z grupy. - A ciebie nie? - Zadowolony z siebie dźgnął łokciem w żebro siedzącego obok kumpla.

- Chryste, Rudy, uważaj! To boli. Rudy ponownie go dźgnął.

- Boli? Ty, Jeff, nawet nie wiesz, co to jest prawdziwy ból.

Kiedy robiłem jako drwal i potężny świerk zwałił mi się na nogę...

- Już pięć razy nam o tym opowiadałeś, stary. - Trzeci mężczyzna poderwał się od stołu. - Jeśli mam tego słuchać po raz szósty, to chcę piwa. Chodźmy do Wagonwheel.

Brooke błagała w duchu pozostałych dwóch, aby posłuchali sugestii kolegi, zapłacili i wyszli. Tawerna Wagonwheel należała do najpopularniejszych w miasteczku. Choć sądząc po zapachu, jaki czuć było od trójki gości, dzisiejszego wieczoru panowie zaliczyli już kilka barów.

Rudy, potężnie zbudowany mężczyzna o kilkunastu dniowym zarostem, obejrzał się przez ramię i posłał Brooke obleśny uśmiech.

- Hej, lalciu, bądź miła. Daj nam coś do picia.

- Przykro mi - odrzekła Brooke. - Już mówiłam, nie podajemy tu alkoholu.

Mężczyzna wstał, wsunął kciuki w szlufki spodni i chwiejnym krokiem ruszył w stronę bufetu.

- Na pewno masz tam schowaną jakąś butelkę. Moglibyśmy sobie urządzić małą imprezkę, uczcić zbliżający się koniec roku. Co ty na to?

Żałowała, że wcześniej, kiedy tylko zaczęli zachowywać się - nieprzyjemnie i arogancko, nie wyprosiła ich z lokalu. Ale było jej ich żal. Z tego, co słyszała - a rozmawiali na tyle głośno, że nawet nie musiała wyteżać słuchu - wiosną stracili pracę w tartaku i zasilili szeregi bezrobotnych.

Współczuła ludziom, którzy na skutek sytuacji będącej poza ich kontrolą borykają się z problemami. Nie bała się zaczepnych,

kłótliwych klientów. Zanim jeszcze okoliczne zakłady pobankrutowały, do Highway Grilla często zaglądali w dniu wypłaty drwale, którzy wcześniej zdążyli przepić znaczną część pensji. Niestety, dzisiejszy gość zachowywał się wyjątkowo odrażająco. Brooke wyjęła z kieszeni bloczek, wyrwała kartkę i położyła ją na barze.

- Proszę, oto pański rachunek.

- Niezbyt jesteś miła, wiesz, lalciu? Mogłabyś się bardziej postarać.

- Chciałabym, żeby panowie zapłacili i wyszli.

- A ja bym chciał, żebyś zdjęła fartuszek i wyszła zza baru. -

Przysiadł na wysokim stołku i poklepał się po kolanie. - Chodź na kolanka do wujcia Rudy'ego.

Brooke przeniosła spojrzenie na jego kompanów, którzy akurat odsunęli krzesła od stołu. Zamiast podjudzać i dopingować kumpla, miny mieli jakby zawstydzone.

- Czy mam wezwać taksówkę? - zapytała Brooke. - Czy wolą panowie, żebym zadzwoniła po szeryfa Woodalla? On często zagląda tu przed zamknięciem. Jeśli go poproszę, na pewno chętnie odwiezie panów radiowozem.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Salę wypełniała łagodna muzyka Albiniego stanowiąca kontrast dla silnych emocji, które mężczyźni z trudem skrywali.

Brooke uniosła rękę do telefonu wiszącego na ścianie, by pokazać, że wcale nie blefuje. Poskutkowało.

- Niech pani nie dzwoni do szeryfa - poprosił Jeff. Wyciągając z kieszeni portfel, podszedł do baru.

Zostawił dokładnie taką sumę, jaka widniała na rachunku, po czym zapiął kurtkę i skierował się ku drzwiom.

- Ja stawiam, Rudy - oznajmił, zwracając się do kumpla. - Na co nam kłopoty? Lepiej chodźmy do Wagonwheel.

Brooke cofnęła rękę od aparatu i utkwiała wzrok w przywódcy grupy. (

- Puszczają tam lepszą muzykę - stwierdziła, podsuwając mu pretekst, by mógł wyjść bez ujmy na honorze.

- Racja. - Rudy zeskoczył ze stołka. - Takiego rzępolenia człowiek nigdzie nie uświadczy. - Nie odrywając oczu od Brooke, złapał się za krocze. - I pomyśleć, że chciałem ci dać napiwek, który zapamiętałabyś do końca życia.

Ignorując jego nieprzyzwoity gest, czekała przy telefonie, aż mężczyźni opuszczą lokal. Potem czekała, aż wsiądą do samochodu i odjadą. Dopiero kiedy zobaczyła znikające w oddali czerwone światelka, odetchnęła z ulgą i ruszyła sprzątnąć ze stołu.

Gdy zebrała naczynia i odwróciła się, w otwartych drzwiach kuchni ujrzała Mabel.

- Dlaczego nie wezwałaś pomocy? Wyminąwszy ją, Brooke weszła do kuchni.

- Wezwałam, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli.

- Świntuch z tego Rudy'ego.

- Owszem, ale za to nie wsadzają do więzienia. Gdyby każdego świntucha pakowali za kratki, wkrótce więzienia byłyby przepełnione.

- Brooke wstawiła do zlewu naczynia. - Z początku było mi ich nawet żal. Od ponad pół roku są bez pracy, a czasem stres i niepowodzenia wyzwalają w ludziach najgorsze instynkty.

- Przestań ich usprawiedliwiać. Niektórzy po prostu rodzą się źli.

- A inni takimi się stają na skutek różnych okoliczności życiowych.

Mabel przewróciła oczami.

- Masz za dobre serce, Brooke. Potrafiłabyś usprawiedliwić nawet diabła. - Ruszyła do drzwi. - Idę pozamykać.

- Pozamykać? - Brooke zostawiła naczynia i wybiegła za szefową z kuchni. - Jeszcze nie ma wpół do dwunastej.

- Już nikt nie przyjdzie. Cały wieczór mamy mały ruch - oznajmiła Mabel, zaciągając zasuwę. - Między świętami a Nowym Rokiem wszyscy siedzą w domu. Poza tym jutro rano mam spotkanie z bankierem w Portland, więc muszę wcześniej wstać.

- No to idź. Ja zostanę, a potem pozamykam. Mabel przekręciła tabliczkę na drzwiach, tak by od zewnątrz widniał napis "zamknięte".

- Zważywszy na ostatnich klientów, wydawałoby mi się, że na dziś masz już dość.

- Nie, naprawdę. Chętnie dłużej zostanę.

- Dlaczego nie chcesz iść do domu? - Mabel nagle nabrała podejrzeń. - Spodziewasz się kogoś? - Zmrużyła oczy. - Więc o to chodzi, prawda? Powinnam była się domyślić.

- Czego?

- I dlatego włożyłaś dziś tę sukienkę. - Mabel podeszła do Brooke i zmierzyła ją od stóp do głów. - Podoba mi się ten błękit, oczy ci tak ładnie błyszczą. Ale błyszczą z podniecenia, a nie od błękitu...

- Mabel...

- Nic dziwnego, że postraszyłaś drani szeryfem. Wcale nie blefowałaś, prawda? Wiedziałaś, że Trevor tu zajrzy.

- Mylisz się, Mabel. Nie oczekuję wizyty Trevora. Uprzedził mnie, że do końca tygodnia będzie zajęty sprawami FBI. - Strzepnęła z rękawa kilka okruszków. Obcisła welurowa sukienka to nie najlepszy pomysł na strój do pracy, pomyślała kwaśno. - Słuchaj, wiem, że życzysz mi dobrze, ale dlaczego ciągle starasz się mi go narzucić?

- Tak to odbierasz? Że ci go narzucam?

- Tak. I wolałabym, żebyś tego nie robiła.

- W porządku. - Mabel uniosła ręce w przeproszającym geście, ale miny wcale nie miała skruszonej. -Swoją drogą, co ci w nim przeszkadza? Może brakuje mu ogłady, ale to dobry człowiek. Trochę mi przypomina mojego drugiego męża. Ian był jak wielkie łagodne psisko, które na widok ukochanej osoby tak energicznie macha ogonem, że wszystko strąca na podłogę.

- A jednak się z nim rozwiodłaś - zauważyła Brooke.

- Masz rację. - Mabel skrzywiła się.

- Dlaczego?

Mabel zerknęła na drzwi, po czym puściła oko do swojej młodej przyjaciółki.

- Bo mi nic w sercu nie dzwoniło, kiedy się pojawiał.

- Mnie też nic nie dzwoni na widok Trevora.

- Nic? Żaden dzwoneczek?

- Żaden.

- Szkoda. - Mabel zmarszczyła czoło. - Więc dlaczego się wystroiłaś?

Brooke westchnęła. Powinna wiedzieć, że Mabel tak łatwa się nie podda. Wydobywszy z kieszeni fartucha ściereczkę, zaczęła wycierać blat najbliższego stolika.

- Ostatnio nigdzie nie wychodzę, a ponieważ jest okres świąteczny; postanowiłam skorzystać z okazji... - Wzruszyła ramionami.

- A muzyka klasyczna? - drażyła Mabel. - To też z okazji świąt?

- Znalazłam płytę na wyprzedazy - odparła dziewczyna, coraz energiczniej szorując blat. - Pomyślałam, że dla odmiany puszczyć coś innego.

Mabel ujęła ją za łokieć i obróciła twarzą do siebie.

- Słuchaj, dziecino, nie chcę psuć swojego wizerunku twardej nieczulej baby, ale... martwię się o ciebie. Naprawdę za wiele godzin spędzasz w pracy. Rano pieczesz te swoje ciasteczka, potem cały dzień obsługujesz... Wykończysz się.

- Nic mi nie będzie. Pomagam ci, bo sama byś sobie nie poradziła. Poza tym nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś, kiedy

potrzebowałam pomocy. A te moje poranne wypieki... Dobrze wiesz, jakie to dla mnie ważne. W przyszłym roku chcę otworzyć własny interes.

- Wiem. I świetnie cię rozumiem. Mam nadzieję, że spełnią się twoje marzenia. Zaslugujesz na sukces.

- Ale?

- Ale nie popełnij tego błędu co ja.

- Czyli?

- Może to z powodu świąt, a może - o zgrozo! -staję się z wiekiem coraz bardziej sentymentalna, ale widzę w tobie wiele własnych cech. - Puściła łokieć swojej młodej przyjaciółki i wskazała ręką na pusty lokal. - Po trzecim rozwodzie postanowiłam, że już od nikogo nie będę zależna. Wszystkie oszczędności oraz całą energię włożyłam w ten lokal. Uważałam, że tylko w ten sposób osiągnę zadowolenie i szczęście. Po prostu bałam się kolejnego rozczarowania. Myślałam, że jeśli zajmę się pracą, nie będę miała czasu na zawieranie znajomości.

- Mabel...

- Złotko, wiem, że masz prawo bać się mężczyzn. Rany, jakie zadał ci Frank, długo się goją. Dlatego nie wzywałaś dziś pomocy, prawda? Chciałaś sobie udowodnić, że potrafisz stawić czoło kłopotom?

Brooke przyznała jej w duchu rację. W słowach Mabel było wiele prawdy. Ilekroć bowiem wychodziła obronną ręką z takich sytuacji jak dzisiejsza, czuła się wzmocniona, bardziej pewna siebie.

- Tylko pamiętaj - ciągnęła Mabel - że poza gnojkami i palantami istnieją też porządni faceci. Jesteś wspaniałą dziewczyną o dobrym, czułym sercu; nie chcę, żebyś została sama.

Nie zostanę, pomyślała Brooke. Czekam przecież na Gideona.

Dumając nad słowami Mabel, przyciemniła światła i udała się do kuchni, by przygotować wszystko na jutrzejszy dzień. Wnikliwość starszej kobiety nie zdziwiła jej; bądź co bądź, Mabel doskonale ją znała.

Faktycznie włożyła swoją ulubioną welurową sukienkę ze względu na mężczyznę. Cały wieczór na dźwięk dzwonka zerkała na drzwi, raz po raz spoglądała przez okno na parking. Ale nie czekała na statecznego, odpowiedzialnego szeryfa. Czekala na... Na kogo? Na poetę? Na pirata?

Znała tylko jego imię; nie znała nazwiska. Nie wiedziała, skąd pochodzi, gdzie mieszka, czy w ogóle dziś zajrzy do Grilla. Czy dlatego ją pociąga? Bo jest taki tajemniczy i nieosiągalny, a skoro nieosiągalny, to znaczy, że niczym jej nie zagraża?

Może. Nigdy dotąd nie spotkała kogoś takiego jak on. Kogoś tak fascynującego, tak intrygującego. Nie potrafiła zapomnieć wyrazu samotności, który ujrzała w jego oczach.

Miał słuszość, mówiąc o muzyce klasycznej. Kiedy nastawiła płytę, w pierwszej chwili poczuła się zagubiona, nic nie rozumiała, ale potem, gdy się skupiła, dźwięki zdawały się przenikać ją na wskroś. Chętnie znów posłuchałaby Albiniego. Miałaby o czym rozmawiać z Gideonem, kiedy ją odwiedzi.

Ale dziś już nie zajrzy, pomyślała dwadzieścia minut później, gasząc w kuchni światła. Obie z Mabel opuściły lokal. Brooke pomachała do przyjaciółki, gdy ta wyjeżdżała samochodem z parkingu, po czym wyjęła z kieszeni kluczyki i skierowała się do własnego auta.

Nagle usłyszała za sobą kroki. Czyżby jednak przyszedł? Obejrzała się zaciekawiona.

Czyjaś gruba łapa zacisnęła się na jej ramieniu.

- Wreszcie, lalciu! Długo kazałaś na siebie czekać. No, idziemy się zabawić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

To, że z miejsca nie obezwładnił jej strach, świadczyło o tym, jakie postępy poczyniła od wyjazdu z Wichity. Pierwsze, co poczuła, to było obrzydzenie. Rozpoznała głos napastnika; oddech Rudy'ego cuchnął piwem. Facet wrócił, by się na niej zemścić. Tym razem nie było świadków ani baru, za którym mogłaby się schować.

- Puść! - Usiłowała się oswobodzić.

Zacisnął mocniej rękę na jej ramieniu, drugą ręką objął ją w pasie.

- Wiem, czego ci brakuje, lalcia. Cały wieczór kręciłaś pupcią i strzelałaś do mnie oczami. Chodźmy, tam stoi moja furgonetka. - Zaczął ciągnąć Brooke w gęsty mrok po drugiej stronie ulicy. - Będzie nam ciepło i wygodnie, zobaczysz. Tylko my i butelka tequili.

Chociaż miała na sobie grubą puchową kurtkę, czuła, jak palce mężczyzny boleśnie wbijają się w jej ciało. Wiedziała, że jutro na ramieniu będzie miała sińce. Obrzydzenie ustąpiło miejsca wściekłości. Obróciwszy się, zgięła nogę i kolaniem wycelowała w krocze napastnika.

Mimo potężnej postury odskoczył szybko w tył. Kolano Brooke jedynie otarło się o jego udo.

- Suka! - warknął, chwytając ją za włosy. - Lubisz brutalną grę? W porządku, mnie to pasuje.

Łzy podeszły jej do oczu. Z przerażeniem zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Ciemno, pusto, wokół żywej duszy. Nawet gdyby

zdołała się wyrwać, dokąd by uciekła? Facet złapałby ją, zanim zdążyłaby przekręcić klucz w drzwiach Grilla. Do samochodu też nie dobiegnie. Szosą nic o tej porze nie jeździ, a gdyby jakimś cudem ktoś akurat się trafił, mógłby nie zauważyć, co się dzieje na parkingu.

Boże, dlaczego wcześniej nie zadzwoniła na policję? Czy musi sobie wciąż udowadniać, że nie jest ofiarą?

Odruchowo zaczęła krzyżeć; wcale nie liczyła, że ktokolwiek ją usłyszy, po prostu krzyk sam podszedł jej do gardła. Wrywała się, szarpała, kopała...

- Puść ją.

Ten głos był wybawieniem. W pierwszej chwili miała wrażenie, że wyobraźnia płata jej figła. Mimo że Rudy wciąż ciągnął ją za włosy, obejrzała się za siebie. Kątem oka, poprzez łzy, ujrzała Gideona, który wyłonił się z ciemności na obrzeżach parkingu.

- Puść ją - powtórzył.

- Zjeżdżaj - warknął Rudy. - Ona idzie ze mną. Gideon zbliżał się wolno niczym groźny drapieźnik okrążający swą ofiarę; wreszcie stanął, blokując napastnikowi drogę do furgonetki.

- Masz ją natychmiast puścić - rzekł tonem, jakiego Brooke nigdy wcześniej u niego nie słyszała. Tonem zimnym jak otaczająca ich noc.

- Nie wtrącaj się - wycedził przez zęby Rudy. - Pilnuj własnego nosa.

- To twoja furgonetka? - spytał Gideon. Rudy przystanął.

- Spadaj, do jasnej cholery.

Gideon okręcił się na jednej nodze, drugą uniósł łukiem, po czym z całej siły uderzył obcasem w boczne lusterko. Rozległ się zgrzyt metalu, brzęk szkła. Lusterko potoczyło się po masce.

- Hej! - ryknął olbrzym. - Zostaw ten wóz! Odbiło ci czy co?

- Puść ją.

- Odwal się od mojej furgonetki!

Gideon powtórzył manewr, tym razem roztrzaskując obcasem reflektor.

Rudy odepchnął dziewczynę. Na szczęście w ostatniej chwili wyciągnęła ręce, tym samym łagodząc upadek. Zanim zdążyła się podnieść na kolana, Rudy już się szykował do zadania ciosu.

- Gideon, uważaj! - krzyknęła.

Uniknął pierwszego uderzenia, ale drugie trafiło go w skroń. Gideon zachwiał się. Sprawiał wrażenie zdziwionego.

- Ty bydlaku, ty! To za moje lusterko! I za reflektor! - Rudy ponownie się zamachnął i rąbnął Gideona pięścią w brzuch.

Brooke dźwignęła się na nogi, z przerażeniem patrząc na to, co się dzieje. Choć mężczyźni byli na oko jednego wzrostu, Gideon ważył co najmniej trzydzieści kilo mniej od swego przeciwnika. Wydawał się też znacznie mniej doświadczony w prowadzeniu bójek. Wykorzystując swą przewagę fizyczną, Rudy wymierzał cios za ciosem.

Zastanawiała się nerwowo, co robie. Mogłaby otworzyć lokal i wezwać policję, patrząc jednak na Rudy'ego, który jak opętany bił Gideona, przyszło jej do głowy, że Gideonowi bardziej przydałaby się

karetką niż policja. Zaczęła się rozglądać, szukając czegoś, co by się nadało na broń: kamienia, kija, czegokolwiek. Nagle Gideon się ocknął; kolejny cios zablokował ramieniem, po czym łokciem przyłożył przeciwnikowi w twarz.

Rudy'emu trysnęła krew z nosa, znacząc na czerwono policzek Gideona. Wydając z siebie przeciągły ryk, olbrzym zacisnął łapska na szyi wroga, a gdy Gideon uniósł ręce, by się oswobodzić, wbił zęby w widoczny nad skórzaną rękawicą nadgarstek.

Obserwując tę brzydką brutalną walkę, Brooke zrobiło się słabo. Zdała sobie sprawę, że sama nie miałaby najmniejszej szansy uwolnić się od łobuza. Gideonowi jednak się udało. Najpierw podstawił mu nogę, by olbrzym stracił równowagę, po czym chwycił go za pasek i cisnął na zderzak. Po chwili Rudy osunął się na ziemię.

Spoglądając na pogięty błotnik, Gideon podszedł do przeciwnika i butem przewrócił go na wznak. Olbrzym jęknął i złapał się za głowę.

- Dobrze ci radzę: spływaj stąd, póki jeszcze ty i twój pojazd jesteście na chodzie - rzekł Gideon. Pochyliwszy się nad leżącym mężczyzną, chwycił go za kołnierz i podniósł z ziemi. - Jedź i nie wracaj.

Olbrzym wykrzywił pogardliwie usta. Ręce Gideona zacisnęły się na jego szyi. Pogardliwy wyraz od razu znikł z twarzy olbrzymia. Mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

- Nie zamierzam z tobą dyskutować - oznajmił Gideon. - Jeżeli natychmiast nie odjedziesz, twoja furgonetka ulegnie dalszej dewastacji. A dokonam jej twoim własnym ciałem.

- Idź do diabła!

Gideon odwrócił się, unosząc Rudy'ego i celując nim w przednią szybę.

- Dobra! Już dobra! - wrzasnął olbrzym, usiłując przytrzymać się wroga.

Gideon zmienił nieco kierunek i rzucił Rudym w drzwi furgonetki. W karoserii pojawiło się kolejne wgniecenie.

- Nie chcę cię tu więcej widzieć, słyszysz?

- Wariat - mruknął Rudy, unosząc się na kolana. Z kieszeni kurtki wyciągnął klucze, po czym otworzył drzwi i wgramolił się na siedzenie. - Ta suka nie jest tego warta.

Gideon zdecydowanym krokiem ruszył na tył pojazdu. Zanim kopniakiem zdążył uszkodzić światła stopu, olbrzym przekręcił kluczyk w stacyjce i z piskiem opon opuścił parking. Dopiero gdy furgonetka znikła z pola widzenia, Gideon obrócił się przodem do Brooke.

- Nic ci nie jest? - Ciężko oddychał. Włosy opadały w nieładzie na twarz. Spojrzenie miał ponure, ale głos wyjątkowo ciepły i łagodny.

Serce biło jej zbyt mocno, aby mogła odpowiedzieć. Czy spokojny zrównoważony poeta i odważny wojownik, który stanął w jej obronie, to naprawdę jeden i ten sam człowiek? Nagłe zachwiała się; czuła, że za moment upadnie.

W dwóch susach znalazł się u jej boku i przytrzymał ją, zanim osunęła się na ziemię.

- Coś ci zrobił? - spytał.

Pokręciła przecząco głową. Owszem, bolało, kiedy Rudy wbijał paluchy w jej ramię i kiedy ciągnął ją za włosy, ale prawie już o tym nie pamiętała. Aż bała się pomyśleć, co by było, gdyby Gideon się nie pojawił.

- Nie, nic mi nie jest - odparła. - A ty? Jak się czujesz?

- W porządku. Żałuję, że nie dotarłem tu wcześniej.

- Dobrze, że w ogóle dotarłeś. On... Boże, nie mogę uwierzyć, że on... że...

- Brooke?

Zamrugnęła powiekami, ale nie zdołała pohamować łez.

- Nienawidzę tego! Tego uczucia totalnej bezradności! Kiedy chwycił mnie za rękę... - Głos uwiązł jej w gardle. Po chwili uniosła dłoń, żeby zetrzeć krew z twarzy swego wybawcy. - Dziękuję, Gideonie.

Przerażony jej dotykiem zeszywniał, po czym odchylił głowę, tak by nie mogła dosięgnąć jego policzka.

- Masz krew na twarzy - rzekła.

- Co?

- Nie martw się. Jestem prawie pewna, że to nie twoja. Kiedy uderzyłeś drania, widziałam, jak mu z nosa tryska fontanna... Boże, to było straszne.

- Nawet nie zauważyłem - powiedział. Wytarłszy ostrożnie twarz, popatrzył na mokre czerwone plamy na osłoniętych rękawiczką palcach.

Brooke ujęła go za rękę i lekko ją obróciła.

- Co z twoim nadgarstkiem?

- A co ma być?

- Widziałam, jak cię Rudy ugryzł.

Gideon podciągnął rękaw. Pod czarnymi włosami porastającymi przedramię ujrzał dwa rzędy śladów po zębach; w górnym skóra była rozcięta. Na ranie wciąż połyskiwały resztki śliny.

- Faktycznie - szepnął. - Ugryzł mnie. - Wpatrywał się w nadgarstek niczym człowiek w transie.

- Walczył brutalnie. - Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, zaczęła dygotać. Kolana miała jak z waty. Uchwyciła się płaszcza mężczyzny, by nie upaść. -Powinniśmy zdezynfekować ranę.

Nie odpowiedział. Brooke uniosła oczy.

- Słyszysz?

W milczeniu popatrzył na nią tym samym tępym wzrokiem, co przed chwilą patrzył na ślady krwi na palcach oraz ślady zębów na nadgarstku.

- Gideon, błagam - szepnęła, przysuwając twarz do jego twarzy - nie odpływaj myślami.

Wciągnął nozdrzami powietrze, następnie wolno zbliżył rękę do policzka dziewczyny. Zawahał się na ułamek sekundy, po czym zdjął rękawiczkę i ponownie zbliżył dłoń. Od twarzy Brooke dzieliły go milimetry; czuł bijące od niej ciepło.

- Gideon?

Wypuściwszy z płuc powietrze, delikatnie otarł palcem łzę. Takiego wyrazu twarzy - bólu zmieszanego z przyjemnością - Brooke jeszcze nigdy nie widziała. Goś ją ścisnęło w sercu. Nie mogąc się opanować, potarła policzkiem o dłoń mężczyzny, osuszając łzy.

- Powinniśmy zawiadomić policję - rzekła.

- Policję? - spytał z napięciem w głosie.

- Zresztą może nie warto. Doskonale sobie z nim poradziłeś.

Wątpię, żeby tu wrócił, a ja... po prostu chcę iść do domu. - Tak, była nieludzko zmęczona. Marzyła o tym, by odpocząć. - Gideon, proszę, odprowadź mnie. Dobrze?

Mieszkanko Brooke było tak małe, że zmieściłoby się w jednym rogu podziemnej biblioteki Gideona. Znajdowało się na górnym piętrze dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły. Okno saloniku wychodziło na ulicę, wzdłuż której stały inne dwupiętrowe budynki z takiej samej cegły, natomiast z okna nad wanną w łazience rozciągał się widok na niedokończone domy pod lasem, których budowę wstrzymano wiosną, kiedy na skutek recesji zabrakło chętnych na domy już wybudowane.

Gideon uświadomił sobie, że ta niedokończona budowa to jego wina. Gdyby nie włamał się do Banku Światowego... Zawsze dbał o to, aby nikt nie stracił życia w wyniku jego machinacji finansowych, istniały jednak inne, bardziej podstępne sposoby wyrządzenia ludziom krzywdy.

Na szczęście Achilles zakończył swą przestępczą działalność. Nie dokona żadnych więcej kradzieży; nie ulegnie żadnym naciskom ani szantażom, że jeśli chce żyć, to musi wypełniać rozkazy Koalicji.

Powinien był poczuć ulgę, że wreszcie jest wolny, tak jednak się nie stało. Czuł się oszukany i bezradny. Miał ochotę wyć ze złości.

Lecz szkoda mu było na to czasu, zwłaszcza że zostało go tak niewiele. Zastanawiał się, co można zrobić w kilka godzin albo dni?

Opuścił białą koronkową zasłonkę, pozwalając, by przysłoniła mrok za oknem. Wyglądała delikatnie, w dotyku jednak była zadziwiająco szorstka. Następnie przesunął dłoń po chłodnej szybie oraz drewnianym parapecie. Sprawdzał, badał. Na niebieskim porcelanowym spodku leżały małe zielone koraliki. Podniósł kilka: były miękkie, galaretowate, zawierające w środku jakiś płyn. Zbliżył je do nosa. Pachniały świeżością.

Jak śnieg padający nocą. Jak Brooke.

- Już jestem - powiedziała. - Usiądź. Odłożywszy koraliki na miejsce, odwrócił się do niej przodem. Stała nieopodal, trzymając w dłoni ciemnobrązową buteleczkę. Ślady po łzach znaczyły jej zaróżowione policzki. Niewiele się namyślając, lekko je pogładził.

- Nie warto, Brooke.

W milczeniu wbiła oczy w jego usta.

Czy za często jej dotyka? Cofnąwszy rękę, usiadł na krawędzi wanny. Wpatrywał się w twarz dziewczyny, zastanawiając się, o czym teraz myśli. Rumieniec na policzkach Brooke nie wynikał ze zdenerwowania. Owszem, zdenerwowała się sceną przed lokalem, ale

w miarę oddalania się od miejsca bójki stawała się coraz spokojniejsza. Samochód prowadziła sama. Żałował, że nie może zastąpić jej przy kierownicy, ale chociaż teoretycznie wiedział, na czym polega prowadzenie auta, to w praktyce nigdy nie siedział za kierownicą.

Oczywiście Brooke to nie przeszkadzało. Poprosiła go, aby towarzyszył jej do domu nie dlatego, że mogła zgubić drogę, ale dlatego, że potrzebowała bliskości drugiego człowieka.

On też nie chciał być sam. W dodatku po raz pierwszy w życiu nie musiał się izolować, unikać kontaktu.

Badał otoczenie wszystkimi zmysłami. Najciekawszych wrażeń dostarczała sama Brooke. Fascynował go zapach jej skóry i włosów, łagodne zaokrąglenie bioder i piersi ukrytych pod sukienką, malutkie zmarszczki pojawiające się w kącikach oczu, kiedy się uśmiechała. Mógłby spędzić całe lata na uważnym studiowaniu każdego aspektu ciała i psychiki tej dziewczyny.

Niestety, nie miał przed sobą lat życia. Proces deterioracji przypuszczalnie już się rozpoczął. Kwas gamma-aminomasłowy obecny w krwi i ślinie Rudy'ego przeniknął przez jego, Gideona, skórę, dostał się do krwiobiegu i teraz wędruje do wszystkich genetycznie zmodyfikowanych komórek. Układ immunologiczny zapewne szykuje się do walki z intruzem, ale walka z góry skazana jest na przegraną. Gideon wiedział, co nastąpi. Jutro płuca zaczną wypełniać się płynem, pojutrze nerki zastrajkują. Ciało i umysł szybko odmówią posłuszeństwa, ale śmierć nie nastąpi od razu.

Będzie zdychał przez tydzień, nieświadomy niczego prócz koszmarnego bólu.

- To może zabołec - powiedziała Brooke, ujmując jego dłoń.

Kiedy podsunęła wyżej rękaw czarnej koszuli, by odsłonić nadgarstek, Gideon poczuł rozkosz, nie ból. Ludzki dotyk. Tak bardzo za nim tęsknił, tak często o nim czytał, tyle razy zastanawiał się, jaki on może być. Rzeczywistość okazała się wspanialsza od marzeń.

Brooke przytuliła się do niego na parkingu, potem znów, gdy weszli do mieszkania i zamknęli za sobą drzwi. Szukała pocieszenia, a on bał się, że nie będzie umiał zaspokoić jej potrzeb.

Nikogo dotąd nie musiał pocieszać. W świecie, w którym żył, liczyła się siła, władza, pieniądze. Słabości należało eliminować. Ludzkie odruchy nie były czymś, co mu wpajano od dziecka, czymś, z czym jego wzbogacony genetycznie umysł miał do czynienia.

A jednak przekonał się, że wyrażanie uczuć nie stanowi dla niego problemu. Dobre słowo, serdeczność, dotyk. Zwłaszcza dotyk. Nie wyobrażał sobie, że tak długo mógł bez niego funkcjonować. No właśnie. Funkcjonował. Egzystował. Ale to nie było prawdziwe życie.

Poczuł gryzący zapach i pieczenie, gdy dziewczyna płynem z buteleczki polała ślady po zębach Rudy'ego. Kiedy skończyła, Gideon delikatnie odgarnął opadające jej na twarz kosmyki, po czym zamarł bez ruchu, kiedy wciągnęła z sykiem powietrze.

- Przepraszam - szepnął. - Pewnie głowa cię boli. Ten drań strasznie mocno szarpał cię za włosy.

- Nie, nic mi nie jest. Dzięki tobie.

Wtedy, na parkingu, kiedy usłyszał jej krzyk, instynktownie rzucił się na pomoc. Nie zastanawiał się nad konsekwencjami; liczyła się tylko Brooke. Ale nawet gdyby pomyślał o ryzyku, podjąłby identyczną decyzję.

Rzecz jasna wiedział, że jednym dobrym uczynkiem nie wymaże wszystkich swoich win, ale przynajmniej umrze ze świadomością, iż nie jest od początku do końca przesiąknięty złem.

- Masz takie piękne włosy - zauważył cicho. -Przypominają Appalachy jesienią, kiedy liście przybierają płomienne barwy czerwieni i złota...

- Byłeś... - Zwilżyła wargi. - Widziałeś Appalachy?

- Tylko na zdjęciach. - Pochylił się, przytykając nos do jej bujnych loków. - Intryguje mnie twój zapach, Brooke. Stanowisz... zagadkę dla zmysłów. Powiedz, co to są te zielone koraliki?

- Zielone koraliki? A, chodzi ci o kulki z olejkiem -do kąpieli?

- No tak. - Potarł jej włosy o swoje usta, po czym uśmiechnął się. - Rozpuszczają się w ciepłej wodzie?

- Tak.

- Potem zanurzasz się w wannie i olejek natłuszcza skórę...

Odwróciwszy się, postawiła na umywalce buteleczkę z płynem dezynfekującym.

- Nakleję ci plaster.

- Po co?

- Żeby jodyna nie zabrudziła ci ubrania.

- Podwinę rękawy. - Tak też zrobił. Rumieniec na jej policzkach pogłębił się.

- Nic dziwnego, że tak łatwo pokonałeś Rudy'ego - powiedziała cicho, spoglądając na jego przedramiona. - Jesteś... - odchrząknęła - silny. Umieśniony.

- Z początku nie byłem pewien, jak się z nim rozprawić. Nie umiem w negocjacjach używać przemocy.

- Na szczęście szybko się uczysz. - Pogładziła go po ramieniu. - Zaatakowanie jego wozu było świetnym pomysłem. Natychmiast mnie puścił.

- Przekonałem się, że to najskuteczniejsza metoda: zamiast na siłę kogoś do czegoś zmuszać, trzeba zagrozić zniszczeniem tego, co ten człowiek najbardziej w życiu kocha.

- Przykro mi, że nie mogłam ci pomóc. Patrzyłam z przerażeniem, jak wali cię pięścią w brzuch.

- Po pierwszym ciosie napiąłem mięśnie. Nie wyrządził mi krzywdy. - Podciągnąwszy sweter, zerknął w dół. Skórę na wysokości splotu słonecznego pokrywały fioletowe sińce.

- Boże, Gideon! - jęknęła Brooke. Kucnęła przed nim i delikatnie- przyłożyła dłoń do jego brzucha. -Powinnam była się domyślić, że jesteś obolały.

Skoncentrowany na innych, miłszych doznaniach, nawet nie zwrócił uwagi na pulsujący pod żebrami ból.

- E tam, to tylko tak paskudnie wygląda. Leciutko przesuwiała palce po fioletowo-sinej skórze.

- Te siniaki... masz je przeze mnie.
- Nie żałuję, Brooke. Słowo honoru.
- Musiało cię bardzo boleć.
- Nic nie czułem. Naprawdę.
- Chyba warto zrobić prześwietlenie? Możesz mieć pęknięte żebro...

- Na pewno nie. - Przycisnął dłonią jej dłoń. Podciągnięty do góry sweter opadł, zakrywając ich splecione ręce. - Bandaża też nie potrzebuję. Wystarczy mi twój dotyk. Jest jak balsam, który koi i uzdrawia.

Rozchyliła wargi. Oczy jej lśniły, piersi falowały.

Zrozumiał, co ona czuje, bo czuł to samo. Napięcie erotyczne narastało między nimi, odkąd weszli do mieszkania. Oddech miał przyśpieszony, krew dudniła mu w skroniach, serce łomotało. O sprawach seksu wiedział całkiem dużo - w bibliotece trzymał różne książki na ten temat, poczynając od „Kamasutry”, a kończąc na słynnym „Raporcie Kinseya” - jednak, nigdy nie przypuszczał, że będzie miał okazję zastosować swoją wiedzę w praktyce.

W młodszych latach szukał ujścia w fantazjach seksualnych, ale satysfakcja, jaką odczuwał, pozostawiała w nim głęboki niedosyt. Nauczył się więc tłumić swe potrzeby i wyładowywać energię na przyrządach w siłowni lub w zmaganiach intelektualnych.

Jednakże tamte dawne pragnienia różniły się od obecnych. Wtedy chodziło wyłącznie o zaspokojenie popędu seksualnego, teraz zaś o potrzebę bliskości fizycznej i emocjonalnej.

Popatrzył na usta dziewczyny. Wystarczyłoby się przysunąć...
Chciał jej dotykać, błędzić rękami po jej ciele, całować ją, tulić,
wdychać jej zapach; pragnął obserwować jej reakcje na pieszczoty, o
których czytał w książkach, a których nigdy nie zaznał.

Czyż jest lepszy sposób na spędzenie czasu, który mu pozostał?

Scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

To się dzieje za szybko, przemknęło Brooke przez myśl. Znajdowali się w przylegającej do sypialni łazience i... Na miłość boską, spotkali się dopiero po raz trzeci w życiu. Właściwie nie znała Gideona, nic o nim nie wiedziała, mimo to gotowa była mu się oddać.

Czyżby tak reagowała na stres, na przemoc, której była mimowolnym świadkiem i uczestnikiem? Czyżby w ten sposób chciała wyrazić Gideonowi wdzięczność za przyście jej z pomocą? Nie, to nie była reakcja na stres, to była reakcja na Gideona. Każda normalna kobieta zareagowałaby identycznie na jego widok. Jego głos przyprawiał Brooke o dreszcze, słowa pobudzały zmysły.

Patrzył na nią z mieszaniną żalu i pożądania, jak skazaniec na ostami posiłek. Głód wyzierający z jego oczu sprawiał, że czuła się nie tylko piękna, ale i potrzebna. Tak, zdecydowanie potrzebna. Przeniosła wzrok z twarzy Gideona na jego brzucha. Wcześniej, obserwując sprężyste ruchy mężczyzny, domyśliła się, że jest dobrze zbudowany, ale nie przypuszczała, że ciało ma aż tak umięśnione. Dopiero tu, w łazience, kiedy podciągnął sweter, zobaczyła twardy brzuch i niesamowitą rzeźbę ciała. Czuła żar bijący z jego sińców. Powoli ogarniało ją coraz większe podniecenie. Zastanawiała się, czy to normalne. Chyba tak, pomyślała. Gideon stanął w jej obronie, uratował ją od... mniejsza z tym. Potem wrócił z nią do domu, pocieszył. Wieczór, który zaczął się tak paskudnie, nagle przeistoczył się w coś... magicznego?

Nie, nie wierzyła w magię; nie wierzyła też w przeznaczenie i miłość, zwłaszcza w miłość od pierwszego wejrzenia. Była realistką. Nie liczyła na to, że jakiś mężczyzna spełni jej marzenia. Dobrze wiedziała, że na świecie żyje więcej złych facetów, takich jak Frank i Rudy, niż dobrych.

Czy Gideon należy do chlubnych wyjątków? Sądząc po jego dzisiejszym zachowaniu, chyba tak. Zdumiało ją, że ten sam człowiek może być tak niebywale silny i wojowniczy w jednej chwili, i tak delikatny oraz czuły w drugiej. Gdyby wierzyła w bajki, na pewno uznałaby Gideona za dzielnego rycerza.

Westchnęła cicho, gdy wyciągnął ich splecione ręce spod swetra i przycisnął je do ust. Czubkiem języka przejechał po jej palcach, jakby rozkoszował się ich smakiem.

Zadrżała. Jeszcze nigdy nie czuła czegoś tak podniecającego.

-Brooke? - szepnął; powieki miał przymknięte. Skoncentrowana na cudownych doznaniach, z trudem wydobyła głos.

- Mmm?

- Chcesz, żebym przestał?

- Nie wiem. Nie robiłam tego od lat.

- To znaczy od lat nie uprawiałaś seksu? Zdumiała ją jego dosadność, z drugiej strony...

- Tak. Od lat nie uprawiałam seksu.

- Bardzo chciałbym się z tobą kochać, Brooke. Dzisiaj. Teraz.

Poczuła, jak zalewa ją fala pożądania.

- Gideon, ja...

- Pozwolisz mi? Chciałabyś tego?

Zdziwiła się, że o to pyta. Bo przecież musiał odbierać sygnały, jakie jej ciało wysyła, odkąd weszli do mieszkania.

- Och tak. Tak, Gideonie.

Uśmiechnął się, po czym przytknął usta do wnętrza jej dłoni. Ponownie przeniknął ją dreszcz.

- To nie to samo - szepnął. - Chciałbym, żebyś miała tego świadomość.

- Czego? - spytała, nic nie rozumiejąc. Wsunął ręce pod jej pachy i wstał, jednocześnie podciągając ją na nogi.

- Że to, czego ja pragnę i czego chciał Rudy, to dwie różne rzeczy.

Wzmianka o Rudym powinna przyćmić jej radość i przyjemność. Tak się nie stało. Przeciwnie, Brooke tym bardziej zapragnęła dotyku i bliskości Gideona. Dzięki niemu, jego pieszczotom i pocałunkom, mogła zapomnieć o potwornej scenie przed lokalem. Położyła dłonie na jego ramionach. Były silne, muskularne, lecz wiedziała, że Gideon nigdy nie wykorzysta swej siły przeciwko niej.

- Wiem, że to nie to samo - odrzekła wolno. - Jesteś przeciwieństwem Rudy'ego. Prawdę mówiąc, nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty.

Uśmiech na jego twarzy zgasł.

- Ja również, Brooke. Nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty. Twoje ciepło, dobroć.... one mnie onieśmiałają, a jednocześnie sprawiają, że...

- Gideon? - Przycisnęła dłoń do jego policzka.

- Pragnę czuć twój dotyk. - Mówił szybko, na wydechu, jakby się bał, że nie zdąży wyznać jej wszystkiego. - Chcę gładzić cię po włosach, czuć ich jedwabistość. Chcę czuć, jak twoje nogi oplatają moje biodra, a paznokcie wbijają mi się w plecy. Chcę czuć twój zapach, smak skóry... - Zacisnął rękę na jej piersi. - Tak bardzo cię pragnę, Brooke.

Co z tego, że go nie zna? Odsłonił przed nią swoją duszę. Wiedziała, że drugiego takiego nie znajdzie.

- A ja ciebie - szepnęła. - Odkąd tydzień temu ujrzałam w twoich oczach wyraz bezbrzeżnej samotności.

Drugą ręką objął Brooke w pasie, po czym wolno pochylił głowę. Wspięła się na palce. Po chwili ich usta zetknęły się w pocałunku. Gideon delektował się smakiem jej warg, a ona na zmianę to poddawała się z rozkoszą, to odwzajemniała pocałunki.

Zaaferowana, nawet nie zorientowała się, kiedy zsunął sukienkę z jej ramion. Jęknęła cicho, gdy dotknął jej piersi. Gideon znieruchomiał.

- Nie, nie przestawaj — poprosiła, kiedy chciał cofnąć dłoń. - Tak mi dobrze...

Oddychając z ulgą, zerwał z niej ubranie. Już nic go nie mogło powstrzymać. Kiedy stała przed nim, drżąca, chętna i naga, wziął ją na ręce i przeniósł do sypialni.

Pierwszy orgazm totalnie ją zaskoczył. Nawet nie była pewna, co go wywołało. Muśnięcie włosów o jej brzuch? Ciepły oddech na udzie? Wargi Gideona? Opuszki jego palców?

Drugi orgazm sprawił, że zaczęła się wić. Z trudem łąpała powietrze; nie była w stanie wydobyć z siebie dźwięku. Zanim jeszcze ustały dreszcze, Gideon oparł jej nogę o swoje ramię, przysunął się bliżej i... w tym momencie jej ciałem wstrząsnął trzeci orgazm.

Z piersi Brooke wyrwał się krzyk. Czowała się spełniona, a zarazem pragnęła więcej.

- Gideon, błagam...

Wreszcie się z nią połączył. Ale ruszał się powoli, jakby rozkoszował się każdą sekundą. Jakby chciał, by ta chwila trwała wiecznie.

To było coś dużo więcej niż seks. To było zespolenie dwojga ludzi, mężczyzny i kobiety. Porozumienie dusz. W oczach Gideona ujrziała radość zagubionego dziecka, które po latach odnalazło drogę do domu. Łzy podeszły jej do gardła.

Nic z tego nie rozumiała, ale uznała, że nie pora prosić o wyjaśnienie. Z całej siły przytuliła się do kochanka, jakby tylko z nim mogła znaleźć szczęście.

Czuł się tak, jakby zdjęto z niego niewidoczny pancerz, który nosił od lat, a który skutecznie przytępił mu zmysły. Nagle wszystko nabrało ostrości i barw: kwiaty na pościeli, szum wody w kaloryferze pod oknem, dotyk palców gładzących jego klatkę piersiową, błogość, jaka przenikała jego ciało, oraz złość, która kipiała w jego sercu.

Odkrył ten nowy cudowny świat tylko po to, by go wkrótce stracić? Psiakrew! Może byłoby lepiej, gdyby nie wszedł do zakazanego ogrodu? Gdyby nigdy nie dowiedział się, jak można żyć i ile radości go ominęło?

Natychmiast odrzucił tę myśl. Nie, niczego nie żałował. Jakżeby mógł? O wiele gorzej byłoby umrzeć, nie zaznawszy takich rozkoszy.

Nie chciał jednak umierać. Nie teraz, gdy czuł się tak pełen energii i chęci do życia. Nie teraz, gdy ma dla kogo żyć.

- Dokąd znów odpływasz?

Zapominając o złości, uśmiechnął się i ujął Brooke za rękę.

- Nigdzie nie odpływam.

- Czasem masz takie nieobecne spojrzenie, jakbyś myśłami był bardzo daleko.

- Tu jest moje miejsce, z tobą. W żadnym innym miejscu nie chciałbym być. - Przysunął rękę Brooke do twarzy, chłonąc nozdrzami zapach jej skóry, a raczej ich wspólny zapach. - Przepraszam, jeśli przez moment cię zaniedbywałem.

Obróciwszy się na bok, przytuliła policzek do jego piersi.

- Brooke? - zaniepokoił się. - Co ci jest?

Uniosła głowę. W łagodnym świetle lampki nocnej zobaczył, że usta jej drżą.

- Gideonie, gdybyś był odrobinę bardziej troskliwy, pewnie bym tego nie przeżyła.

- Żartujesz, prawda?

Roześmiawszy się, pocałowała go w brodę.

- Oczywiście, mój głuptasie.

W żadnej z książek, które czytał, nie było wzmianki o tym, że seks idzie w parze z poczuciem humoru, ale śmiech Brooke wydał mu się czymś naturalnym i wzbogacającym intymność.

- Wiesz - powiedział - mam wrażenie, jakby z twoich oczu wyzierała cała dobroć świata.

- Hm. - Podparła brodę na dłoni. - Jesteś pewien, że pracujesz w Taber Aviation?

- To znaczy...?

- Mógłbyś śmiało zarabiać na życie, pisząc wiersze.

- Wierz mi, tam, gdzie pracuję, nie ma miejsca na takie błaahostki.

- Ależ poezja nie jest błaahostką. Jest... Boże, brakuje mi słów. Kiedy ktoś za pomocą normalnego języka tworzy piękne i nieoczekiwane zwroty... - Urwała. - Poezja jest jak muzyka.

- Jak strawa dla duszy?

- No właśnie. - Owinęła wokół palca kosmyk włosów. - Kupiłam wczoraj płytę CD z muzyką klasyczną. Słuchałam jej kilka razy. Podobała mi się, zwłaszcza Chopin.

- Nic dziwnego. Jego utwory cechuje czułość i łagodność, która jest też w tobie.

Pogładziła Gideona po policzku.

- Dzięki tobie zaczynam odkrywać urok muzyki poważnej.

- A ja dzięki tobie przyjemność obcowania z książkami Conan Doyle'a.

- I co?

- Ten Sherlock Holmes to niesamowity gość.

- A jaki ma niesamowity umysł! Gideon uśmiechnął się pod nosem.

- Masz rację.

- Podobają mi się twoje włosy, takie lekko rozczochrane, rozpuszczone... Wyglądasz groźnie, a zarazem seksownie.

Nigdy nie przejmował się swoim wyglądem, zwłaszcza włosami. A ponieważ nie miał dostępu do fryzjera, dla wygody wiązał je w kucyk. Kiedy zaś stawały się za długie, po prostu brał nożyczki i sam je ścinał.

- Nie myślałeś o tym, żeby zafundować sobie kolczyk? -

Chuchnęła mu delikatnie do ucha. - Taki mały złoty ćwiek? Albo kółko, jak pirat?

Zobaczył, że oczy jej się śmieją, zatem znów żartuje. Usiadłszy, oparł się o wezglowie łóżka i przyciągnął ją do siebie.

- Ćwiek, powiadasz? Dobrze, ale pod warunkiem, że to będzie cały mój strój.

- Hm, muszę to przemyśleć. - Z trudem tłumiąc śmiech, zmierzyła go wzrokiem. - No cóż, chyba mogłabym się przyzwycząić do takiego widoku. - Nagle spoważniała. - Słuchaj, mogę cię o coś spytać?

- Śmiało.

- Możesz mi zdradzić swoje nazwisko? Zaskoczyło go to pytanie. Od początku starał się nie ujawniać zbyt wielu szczegółów na

swój temat, ale jakie to ma teraz znaczenie? Teraz już nie musi mieć tajemnic. Może powiedzieć Brooke wszystko, powinien tylko uważać, aby nie narazić jej na kłopoty z prawem lub nieprzyjemności ze strony Koalicji.

Nigdy dotąd nikomu się nie zwierzał. Od dziecka skazany był na samotność. Tym bardziej więc go ciekawiło, jak to jest wyjawiać komuś swe najskrytsze myśli. Byłoby to kolejne nowe doświadczenie, inna forma intymności.

- Powiedzmy, że Faulkner.

- Powiedzmy?

- Jestem adoptowany. Takie nazwisko otrzymałem. Przyjrzała mu się badawczo.

- Aha! To dlatego tak niewiele potrafiłeś mi opowiedzieć o swoim dzieciństwie?

- Prawie nic nie pamiętam z tego okresu. Pierwszych dziesięć lat mojego życia to czarna plama.

- Dziesięć lat? Jakie to smutne. - Na moment umilkła. - Tamtego wieczoru w Grillu, kiedy opowiadałeś o dzieciach na plaży... czy to jedno z twoich wspomnień?

Tak, a te dzieci... podejrzewam, że to moje rodzeństwo.

- Teraz rozumiem twoje zdenerwowanie. To straszne być oddzielonym od braci i sióstr. Nic dziwnego, że wyparłeś to z pamięci.

Czy to prawda? Czy uraz psychiczny spowodowany utratą rodziny może spowodować amnezję?

Czy dzieci na plaży rzeczywiście były jego rodzeństwem? A może, tak jak on, były królikami doświadczalnymi, obiektami eksperymentu zabitymi przez kobietę, która pozwoliła naukowcom skorzystać ze swojej macicy?

- A twoi rodzice adopcyjni? - Brooke wyrwała go z zadumy. - Wiedzą, kim jesteś? Znają twoją przeszłość?

- To drażliwy temat. Ludzie, którzy mnie wychowywali, woleli, abym nic nie pamiętał. Nie wiem, co z ich opowieści jest prawdą, a co nie; nie miałem okazji tego sprawdzić.

W oczach Brooke malowało się współczucie.

- Nigdy nie chciałeś odszukać rodziców biologicznych? Podobno istnieje jakiś ogólnokrajowy rejestr, z którego adoptowane dzieci mogą otrzymać informacje o matce i ojcu.

- Wątpię, aby moi w nim figurowali - odparł Gideon. - Ale owszem, próbowałem dowiedzieć się czegoś o mojej przeszłości. Tyle że używałem innych kanałów.

- Już nie próbujesz? Zrezygnowałeś?

- Teraz to już nie ma znaczenia. - Ponownie poczuł- złość na myśl o tym, że nigdy nie pozna swojej przeszłości. Ale zdusił w sobie negatywne uczucia. Szkoda na nie czasu. Skoro umiera, dogrzebywanie się prawdy nie ma sensu. - A ty, Brooke? Masz rodzeństwo?

- Nie. Byłyśmy tylko we dwie, mama i ja.

- W mieszkaniu nad piekarnią, w którym unosił się zapach świeżych bułeczek.

- Zgadza się.
- A zdradzisz mi swoje nazwisko?
- Carter.

Miał wrażenie, że zawahała się, zanim udzieliła mu odpowiedzi. Czyżby popełnił gafę, zadając to pytanie? O seksie czytał w książkach, ale niewiele wiedział o emocjach i związkach męsko-damskich. Pocałował ją lekko w policzek.

- Miło mi cię poznać, panno Brooke Carter.
- Mnie ciebie również, Gideonie Faulkner. - Przytuliła się mocniej. - Wiesz, chyba masz rację, że poprzez własną cukiernię podświadomie chcę odtworzyć atmosferę z dzieciństwa.
- Trzymam za ciebie kciuki.
- Dzięki. Może tym razem mi się uda. O ile bank, do którego zwróciłam się o pożyczkę, też nie padnie.
- Potrzebujesz pieniędzy?
- No tak. Achilles ogołocił nas wszystkich, mnie, Mabel, resztę społeczeństwa.

Przytknął czoło do jej czoła, by nie widziała wyrzutów sumienia malujących się na jego twarzy. Pomyślał o niedokończonej budowie pod lasem, o licznych bankach i firmach, które ogłosiły bankructwo. Zawiedzione nadzieje, niezrealizowane marzenia, zburzone plany - to on wszystkiemu jest winien.

- Przepraszam, Brooke - szepnął.
- Za co? Przecież nie ty ukradłeś te pieniądze.

- To niesprawiedliwe, że w wyniku kradzieży cierpią niewinne osoby. Że...

- Nikt nie jest tak naprawdę niewinny - zauważyła cicho. -
Wydaje mi się, że w sprzyjających warunkach...

- Co, Brooke? - spytał, ujmując ją za brodę. Potrząsnęła głową.

- Zmieńmy temat. Życie jest za krótkie, żeby tracić czas na roztrząsaniu cudzych i własnych grzechów.

- Absolutnie się z tobą zgadzam — mruknął, nie mogąc się nadziwić jej wspaniałomyślności, czułości i dobroci. - Wiesz, Brooke, czegoś takiego jak dzisiejszy wieczór nigdy dotąd nie przeżyłem. Chciałbym...

- Dokończ - poprosiła.

Przeszył go ból. Chciałby, żeby ta noc nigdy się nie skończyła. Chciałby, żeby codziennie mogli tak leżeć. Chciałby... być normalnym człowiekiem.

- Żałuję, że cię wcześniej nie poznałem.

Przez chwilę milczała, po czym uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Masz ochotę na prawdziwą rozpustę? - spytała nagle.

Sądził, że jego ciało nie ma już siły na nic więcej. Że wyrzuty sumienia, jakie odczuwał, stłumiły w nim resztki pożądania, ale kiedy usłyszał zmysłową propozycję Brooke, natychmiast wstąpiła w niego nowa energia.

- Zawsze - odparł. - Z tobą zawsze i wszędzie. Brooke roześmiała się i uwolniwszy się z jego objęć, wstała z łóżka.

- Poczekaj - rzekła, wciągając spłowiały zielony szlafrok. - Zaraz wrócę.

Wytrzymał jakieś pół minuty, po czym ruszył na poszukiwanie dziewczyny. Znalazł ją w salonie, w kąciku, który pełnił funkcję kuchni. Stała w otwartych drzwiach lodówki, oświetlona padającym z wewnątrz światłem. Szlafrok okrywał ją od szyi aż po kostki nóg, ale wyobraźnia Gideona nie próżnowała. Na samą myśl o tym, czego oczy nie widzą, aż jęknął.

Brooke wyprostowała się i obejrzała.

- O rany! I bez kolczyka w uchu dech zapierasz. - Z powagą i pożądaniem wpatrywała się w jego nagie ciało.

Postąpił krok naprzód. Z trudem przełknęła ślinę.

- Miałam za moment wrócić do łóżka.

- Nie mogłem się doczekać. - Objął ją w pasie. Nie zamykając drzwi lodówki, oparła głowę na jego ramieniu. - Otwórz usta - szepnęła.

Posłuchał. Poczuł dotyk jej palców na wargach, a potem coś miękkiego na języku. I raptem jego zmysłami wstrząsnął spazm rozkoszy.

Brooke roześmiała się cicho.

- Ekierka z czekoladowo-rumowym nadzieniem. Mówiłam, że to prawdziwa rozpusta.

Ogarnęła go panika. Nie powinien tego jeść! Ekierka nie została odkażona! Ryzyko zatrucia i śmierci jest zbyt...

Omal nie parsknął śmiechem. Ryzyko? Jakie ryzyko? Nie ma już nic do stracenia. Zamknął oczy, oblizał wargi, po czym delectował się ciastkiem, usiłując wyłuskać poszczególne smaki.

Czekoladowo-rumowa ekierka nie miała porównania z niesmacznym mdłym jedzeniem, jakim latami utrzymywano go przy życiu, podobnie jak prawdziwy seks nie miał porównania z nudnymi opisami zamieszczanymi w książkach. Cieszył się, że przed wyjściem ze swojego podziemnego świata nie zjadł kolacji. Za bardzo mu się spieszyło, by tracić czas na posiłek.

- Jeszcze - poprosił.

Brooke podała mu kolejny kawałek.

- I co o tym myślisz? Wsunął ręce pod jej szlafrok.

- Hm, myślę, że jestem bardzo, bardzo głodny.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Brooke obudził odgłos zatrzaszczanych drzwi. Siedziała na stołku, z głową wspartą na blacie. Huk sprawił, że poderwała głowę i nieprzytomna zamrugła. Nie zamierzała zasypiać; chciała tylko na chwilę przymknąć powieki.

Mabel otrzepała ze śniegu kurtkę i powiesiła ją na wieszaku przy drzwiach.

- Cholerni bankierzy - mruknęła. - Jak ja ich nie lubię!
Bankierów i polityków.

Brooke przełknęła ziewnięcie.

- Mabel, co ty tu robisz? Mówiłaś, że masz spotkanie w banku w Portland.

- Ten wredny krętacz je odwołał. Wczoraj po powrocie do domu zastałam wiadomość na sekretarce, żebym się nie fatygowała, bo po pierwsze, meteorolodzy zapowiadają na dziś opady śniegu, a po drugie, on nie udzielił mi pożyczki na warunkach, o jakie prosiłam. Bankierzy to banda podłych lichwiarzy; najchętniej oskubaliby każdego.

- Och, Mabel, tak mi przykro. Może mogłabym ci jakoś pomóc?

- Już i tak robisz za dużo. - Starsza kobieta rzuciła gazetę na blat i przysunęła stół. - Obudziłam cię, prawda?

- Chwilkę się zdrzemnęłam. - Brooke spojrzała na zegar. - Długą chwilę. Ale mną się nie przejmuj.

- A ty mną; dam sobie radę. Słyszałam o pewnym wdowcu z Salem, który chce zainwestować pieniądze, a bankom nie ufa, więc kto wie? Może zdołam go namówić na wspólny interes? Bankierzy! Psiakrew! -Usiadła na swoim zwykłym miejscu, pod lampą, i włożyła okulary. - Nie wiem, co tam pieczesz, ale pachnie bosko!

Brooke uśmiechnęła się; przed oczami stanął jej obraz nagiego Gideona, który z radością i smakiem pałaszuje próbkę jej wypieków.

- To ekierki z nadzieniem czekoladowo-rumowym.

- Wskazała głową stojącą przy zlewie miskę. - Zostało jeszcze sporo kremu. Spróbuj.

Mabel podeszła do miski i zanurzyła w niej łyżeczkę.

- Przeszłaś samą siebie, kochanie. Mmm, to jest...

- Nagle zmarszczyła nos. - Chyba coś się pali?

Chwyciwszy rękawice, Brooke rzuciła się pędem do piekarnika. Poprzednie ciasteczka, które studziły się na stojaku, miały piękny złocisty odcień. Kolor tych, które teraz wyjęła, przypominał podeszwę buta. Wzdychając ciężko, Brooke zgarnęła wszystkie do kosza na śmieci.

Kiedy indziej byłaby na siebie wściekła - ciastka piekła na specjalne zamówienie burmistrza; gdyby gościom smakowały, mogłaby liczyć na nowych klientów - ale dziś ze wzruszeniem ramion przyjęła to, co się stało. Ciastek nie wyjęła w porę, bo zasnęła. A zasnęła, ponieważ niemal całą noc kochała się z Gideonem. Jakże mogłaby się złościć?

Zawsze uważała, że seks jest czymś mocno przereklamowanym. Owszem, przyjemnie jest się kochać, ale nie rozumiała ludzi, którzy wariują na tym punkcie. Wczoraj jednak spędziła prawdziwie upojną noc. Ciekawa była, gdzie Gideon nauczył się tych wszystkich wspaniałych sztuczek. Na samo wspomnienie przenikał ją dreszcz.

Upojna noc... nie mogła się doczekać kolejnej.

W głębi duszy wiedziała, że taka nastąpi. Kiedy rano się obudziła, leżała w łóżku sama, ale nie zlekła się. Nie musieli sobie nic obiecywać; ich pocałunki i pieszczoty mówiły więcej niż słowa.

Mabel usiadła na stołku i otworzyła gazetę.

- Ha! Całe szczęście, że ten krętacz odwołał spotkanie. Wygląda na to, że na szosie pod Portland jakiś samochód wyleciał w powietrze.

- Co?

- Policja podejrzewa, że to porachunki miejscowych gangów. Jest zdjęcie wielkiej dziury, jaka została w asfalcie.

- To straszne. Nikomu nic się nie stało?

- Nie. Zdaje się, że kierowca wysiadł tuż przed eksplozją. Ale dopóki drogowcy nie załatają dziury, będą się tworzyć gigantyczne korki. - Przewróciła stronę. - No i proszę. Kolejny dzień i kolejny artykuł o Achillesie. Podobno FBI jest coraz bliżej ujęcia drania.

Oczyściwszy blachę, Brooke, nucąc coś pod nosem, zaczęła wyciskać następną porcję ciastek.

- Może właśnie w tej sprawie FBI kontaktuje się z Trevorem? - kontynuowała Mabel. - Ale byłby numer, gdyby Achilles ukrywał się gdzieś tutaj, nie?

- Pewnie tak.

- Kochanie, dobrze się czujesz?

- Ja? Doskonale. Dlaczego pytasz?

- No bo spaliły ci się ciastka, gazety pełne są ponurych wiadomości, a ty sobie śpiewasz.

- Nie śpiewam. Nucę. Mozarta.

- Mozarta?

Brooke zanuciła fragment koncertu fortepianowego.

- Ładne, prawda?

- Hm, zdecydowanie coś ci dolega - zawyrokowała ze śmiechem właścicielka lokalu.

- Miałaś wczoraj rację. - Brooke popatrzyła na przyjaciółkę. - Za bardzo koncentruję się na pracy.

- Zawsze mam rację. - Mabel zmarszczyła czoło. - Ale jeśli wolno spytać: co sprawiło, że przejrzałaś na oczy?

- Po prostu uznałam, że warto czasem spróbować czegoś nowego, na przykład słuchania innej muzyki i pieczenia innych ciastek.

Oraz spędzenia nocy w ramionach obcego człowieka, dodała w myślach. Tyle że Gideon nie był kimś obcym. Łączyła ich wyjątkowa więź. Owszem, niewiele o nim wiedziała, ale on też nie wiedział o sobie wszystkiego. W młodym wieku został rozdzielony z rodzicami, a ludzie, którzy go wychowywali, nie zapewnili mu kochającego domu.

Im więcej poznawała o nim szczegółów, tym mocniej pragnęła go przytulić, pomóc mu wyzwolić się z samotności, załagodzić gniew, jaki wyzierał z jego oczu.

Miała wrażenie, że złość go nie opuszcza. Ale to jej nie przerażało. Ważne było nie to, jakich człowiek doświadcza emocji, lecz to, jak je wyraża.

Wyciągnęła z piekarnika ostatnią porcję ciasteczek - akurat w momencie, gdy osiągnęły złocistą barwę; napełniała kremem te, które już wystygły, kiedy nagle rozległo się walenie w drzwi.

Mabel złożyła gazetę.

- Spodziewasz się jakiejś przesyłki?

- Dopiero po południu. - Brooke wytarła ręce o fartuch i ruszyła do drzwi. - Sprawdzę, kto tam. Powtarzała w myślach, że Gideon na pewno jeszcze śpi, całą noc nie zmrużył oka, mimo to serce waliło jej młotem. Usta same rozciągnęły się jej w uśmiechu, kiedy otwierała drzwi. Ale w progu nie stał długowłosy poeta ani pirat o smutnym obliczu, lecz nudny poczciwy Trevor.

- Witaj, Brooke. Mogę ci zająć chwilę? - spytał, zdejmując kapelusz. - Dzień dobry, pani MacKenzie - dodał, zauważywszy Mabel.

Mabel mrugnęła porozumiewawczo do Brooke i wstała.

Właśnie miałam zamiar wyjść... Zamknąwszy drzwi, dziewczyna posłała jej gniewne spojrzenie; najwyraźniej przyjaciółka nie zrezygnowała z pomysłu wyswatania jej z miejscowym szeryfem.

- Jeśli pani może, proszę zostać - wtrącił pośpiesznie Trevor.
Strzepał śnieg z ramion i rozpiął płaszcz, ale go nie zdjął. -

Przyszedłem służbowo, w sprawie, która zainteresuje obie panie.

- Jedyna sprawa, która mnie interesuje, to kiedy policja schwyta tego bandytę Achillesa - oznajmiła Mabel, wskazując ręką gazetę. - A więc czym możemy panu służyć, szeryfie? Kawalkiem solidnego sznura? Drzewem, na którym można by powiesić łajdaka?

Obracając nerwowo kapelusz w dłoniach, Trevor skrzywił się.

- Pani MacKenzie...

- Chociaż osobiście wołałabym, aby go rozstrzelano. Trevor, który bardzo poważnie traktował swe obowiązki, nie wydawał się rozbawiony.

- O co chodzi, Trevor? - spytała Brooke, wybawiając go z opresji.

- Chciałbym zaproponować paniom dodatkową pracę.

- Dobra, niech no zgadnę. - Mabel nie dawała za wygraną. - Chce pan, żebyśmy go poćwiartowały i przyrządziły z niego pyszny gulasz.

- Mabel, to obrzydliwe - zaprotestowała Brooke. - Masz szczęście, że Trevor wie, że nie mówisz tego serio.

- Jestem przedstawicielem prawa, proszę pani. Uważam, że nawet w żartach nie wolno znęcać się nad podejrzanym.

- Pewnie by pan doniósł na nas inspekcji sanitarnej, gdybyśmy go ugotowały, co? - spytała Mabel, nie wiedząc, kiedy przestać.

Trevor przeniósł spojrzenie na Brooke. Sprawiał wrażenie zirytowanego.

- Chciałem zamówić prywatny catering. Chodzi o trzy posiłki dziennie przez tydzień.

Brooke skinęła głową.

- W porządku. Masz gości w swoich lochach? W piwnicy pod biurem szeryfa znajdowały się trzy cele. Zazwyczaj krótko były okupowane - do czasu wpłaty kaucji albo dopóki winowajca nie otrzeźwiał. Ale czasem ktoś siedział za kratkami przez kilka dni, a wtedy w Grillu przyrządzano dla skazańca posiłki. Więc prośba Trevora nie zdziwiła żadnej z kobiet. Jednakże ku zdumieniu Brooke szeryf pokręcił głową.

- Nie. Po prostu spodziewam się gości spoza miasta. Będziemy pracowali u mnie w biurze.

- Jakich gości? - zaciekawiała się Mabel. - Tych agentów FBI, którzy przyjechali do Portland?

- Nie mogę pani nic powiedzieć. Tylko tyle, że to wizyta służbowa.

- O rany, czyli zgadłam! - Właścicielka Grilla natychmiast spoważniała. - To naprawdę ma jakiś związek z Achillesem? Przysięgam, że nikomu słowa nie pisnę.

Brooke widziała, że w głębi duszy Trevor cieszy się z zainteresowania, jakie wzbudził swym oświadczeniem. Korciło go, żeby pochwalić się, kogo będzie u siebie gościł i o czym będą dyskutować. Miała nadzieję, że się jednak opamięta; uważała bowiem,

że człowiek pełniący funkcję szeryfa powinien mieć więcej rozsądku i samokontroli.

- Naprawdę nie mogę nic paniom powiedzieć -oznajmił w końcu. - To co z tymi posiłkami? Będzie to możliwe?

- Za taką samą stawkę jak zwykle? - upewniła się Mabel.

- Jasne. W przyszłym tygodniu będę znał dokładny termin. - Znow zaczął międlić w dłoniach kapelusz. - Świetnie pachną te wypieki, Brooke.

- Dzięki, Trevor.

- Masz jakieś plany na sylwestra? Bo moglibyśmy się wybrać na bal w ratuszu.

Poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Psiakość, powinna się była tego spodziewać: że te uśmiechy, komplementy i niewinny flirt prędzej czy później doprowadzą do takiej sytuacji.

- Przykro mi, Trevor - odrzekła, zerkając nerwowo na Mabel. - Będę zajęta pracą.

- Zapomniałam ci powiedzieć, złotko - pośpieszyła Trevorowi z odsieczą Mabel - że w sylwestra zamykamy o dziewiątej. Większość ludzi i tak będzie witać nowy rok gdzie indziej.

Brooke miała ochotę cisnąć czymś w przyjaciółkę.

- Będę zajęta własną pracą - wyjaśniła pośpiesznie. - Przykro mi, Trevor.

- Nie ma sprawy, Brooke. - Włożył kapelusz i skierował się do wyjścia. - Do zobaczenia.

Ledwo drzwi się za nim zamknęły, Brooke popatrzyła oskarżycielskim wzrokiem na Mabel. Ta wzruszyła ramionami.

- To prawda. Rzeczywiście zamierzam zamknąć wcześniej - rzekła. - Dlaczego nie chcesz umówić się z Trevorem? Może być całkiem sympatycznie.

- Chyba wczoraj ci to wyjaśniłam, nie?

- Tak, ale od rana jesteś taka wesolutka... pomyślałam, że zmieniłaś zdanie. Zresztą sama mi nawet przyznałaś rację. A poza tym masz coś lepszego do roboty?

Owszem, odparła w myślach Brooke; będę czekała na Gideona. Nagle uświadomiła sobie, że stale na niego czeka. Czy to mądre? Uzależniać szczęście od mężczyzny?

Lecz Gideon nie jest jakimś tam mężczyzną. Jest kimś wyjątkowym, człowiekiem, z którym łączy ją szczególna więź. Szczególna więź...

Hm, dlaczego więc nie wspomniał o sylwestrze? Dlaczego się z nią nie umówił na ten wieczór? Dlaczego nie podał jej swojego numeru telefonu ani nie poprosił o jej numer? Gdzie on mieszka? Dlaczego nie prowadzi samochodu? Dlaczego ona ciągle przymyka oczy na jego drobne dziwactwa, a przynajmniej stara się je jakoś wytłumaczyć?

Wróciła do stołu, podniosła miskę z kremowym nadzieniem i ponownie zaczęła napełniać ekierki. Pracowała w milczeniu, już nie nuciała. Rzeczywistość wtargnęła w jej świat, przyćmiewając blask wczorajszych wspomnień.

- I co? Myślisz, że ci goście Trevora to agenci FBI? - spytała Mabel.

- Możliwe.

- Nie jesteś ciekawa, po co przyjeżdżają?

- Prędzej czy później się dowiemy.

- Gdybyś się wypacykowała i zatrzepotała rzęsami, może by ci Trevor...

- Przestań, dobrze? - zdenerwowała się Brooke. - To już nie jest śmieszne. - Odstawiwszy miszkę, zacisnęła ręce na krawędzi blatu. - Nie mam zamiaru umawiać się z szeryfem.

- Przecież nie każę ci wychodzić za niego za męża.

- Po pierwsze, facet mnie nie pociąga, a po drugie, nie chcę się wiązać z policjantem.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz.

Przez chwilę Mabel przyglądała się jej bez słowa.

- Jeśli chodzi ci o to, co myślę, to pamiętaj, że od tamtych wydarzeń minęły już cztery lata. Frank nigdy by...

- Nie doceniasz go. Może to właśnie mnie poszukują kumple Trevora z FBI?

- Nie, Brooke. Przesadzasz...

- A ty nie, upierając się, że słynny Achilles ukrył się w takiej dziurze jak Redemption?

Gideon siedział u wylotu tunelu, obserwując sypiący z nieba śnieg. Płatki były większe niż te, które widział pierwszego wieczoru,

kiedy opuścił swój podziemny świat. Większość zatrzymywała się na rozłożystych gałęziach drzew, ale ilość, która spadała na ziemię, wystarczała, by zakryć pozostawione przez niego ślady. Za kilka minut nikt nie pozna, że ktoś tędy przechodził.

Nadstawił rękę. Śnieżynki stopniały błyskawicznie, mimo to przeszył go dreszcz. Temperaturę miał podwyższoną, tętno przyśpieszone, na czole i skroniach lśniły mu kropelki potu. Ale najgorsze było co innego: obraz przed oczami stawał się wyraźny, po chwili zamazany, i tak na zmianę.

Te dziwne objawy zaczęły się jeszcze w mieszkaniu Brooke. Podejrzał, że są to pierwsze oznaki umierania. Najpewniej przyśpieszył proces, jedząc nieodkazono jedzenie, pijąc nieodkazoną wodę i kochając się całą noc, ale zwyczajnie w świecie pragnął doświadczyć wszystkiego, czego dotąd nie znał.

Decyzja o powrocie do ośrodka wiele go kosztowała, ale w końcu stwierdził, że nie ma wyjścia. Wolałby zostać z Brooke, ale nie chciał sprawiać jej kłopotu. Ofiarowała mu najcudowniejszą noc, jaką kiedykolwiek przeżył. Jakżeby mógł teraz żądać, aby opiekowała się nim, kiedy będzie umierał? Po jego śmierci pojawią się pytania na temat jego tożsamości. Jeżeli Koalicja odkryje, że ostatnie chwile spędził u Brooke, dojdą do wniosku, że na pewno się jej zwierzał. A wtedy uznają, że dziewczyna stanowi zagrożenie i będą próbowali ją uciszyć.

Przez chwilę zastanawiał się nad wyjazdem z miasta. Przecież jest wiele miejsc na świecie, które chciał zobaczyć i wiele rzeczy,

które pragnął zrobić. Ale dokąd zdołałby dotrzeć pieszo i bez pieniędzy?

Co za ironia losu, pomyślał, że człowieka, który niecały rok temu ukradł trzysta pięćdziesiąt miliardów dolarów i który swym majątkiem mógłby obdzielić tysiące ludzi, nie stać na bilet autobusowy. Owszem, miał pieniądze - na kontach w bankach szwajcarskich, w obligacjach i w nieruchomościach, a także w bezcennych dziełach sztuki, w złotych kranach, w antycznych meblach, we wspaniałych dywanach oraz w białych krukach stojących na regałach.

I właśnie to bogactwo przesądziło o jego powrocie do ośrodka.

Otarł rękawem pot z czoła i dźwignął się na nogi. Przytrzymując się ręką kamiennej ściany, ruszył w głąb skalnego tunelu. Dotarłszy do swojego mieszkania, przełączył kamerę, aby pokazywała rzeczywisty obraz wnętrza, po czym starając się zachować ostrożność, udał, że się budzi. Ważne było, aby nikt nie nabrał podejrzeń. Zostało mu niewiele czasu. Za kilka godzin jego umysł przestanie normalnie funkcjonować. Wiedział, że musi się spieszyć, ale od czego ma zacząć?

Może umysł już mu powoli szwankuje? Bo jak inaczej wytłumaczyć wyrzuty sumienia, których latami przecież nie odczuwał? Wczoraj, w domu Brooke, kiedy patrzył przez okno na niedokończoną budowę, po raz pierwszy w pełni uświadomił sobie konsekwencje swoich czynów.

Działalność Achillesa wywarła niszczący wpływ na gospodarkę świata. Niestety, już za późno na naprawienie szkód, tym bardziej że nawet nie potrafiłby zliczyć zła, jakie wyrządził ludziom. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to uprzyjemnić życie jednej osobie, ulżyć jej cierpieniu. Zasiadłszy przed komputerem, przetaił oczy, by uzyskać ostrość widzenia, po czym ustawił tak fotel, aby kamera nie zarejestrowała drżenia rąk. Wiedział, że ilekroć łączy się z światem zewnętrznym, ktoś z Koalicji zawsze śledzi jego ruchy. Ale to mu nie przeszkadzało. Program, nad którym pracował w ostatnim czasie, wymagał, by wchodził w systemy komputerowe różnych banków i instytucji finansowych.

Zlokalizował dokumenty Brooke w archiwum upadłego banku Savings and Loan w Redemption. Ogarnęły go jeszcze większe wyrzuty sumienia, kiedy zobaczył wysokość kredytu, o jaki występowała. Nie miał jednak czasu na bicie się w pierś. Musiał skupić się na stworzeniu w labiryncie pułapek, które pozwolą mu spełnić marzenie dziewczyny.

Nagle przeszył go silny ból. Zacisnął zęby i dokończył wpisywanie kodu. W następnej chwili leżał na podłodze.

- Gideonie? - rozległ się głos Willarda Crofta.
- Co?
- Dobrze się czujesz?
- Tak.
- Mój asystent doniósł mi, że spadłeś z fotela.

- Upuściłem długopis. Wtoczył się pod biurko. Starając się powstrzymać falę mdłości, Gideon uniósł się na kolana. Tylko dzięki latom praktyki zdołał zachować neutralny wyraz twarzy.

- Nie potrzebujesz pomocy?

Mimo szumu w uszach Gideon wyraźnie słyszał niechęć w głosie Crofta. Świetnie, pomyślał. Facet nie będzie narzucał się z pomocą. Przytrzymując się oparcia fotela, wciągnął powietrze przez zaciśnięte z bólu zęby i wstał.

- Nie, Willardzie, dziękuję - odparł. - W przeciwieństwie do was, którzy wszystko wykonujecie zespołowo, potrafię sam podnieść z podłogi długopis.

Nastała cisza. Oczami wyobraźni widział, jak Croft gryzie się w język, aby nie rzucić jakiejś sarkastycznej uwagi. Postanowił się z nim podrażnić.

- Hej, Will, co tak zamilkłeś? Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

- Nie.

- A przy okazji... gdzie mój Van Gogh?

- Twój... - Na drugim końcu linii dało się słyszeć zduszone przekleństwo. - Oliver nie mówił ci, że pracujemy nad tym?

Gideon wcisnął kilka klawiszy, żeby zakodować to, co wcześniej robił, i odwrócił się od komputera.

- Dajcie znać, kiedy go zdobędziecie.

- Ale...

- Skończyłem na dziś. Skoro bez powodu wybiłeś mnie z rytmu, równie dobrze mogę uciąć sobie drzemkę.

Resztkami sił dotarł do łóżka i puścił nagraną przez siebie taśmę, którą zawsze nastawiał w nocy, gdy wychodził. Nie chciał, by szefowie się zorientowali, co się z nim dzieje. Potrzebował więcej czasu. Może, jeśli odpocznie kilka minut, zdoła się zmobilizować i dokończy to, co zaczął.

Obudził się w wilgotnej pościeli, zlany potem i potwornie spragniony. Spuściwszy z łóżka nogi, chwiejnym krokiem podreptał do łazienki. Nie zważając na dudnienie w skroniach, wszedł pod prysznic i odkręcił kran. Po chwili osunął się na kolana.

Trochę się dziwił, że może się poruszać. Ciekaw był, jak długo jeszcze potrwa ten stan. Nadstawił ręce i zaczął chleptać z nich wodę. Pił, dopóki suchość w gardle nie ustąpiła. Woda orzeźwiła go na tyle, że zakręcił kran i podczołgał się do wieszaka z ręcznikami.

Przez resztę dnia, ilekroć zamykał oczy, nawiedzały go koszmary. Strzelanina i krew. Panika, pustka, ból. Sam nie wiedział, ile razy tracił przytomność. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. W pewnym momencie zaczął strasznie dygotać, niemal jak w ataku epilepsji; pośpiesznie zwinął się w kłębek, aby niczego sobie nie połamać.

Wreszcie, około północy, dygotanie ustało; jeszcze tylko od czasu do czasu łapał go skurcz. Korzystając z chwilowej poprawy samopoczucia, ponownie zasiadł do komputera i ponownie wszczął kłótnię z Croftem.

Potem udał, że je dostarczony posiłek, ale gdy tylko znalazł się poza zasięgiem kamery, wyrzucił kolację do kosza na śmieci. Nie miał apetytu. Czuł się pusty, wydrażony; chciało mu się tylko pić. Ale nie kusila go butelkowana woda, którą dostał do kolacji - wolał świeżą, bieżącą wodę z kranu.

Nie takiej reakcji organizmu się spodziewał. Nie miała ona nic wspólnego z załamaniem się układu, immunologicznego. Był na tyle obeznany z medycyną, że wiedział, czego - mimo swojej odmienności genetycznej - powinien oczekiwać. W końcu jego DNA nie różni się tak bardzo od DNA normalnych ludzi.

A tu nic się nie zgadzało. Najbardziej zdumiewało go to, że był tego świadomy. To znaczy, że jego umysł wciąż sprawnie funkcjonuje.

Nie chciał tracić cennego czasu na analizowanie przyczyn takiego stanu rzeczy. Zamiast tego wolał skupić się na pracy. Wieczorem drugiego dnia, manipulując danymi i dokładnie zacierając po sobie ślady, stworzył rachunek bankowy i fikcyjnego kierowcę z Waszyngtonu, który wymienił w swoim testamencie Brooke Carter oraz Highway Grill. Testament poświadczono w Seattle. Suma, jaką Brooke niedługo odziedziczy, będzie na tyle skromna, by nie budzić podejrzeń, lecz na tyle duża, by starczyła na sfinansowanie cukierni.

Zakończywszy pracę, wziął prysznic, wypił kilka szklanek wody i położył się do łóżka; już nie spodziewał się obudzić.

Rano jednak obudził się w pełni przytomny. Fizycznie czuł się zmęczony i jakby wydrażony, ale umysł miał całkowicie sprawny.

Potarł dłonią twarz i nagle spostrzegł, że ręce niemal przestały mu drżeć. Wziął głęboki oddech. Płuca miał czyste, nic nie zakłócało ich funkcjonowania.

Nie rozumiał, co się dzieje.

Z walącym sercem opuścił łóżko i ruszył korytarzem do biblioteki. Mięśnie miał sztywne, w stawach mu coś zgrzytało, lecz mógł normalnie się poruszać, nie tracąc równowagi. Zmrużył oczy przed jaskrawym światłem żyrandoli. Nowo nabyty Renoir wisiał na ścianie. Po chwili, gdy jego oczy przyzwyczyły się do blasku, wszedł po spiralnych schodach na galerię.

Kosztowało go to wiele wysiłku. Oparty o poręcz dyszał ciężko, dopóki serce nie zaczęło mu bić normalnym rytmem. Dopiero wtedy przeszedł do półek, na których stały książki o tematyce medycznej.

Po dwóch godzinach uzyskał potwierdzenie: symptomy, jakie zdradzał, nie wskazywały na niezgodność krwi, na odrzucenie tkanki, na reakcję alergiczną lub jakiegokolwiek zaburzenia immunologiczne. Postanowił więc zbadać problem od innej strony: znaleźć chorobę dającą objawy podobne do tych, które go męczyły.

Wkrótce już znał odpowiedź. Pomijając tempo, w jakim zdrowiał, wszystko inne zgadzało się niemal w stu procentach. Zespół abstynencyjny. Nieregularne bicie serca, koszmary nocne, uczucie zimna, dreszcze, drganie mięśni, ogromne łaknienie i brak apetytu - takie objawy, uciążliwe i nieprzyjemne, lecz na ogół nie-prowadzące do śmierci, występowały u ludzi uzależnionych, którzy z dnia na dzień rzucali narkotyki.

Gideon odstawił książki na miejsce, zszedł na dół i usiadł w ulubionym skórzanym fotelu. Umysł pracował mu na pełnych obrotach.

Czyli to nie była wcale reakcja immunologiczna; nie szwankował jego układ odpornościowy. Miał fizyczny kontakt z dwiema osobami; stykał się z cudzą śliną, krwią i potem, a jednak nie zachorował. Nie umarł. Zamiast tego zachowywał się jak narkoman, którego pozbawiono narkotyku.

Jakiego narkotyku? Kiedy? Jak?

Przypomniawszy sobie upajający smak ekierki. Nie, to niemożliwe. Nałóg tworzy się tygodniami, miesiącami, a nie z minuty na minutę. Miał wrażenie, że umysł zaczął mu się oczyszczać wtedy, gdy był poza podziemnym światem...

Odpowiedź sama się nasunęła. Narkotyk, którego brak tak silnie odczuwał, musiał być podawany w jedzeniu. W specjalnie preparowanym i oczyszczanym jedzeniu, którego nie tknął od trzech dni. W jedynym jedzeniu, które latami jadł, bo każde inne spowodowałoby jego śmierć.

„Pamiętaj, że poza tymi murami nie wolno ci niczego jeść ani pić, Gideonie. Nikomu nie wolno cię dotknąć. Tylko my potrafimy utrzymać cię przy życiu”.

A jednak nie umarł, czyli nie ma żadnej genetycznej skazy. Izolacja oraz specjalne jedzenie służą innym celom.

Kłamstwo, w jakim żył od najwcześniejszych lat, jest porażające. I genialne w swojej prostocie. Póki jadł przygotowane

tutaj posiłki, znajdował się pod wpływem narkotyków. Póki znajdował się pod wpływem narkotyków, o nic nie pytał i niczego nie kwestionował.

Musiały to być jakieś środki psychotropowe, które działały uspokajająco i otepiająco, wzmagaly uległość i poczucie zadowolenia. Czy to one powodowały dziury w jego pamięci? Czy dlatego tak bardzo dążył do poznania prawdy? I dlatego czasami czuł się, jakby był bliski obłądu?

Pasuje. Wszystko się zgadza. Patrzył na świat przez narkotyczną mgłę. Miał zaburzoną ostrość pojmowania rzeczywistości. Kłamstwo, w jakim żył, było tak wielkie, że nawet nie domyślał się prawdy.

Przez lata faszerowano go narkotykami. Przez lata oszukiwano. Przez lata trzymano w izolacji, w złotej klatce. Przez lata przekonywano go, że aby żyć, musi kraść. W każdej chwili mógł wyjść, wyzwolić się, lecz taki pomysł nawet nie zaświtał mu w głowie.

Raptem usłyszał serię dziwnych dźwięków. Przeniósł spojrzenie na swoje ręce. Tak mocno zaciskał palce na oparciu fotela, że przedziurawił skórę. Rozdzierający krzyk podszedł mu do gardła, wzrok zmętniał - nie pod wpływem narkotyku, lecz pod wpływem furii.

Ukradł dla Koalicji miliardy dolarów. A oni w zamian ukradli mu życie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Czasem lepiej nie przyglądać się zbyt intensywnie osobie, na której nam zależy, pomyślała Brooke. Istnieje wtedy niniejsze ryzyko, że dostrzeżemy coś, co nam się nie spodoba. Może dlatego tak chętnie odrzuciła wrodzoną ostrożność i wybrała płomienny romans z nieznanym.

Zatrzasnąwszy drzwi samochodu, przekreśliła kluczyk w stacyjce. Przez moment spoglądała na silnik odrzutowca widoczny przed budynkiem Taber Aviation. Umieszczona na podwyższeniu i oświetlona silnym blaskiem reflektorów metalowa bryła połyskiwała jaskrawo na de czarnego nieba. W pewnym sensie wrosła w krajobraz Redemption.

Sam budynek był jednak opustoszały. Zamknięty od ponad tygodnia - tak twierdził ochroniarz pilnujący głównego wejścia. W okresie świątecznym pojawiło się w biurze jedynie paru dyrektorów, z których żaden nie nazywał się Gideon Faulkner i nie odpowiadał jego rysopisowi.

No ale Gideon dopiero niedawno rozpoczął tu pracę. Jakies dwa tygodnie temu sama wskazała mu drogę do Tabera. Może ochroniarz jeszcze go nie zna. A może Gideon ma klucz do innych drzwi i nie korzysta z głównego wejścia...

Brooke włączyła mocniej ogrzewanie, licząc na to, że szum powietrza pozwoli jej skupić się na rzeczywistości. Nie przyjechała tu specjalnie po to, aby robić Gideonowi wymówki. Kiedy ostatnim

razem się widzieli, wspomniał, że musi pracować w święta; równie dobrze może być zajęty w Nowy Rok. Ale chciała się z nim zobaczyć, dowiedzieć się, dlaczego nie daje znaku życia.

Miał mnóstwo okazji, żeby się z nią skontaktować. Znał jej adres, zarówno do domu, jak i do Grilla. Jeżeli nie mógł na moment opuścić pracy, wystarczyło znaleźć jej numer w miejscowej książce telefonicznej i zadzwonić.

W porządku, nie będzie go dłużej usprawiedliwiać. Musiałaby być idiotką, żeby nadal wierzyć w jego piękne słowa. Po prostu ją okłamał. Nie pracuje w Taberze. Pewnie wyjechał i już nigdy go nie zobaczy. Wszystko, co jej mówił, służyło temu, aby zaciągnąć ją do łóżka. Zastosował dziwną, lecz skuteczną metodę uwodzenia. Najwyraźniej jednak wspólnie spędzona noc nie wywarła na nim większego wrażenia, bo inaczej nie wyjechałby bez pożegnania.

Przypomniała sobie wyraz bezbrzeżnej samotności w jego oczach. Czy to mogło być udawane? A poczucie bliskości? Czy naprawdę dała się ponieść fantazji? Z tęsknotą wpatrywała się w lśniący w mroku silnik, jakby miała nadzieję, że nagle wyłoni się zza niego znajoma sylwetka.

- Przestań - mruknęła pod nosem. - Jesteś żaloszna.

Wrzuciła bieg. Przez chwilę koła buksowały na mokrym asfalcie. Wiedziała, że musi opanować nerwy, zanim opuści parking i włączy się do ruchu. Bardziej niż na Gideona była zła na siebie. Pozwoliwszy, by serce zawałdnęło jej umysłem, uwierzyła w...

W co? W piękną bajkę? W miłość od pierwszego wejrzenia?

Wszystko przez tę porę roku, pomyślała, mijając świątecznie udekorowane domy i ogrody. W Boże Narodzenie każdego ogarnia sentymentalny nastrój. Zważywszy na to, ile godzin spędza ostatnio w pracy, nic dziwnego, że przestała logicznie myśleć.

Z drugiej strony, po nocy spędzonej w ramionach takiego kochanka jak Gideon żadna kobieta nie byłaby w stanie myśleć logicznie. Zacisnęła gniewnie usta. Nie jest naiwną nastolatką; powinna mieć więcej rozumu. Nie musiałaby teraz szukać dla siebie usprawiedliwień.

W drodze do domu złość jej minęła. Wchodząc po schodach, czuła już tylko rozczarowanie. Owszem, lepiej nie przyglądać się zbyt intensywnie osobie, na której nam zależy, ale nie powinno się być ślepym. Może więc dobrze się stało, że Gideon wyjechał? Że wszystko się skończyło? Związek oparty na kłamstwie nie ma szansy przetrwać.

Poza tym do szczęścia nie potrzebowała mężczyzny. Od kilku lat żyła samotnie i wcale z tego powodu nie cierpiała. Ekierki, które dostarczyła na przyjęcie u burmistrza, zrobiły furorę. Interes kwitł. W tym tempie...

Z rozmyślań wyrwał ją widok wysokiego mężczyzny w rozpiętym czarnym płaszczu opartego o drzwi jej mieszkania. Włosy miał rozpuszczone i potargane. Biła od niego ledwie tłumiona siła. Brooke poczuła, jak serce łomocze jej w piersi. Psiakość!

- Gideon?

Wyprostował się. Nic nie powiedział, nawet się nie uśmiechnął, po prostu podszedł do niej, ujął ją za ramiona i przytulił.

Stała zaskoczona, pozwalając się obejmować. Wystarczyło, że się pojawił, a już gotowa jest mu wszystko wybaczyć. Zacisnęła dłonie w pięści, inaczej zapewne zaczęłaby go gładzić po twarzy.

- Gideon, przestań. Puść.

- Dlaczego?

A niech to wszyscy diabli! Z wielu powodów. Właśnie w drodze powrotnej je analizowała. Ale w głosie Gideona usłyszała błaganie o pomoc; nie mogła się od niego odwrócić. Delikatnie uniósł jej głowę, tak by ich spojrzenia się spotkały.

- Nie odtrącaj mnie, Brooke.

Może znalazłaby w sobie dość siły, aby mu nie ulec, lecz nagle zobaczyła jego twarz: ciemne sińce pod oczami i zapadłe policzki. Wyglądał tak, jakby od trzech dni, kiedy widzieli się ostatni raz, nie zmrużył oka i nie miał nic w ustach.

Boże! Gideon, co się stało? - spytała zaniepokojona.

Roześmiał się. A raczej wydał dźwięk, który mógłby być śmiechem, gdyby nie przepelniała go taka gorzycz.

- Wszystko. A zarazem nic.

Wyciągnęła rękę do policzka pokrytego trzydniowym zarostem.

- Jesteś chory?

- Nie. Nigdy nie byłem zdrowszy. To wprost nie do wiary.

- Wyglądasz okropnie.

- Możemy siedzieć po ciemku, żebyś nie musiała na mnie patrzeć. - Przytknął czoło do jej czoła. - Na wszystko się zgadzam, tylko pozwól mi się przytulić.

- Ale...

- Błagam. Nie każ mi odejść. Tylko ty mi zostałaś. Jesteś moją prawdą i nadzieją.

Psiakość. Jak ma być roztropna i rozsądna, kiedy on mówi takie rzeczy? Wzdychając ciężko, otworzyła drzwi.

Nawet nie miała szansy zapalić światła. Ledwo weszli do środka, Gideon pchnął nogą drzwi, po czym zgarnął ją w ramiona i przywarł ustami do jej ust. Po chwili wierzchnie okrycia leżały na podłodze obok zrzuconych pośpiesznie butów. Zadrżała. Nie z zimna, lecz z podniecenia. Przy Gideonie zapominała o ostrożności, o własnych przestrożach, o zdrowym rozsądku.

We wpadającym przez okno blasku księżycy dostrzegła spojrzenie kochanka. Nie było w nim dawnej czułości; była zawziętość i gniew. Przyparł ją do ściany. Odruchowo ścisnęła go nogami w pasie. W jego oczach płonął dziwny żar. Wystraszyła się. Przez moment miała wrażenie, że wpuściła do mieszkania obcego mężczyznę.

- Gideonie, proszę. Nie tak...

Odsłonił zęby - w grymasie, nie w uśmiechu. Próbowwała się oswobodzić. Bezskutecznie. Potrząsnęła go za ramię.

- Poczekaj. Nie spiesz się. Zamknął oczy i odchylił do tyłu głowę.

- Nie spiesz się - powtórzyła, całując go lekko w brodę. - Mamy czas.

- Czas - mruknął szorstkim, ochrypłym głosem. - Trzeba nadrobić stracony czas.

- Stracony? Minęły tylko trzy dni...

Jęknąwszy, opuścił ją z powrotem na podłogę.

- Tylko trzy? - zdziwił się. - Mam wrażenie, że wieczność.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś?

- Wydawało mi się, że nie mam wyboru. Ale miałem. Od samego początku.

- Nie rozumiem.

- Nie mogę ci tego wyjaśnić. - Skubnął wargami jej ucho. — Jeszcze nie teraz. Dopiero gdy będzie po wszystkim.

- Jak co będzie po wszystkim? Gideonie, powiedz mi, co się dzieje?

- Wolałbym się z tobą kochać - szepnął jej do ucha. - Jeśli chcesz, mogę zwolnić tempo. Mogę cię rozbierać po kawałeczku. Mogę całować po centymetrze. Będzie tak, jak sobie życzysz. Tylko pokaż, co byś chciała...

Wiedziała, że musi się skupić, zastanowić. Ale trudno myśleć o innych sprawach, gdy czuje się podniecenie partnera. Zadrżała. Przypomniała sobie ostatnią noc i wyobraziła to, co się za moment wydarzy. Godziny rozkoszy...

A potem trzy dni niepewności i zwątpienia?

Przytrzymała się drzwi sypialni, zanim wniósł ją do środka.

- Gideonie, nie...
 - Czego pragniesz? - spytał, zaciskając dłonie na jej pośladkach.
 - Powiedz. Na wszystko się zgodzę.
 - Musimy porozmawiać.
 - Później porozmawiamy.
 - Tobie chodzi wyłącznie o seks, tak?
 - Brooke...
 - Myślałam, że łączy nas coś wyjątkowego. Coś pięknego...
 - Bo tak jest. Zaufaj intuicji.
- Oswobodziła się z jego objęć i przeszła do holu.
- Wolałabym zaufać tobie - rzekła. - Ale jak mogę, skoro mnie okłamałeś?

Wyciągnął do niej rękę, ona jednak cofnęła się.

- Nie okłamałem cię, Brooke.

Przeszła do salonu, poprawiając spódnicę i bluzkę. Za sobą słyszała kroki Gideona, ale nie odwróciła się. Zapaliła lampę na stoliku przy kanapie.

- Okłamałeś - stwierdziła, spoglądając mu w oczy. - Powiedziałeś, że pracujesz w Taber Aviation. Wybrałam się tam dzisiaj, bo chciałam się z tobą zobaczyć.

Zacisnąwszy usta, pokręcił głową.

- Z kim rozmawiałaś? - spytał cicho.
- Z ochroniarzem przy wejściu. Bo co?
- Podałaś mu moje nazwisko?
- A jak inaczej miałam cię znaleźć?

Przez chwilę milczał. Mięśnie miał napięte. Potem zbliżył się do okna i odchyliwszy zasłonę, popatrzył w dół na ulicę.

- Nie okłamałem cię - rzekł. - Nie powiedziałem ci, gdzie pracuję. Jedynie spytałem o drogę do Tabera.

Czyżby? Usiłowała sobie przypomnieć tamtą rozmowę, ale uznała, że to nie ma większego znaczenia. Nawet jeśli nie okłamał jej wprost, to pozwolił, aby źle zinterpretowała jego pytanie.

- Nie wyprowadziłeś mnie z błędu.

- Brooke... - Cofnął rękę. Zasłona opadła na miejsce. - Zrozum, nie mogę ci wszystkiego powiedzieć. Zdradzę ci jednak, że posiadam do Taber Aviation, żeby korzystając z ich komputerów, poszukać informacji o swoim rodzeństwie.

O rodzeństwie. O braciach i siostrach, z którymi rozdzielono go w dzieciństwie. O dzieciach, z którymi bawił się na plaży. Poczula nieprzepartą chęć, aby przytulić go do siebie, dlatego czym prędzej skrzyżowała ręce na piersi i usiadła na oparciu kanapy.

- No dobrze. Skoro nie pracujesz w Taberze, to czym się zajmujesz?

W jego spojrzeniu dostrzegła ból, a jednocześnie gniew.

- Większość tego, co mam, zarobiłem dzięki swoim wynalazkom - odparł. - Obmyślam, między innymi, systemy zabezpieczeń dla Redcom Systems.

- Podejrzywałam, że jesteś naukowcem. Czyli pracujesz w Redeomie? Dlaczego od razu się nie przyznałeś?

- Bo nie chciałem cię wciągać w moje problemy. Bałem się, że zrobisz to co dzisiaj. A lepiej, żeby nikt nie wiedział, co nas łączy. - Zacisnął pięści. - Nie powinienem był tu przychodzić, nie jestem wolnym człowiekiem, ale tak bardzo pragnąłem cię dotknąć, zobaczyć...

- Dlaczego lepiej, żeby nikt o nas nie wiedział? Jakie masz problemy? - Nagle w pełni dotarł do niej sens jego wypowiedzi. - Co to znaczy: nie jesteś wolnym człowiekiem?

- Istnieją pewne... komplikacje, z którymi muszę się uporać.

- Jesteś żonaty? Tak?

Wytrzeszczył oczy. Minę miał autentycznie zdziwioną.

- Brooke, ja...

- O to chodzi, prawda? Że masz żonę?

W trzech susach znalazł się przy niej.

- Nie! To nie...

- Ale ze mnie idiotka. Żałosna idiotka. Powinna się była wszystkiego domyślić.

- Brooke, proszę cię, posłuchaj...

Odrzuciła jego rękę i poderwawszy się na nogi, przeszła na drugi koniec pokoju.

- Przecież to takie oczywiste!- Dlatego byłeś taki tajemniczy i nie chciałeś mi dać swojego numeru telefonu. Bałeś się, że żona podniesie słuchawkę i...

- Nie mam żony - przerwał jej, podchodząc bliżej.

- W porządku. A może masz narzeczoną albo dziewczynę, która...

- W moim życiu nie ma żadnej kobiety. - Dzieliły ich zaledwie centymetry. Gideon ponownie wyciągnął rękę, ale po chwili rozmyślił się i zniecierpliwionym gestem przeczesał palcami włosy. - I nigdy nie było.

- Nigdy? Przecież myśmy poznali się zaledwie dziesięć dni temu.

- Wiem.

Milczała. Na pewno źle go zrozumiała. Niemożliwe, aby mężczyzna wyprawiał w łóżku takie niesamowite rzeczy, nie mając w tej dziedzinie bogatego doświadczenia. No, chyba że był jakimś geniuszem o nadludzkich zdolnościach.

- Więc o jakich komplikacjach mówisz? - spytała po chwili. - Porozmawiaj ze mną, Gideonie. Podaj powód, dlaczego powinnam ci wierzyć. Bo na razie rozum mi mówi, że najmądrzej bym postąpiła, gdybym wyrzuciła cię za drzwi.

- Faktycznie, tak by było najrozsądniej. Całe życie uczono mnie, żeby polegać na rozumie, nie na sercu. Że emocje są oznaką słabości; zaślepiają człowieka, przysłaniają mu prawdę, czynią go bezbronnym. -Zbliżył twarz do twarzy Brooke. - Nie umiem podać ci żadnego logicznego powodu, dlaczego powinnaś mi pozwolić zostać.

- Wobec tego może powinieneś wyjść. Odwrócił się, ale nie wyszedł, tylko niespokojnym krokiem zaczął przemierzać pokój.

- Ponad dwadzieścia lat postępowałem logicznie, kierując się znajomością faktów. Koncentrowałem się na pracy, na przetrwaniu. Nie dopuszczałem do siebie emocji, wierząc, że uczynią mnie słabym i bezbronnym. Ale gdybym polegał wyłącznie na rozsądku, nie wróciłbym do Highway Grilla. Nie dotknąłbym cię. Nadal byłbym samotny. - Przystanąwszy naprzeciwko Brooke, ujął ją za nadgarstek. - A zatem najlepszą decyzję w życiu podjąłem, kierując się sercem, a nie rozumem. - Przycisnął jej dłoń do swojego policzka. - Błagam cię, zrób to samo.

Powinna była cofnąć rękę, lecz nie mogła. Policzek miał szorstki, pokryty kilkudniowym zarostem, ale dotyk delikatny i czuły. Z jego oczu zaś wзираła tęsknota, poczucie straszliwego osamotnienia. Był to ten sam człowiek, który dziesięć dni temu ujął ją swoim zagubieniem i bezradnością.

- Dziś wyczułam w tobie gniew. Dlaczego?

- Odkryłem, że mnie okłamywano.

- Kto?

- Ludzie, którzy mnie wychowywali. Uczyli mnie postrzegania rzeczywistości, ale od początku ją fałszowali. Sądziłem, że wszystko kontroluję, lecz to było błędne przeświadczenie. Wykorzystali mnie. Uczynili swoim więźniem, bezwolną ofiarą. - Zacisnął rękę na jej dłoni. - Pozwalałem im na to, Brooke. I to jest najgorsze. Że im pozwalałem. Stąd moja wściekłość, nie tylko na nich, także na siebie.

Pokiwała wolno głową. Wiedziała, co Gideon czuje. Wtedy na parkingu, kiedy zaczepił ją Rudy, też czuła się ofiarą... Naszły ją inne

wspomnienia, bardziej ponure, kiedy wbrew swej woli ulegała Frankowi; kiedy nie potrafiła mu się przeciwstawić.

Przyjrzała się uważnie Gideonowi. Miała wrażenie, jakby patrzyła w lustro: rozpoznała ten wyraz twarzy. Tak wygląda człowiek, który znalazł się na rozdrożu; człowiek, któremu oczy otworzyły się na prawdę. Tak wyglądała ona sama cztery lata temu.

Czy dlatego od pierwszej chwili czuła z nim więź? Nie. Bo przecież nigdy by nie przypuszczała, że ktoś tak silny i inteligentny jak Gideon mógłby być czyjąś marionetką.

Z drugiej strony, wiedziała, że w pewnych momentach życia nawet najsilniejszy człowiek bywa podatny na zranienie. Jeżeli znajdzie się ktoś, kto umiejętnie wykorzysta swoją przewagę... Znęcać można się nie tylko fizycznie, również psychicznie. Każdy może stać się ofiarą.

Serce Brooke wyrywało się do Gideona, rozum jeszcze ją powstrzymywał. Po chwili jednak ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Jakim prawem go ocenia, skoro sama też nie powiedziała mu prawdy?

Bez prawdy żaden związek nie ma szansy przetrwać. Całe życie to powtarzała, a jednak nie była z Gideonem szczerą.

Czy zależało jej na nim? Czy chciała z nim być? Oczywiście, że tak. Nie zamierzała dłużej walczyć z uczuciem. Nawet jeśli nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia, to jednak tej nocy, kiedy się kochali, wydarzyło się coś niezwykłego. Połączył ich nie tylko seks. Nie, nie mogłaby się odwrócić od Gideona, zostawić go na pastwę losu.

- Co ci złego zrobili?
- Nie powiedzieli mi prawdy o tym, kim jestem.
- Chodzi o adopcję? O twoją częściową amnezję? O brak wspomnień z dzieciństwa?
- Podejrzewam, że to wszystko ma ze sobą związek. Cała sytuacja jest strasznie skomplikowana. Trudno mi było odkryć prawdę nie tylko dlatego, że mieszkam z tymi ludźmi, ale także dlatego, że dla nich pracuję.
- Redcom Systems zatrudnia także twoich adopcyjnych rodziców?
- Zatrudnia? Nie. Oni są jednymi z założycieli Redcomu, no i głównymi udziałowcami.
- Mój Boże - szepnęła Brooke. - Muszą być milionerami.
- Pieniądze dają im władzę. Miejsce, w którym żyjemy, wyposażone jest we wszystkie luksusy, jakie można sobie wyobrazić, ale przypomina twierdzą. Klatkę. Dlatego nie zostawiłem ci mojego adresu ani telefonu. Nie chciałem, aby ktokolwiek się o tobie dowiedział. O tym, jak bardzo mi na tobie zależy.
- Nie bardzo rozumiem... Jeśli jest tak źle, jak mówisz, może powinieneś porozmawiać z prawnikiem albo wybrać się na policję.
- Policja nie zdołałaby mi pomóc. Sam muszę się ze wszystkim uporać.
- Gdybym mogła ci na coś się przy dać... - Pogłaskała go po policzku. - Nie musisz wracać do swojej twierdzy. Możesz zostać u mnie, dopóki nie znajdziesz innego mieszkania.

Przycisnął jej rękę do ust.

- O niczym bardziej nie marzę, ale muszę rozwikłać tę sprawę, inaczej nigdy nie będę wolny. A ty... nawet sobie nie wyobrażasz, jak ogromnie już mi pomogłaś. Jesteś moją prawdą.

Zabrawszy rękę, cofnęła się o krok.

- Pragnę ci ufać, Gideonie.

- Możesz. Nigdy cię nie skrzywdzę. Przysięgam.

- Zaufanie musi być wzajemne.

- To znaczy?

- Skoro wymagam, żebyś był ze mną szczery, powinnam tym samym ci się odwzajemnić.

Uśmiechnął się.

- Czuję twoją szczerą, Brooke. W każdym twoim dotyku, w każdym spojrzeniu, w każdym oddechu...

- Błagam, przestań. Bo będzie mi trudniej.

- Nie rozumiem.

- Okłamałam cię.

- Co? Kiedy?

- Tamtej nocy, kiedy spytałeś o moje nazwisko. Naprawdę nazywam się Brooke Pritchard, a nie Carter. Przyjechałam do Redemption autostopem. Ciężarówką, która wiozła do Eugene zmywarki i kuchenki mikrofalowe. Na ciężarówce widniał napis: „Carter - przewozy”. Zapożyczyłam nazwisko od właściciela firmy przewozowej.

Wytarła spoconą dłoń o spódnicę. Wiedziała, że jej wyznanie może wszystko zmienić. Ale chciała grać w otwarte karty, pokazać Gideonowi, że prawda nie boli.

- Kierowca zatrzymał się na kolację w Highway Grill - ciągnęła.
- Wysiadłam. Nie miałam już pieniędzy. Zresztą dlatego podróżowałam stopem. Mabel dała mi jeść i miejsce do spania. O nic nie pytała.

- Dlaczego zmieniłaś nazwisko? - spytał, nie spuszczać z niej wzroku.

- Uciekałam. Nie chciałam, żeby ktoś wpadł na mój trop.

- Przed czym uciekałaś? Zawahała się.

- Stale powtarzasz, że jestem miła i dobra, ale nie znasz o mnie całej prawdy.

- Jakiej?

- Poszukuje mnie policja w Kansas. Za kradzież.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jeśli są bogowie, to pewnie trzymają się za boki i zanoszą się od śmiechu, pomyślał Gideon. Ale jemu nie było wesoło. Ogarnęło go uczucie pokory.

Ujawniając swą tajemnicę, Brooke okazała mu miłość i zaufanie. On zaś korzystając z nowo zdobytej wiedzy, mógł zdobyć nad nią władzę. Tak postąpiliby ludzie z Koalicji. Wykorzystaliby każdą najmniejszą oznakę słabości, aby osiągnąć upragniony cel.

Kiedy zjawił się dziś w mieszkaniu Brooke, był tak przejęty własnymi kłopotami, że nawet nie zastanawiał się, jaki to może mieć wpływ na dziewczynę. Jednakże z sekundy na sekundę coraz dobitniej sobie uświadamiał, że nie jest sam; że wszystko, co mówi i robi, dotyczy coraz szerszego kręgu ludzi. Wiele musi się jeszcze nauczyć o związkach męsko-damskich. I nie mógł sobie wymarzyć lepszej nauczycielki od Brooke.

- Cokolwiek uczyniłaś... jestem pewien, że nie miałaś wyjścia.

Usiadła w rogu kanapy.

- Nie, musiało istnieć jakieś wyjście, tyle że ja go nie widziałam.

- Rozumiem, co czujesz.

- Wiem. Dlatego postanowiłam ci się zwierzyć.

Obszedł stolik i usiadł obok niej. Kiedy ich uda się zetknęły, poczuł, jak przenika go żar. Ale nie miało to nic wspólnego z podnieceniem, raczej z poczuciem niesamowitej bliskości duchowej -

bliskości, która sprawiała mu niemal taką samą przyjemność jak bliskość fizyczna.

- Byłbym zaszczycony, zostając twym powiernikiem.

- Zaszczycony? Powiernikiem? - Uśmiechnęła się. - Och, Gideonie, jesteś nie z tego świata.

Po części jest to prawda, przemknęło mu przez myśl.

- Czy piekarnia, o której mi mówiłaś... ta, w której pracowała twoja matka, znajdowała się w Kansas?

Przyjrzała mu się badawczo.

- Zebrałam się na odwagę, aby powiedzieć ci, że dopuściłam się kradzieży, a twoje pierwsze pytanie brzmi: gdzie znajdowała się piekarnia? Nie chcesz wiedzieć, co ukradłam?

- To bez znaczenia. Liczy się powód. To, co cię skłoniło do tego kroku. Byłaś szczęśliwa, kiedy mieszkałaś z matką, prawda?

- Tak. Mama wiele godzin spędzała w pracy, ale zawsze miała czas dla mnie. A wracając do twojego pytania: piekarnia faktycznie znajdowała się w Kansas. W miasteczku Wichita.

- Opowiedz mi o niej. O mamie. -Ale ona nie ma nic wspólnego...

- Mylisz się. Niedawno sam to sobie uświadomiłem. Że przeszłość wpływa na teraźniejszość. Chcę poznać twoją przeszłość, Brooke. Całą, a nie tylko tę część, od której uciekłaś.

- W porządku. Mama miała siedemnaście lat, kiedy mnie urodziła. Ponieważ na wieść o jej ciąży mój ojciec zwiął, mama musiała rzucić szkołę i podjąć pracę, żeby nas utrzymać. Nigdy nie

narzekała. Traktowała mnie jak najwspanialszy dar od losu, a nie jak ciężar, z którym przyszło jej się borykać.

Nagle Gideonowi mignęła przed oczami twarz ciemnowłosej kobiety o niebieskich oczach. Kobiety, która użyczyła naukowcom z Proteusza swojej macicy. Tak o niej mówiła Agnes, chłodno i bezosobowo, ale teraz już wiedział, że Koalicji nie można wierzyć na słowo; że każdą najdrobniejszą informację należy sprawdzić.

- Twoja mama musiała być cudowną osobą. A ty, Brooke, odziedziczyłaś po niej szlachetność i wspaniałomyślność.

Broda jej zadrżała.

- No, pięknie - mruknęła, sięgając do kieszeni po chusteczkę. -
Widzisz, co zrobiłeś?

Zatroskany, odsunął się, żeby mogła swobodnie wydmuchać nos. Nie miał pojęcia, czym sprowokował jej łzy.

- Przepraszam... - szepnął.

- Zawsze mówisz coś, czego się zupełnie nie spodziewam. Ale nie szkodzi. - Otarła oczy. - Po prostu kiedy cię dziś zobaczyłam, tak przygnębionego, odżyły we mnie wspomnienia, o których starałam się zapomnieć.

- Nie chciałem sprawić ci bólu, Brooke. Wiesz, czasem pomaga, kiedy człowiek wszystko z siebie wyrzuci. Umiem słuchać...

- To trudno wytłumaczyć - podjęła po chwili. - Owszem, czasem się kłóciłyśmy, zwłaszcza kiedy byłam w okresie dojrzewania, ale istniała między nami silna więź emocjonalna. Miłość, której nic nie mogło zburzyć.

Miłość. Ciekaw był, jakie to uczucie. Jeżeli kiedykolwiek zaznał matczynej miłości, nic z tego nie pamiętał. Przysunąwszy się bliżej, objął Brooke.

- Kiedy umarła?

- Skąd wiesz, że nie żyje? - zdziwiła się.

- Bo cię znam. Bo nie zostawiłabyś jej, gdyby żyła. Ponownie przytknęła chustkę do oczu.

- I znów przez ciebie płaczę.

- Przepraszam. Nie wiem, co ja takiego...

- Nie przepraszaj. Cieszę się, że mogę z tobą o tym porozmawiać. I masz rację. Nie zostawiłabym mamy, chociaż ona nalegała na mój wyjazd.

- Dlaczego?

Brooke zmięła chustkę w dłoni.

- To, co usłyszysz, zabrzmie strasznie melodramatycznie, ale nie współczuj mi, dobrze? Każdy ma jakieś problemy. Nie różnię się od innych.

- Korci mnie, żeby zaprzeczyć, ale boję się, że znów sprowokuję cię do płaczu.

Roześmiała się, po czym oparła głowę na jego ramieniu.

- A więc w skrócie... W tym samym czasie, kiedy dostałam stypendium umożliwiające mi studia na uniwersytecie stanowym, u mamy wykryto raka piersi. Była wściekła, kiedy zrezygnowałam ze studiów po to, aby się nią opiekować. Ale ona mnie naprawdę

potrzebowała. Podjęłam pracę w piekarni; teraz ja musiałam zarabiać na nas dwie.

Pogładził ją w milczeniu po włosach. W paru prostych słowach Brooke przedstawiła swoją sytuację. Zobaczył odważną, pełną poświęcenia dziewczynę, która dokonuje wyboru. Kierowała nią miłość, a nie chciwość, ambicja czy nienawiść. Jak bardzo trzeba kochać drugą osobę, aby tak całkowicie wyzbyć się egoizmu?

- Dochodzimy do nieprzyjemnej części. - Brooke westchnęła ciężko. - Właścicielem piekarni był niejaki Frank Shomburg. Z początku zachowywał się bardzo przyzwoicie. Pożyczył mi pieniądze na leczenie mamy. Po jej śmierci zaproponował, abym z nim zamieszkała. Okazywał mi tyle serca i dobroci, a ja czułam się taka samotna i zagubiona, że w końcu zgodziłam się go poślubić.

Na myśl o Brooke w ramionach innego mężczyzny ogarnęło Gideona nieprzyjemne uczucie. Czyżby zazdrość?

- I co? Poślubiłaś go?

- Nie.

Ponieważ zamilkła, sam ułożył w całość pozostałe części łamigłówek.

- Znalazł twój czuły punkt, prawda? Była nią miłość do matki. Wykorzystał ją, aby zdobyć nad tobą kontrolę, finansową i emocjonalną.

- Właśnie. Wiedziałam, że zrozumiesz.

- Chcesz mi opowiedzieć dalszy ciąg? Oswobodziła się z objęć i usiadła do niego przodem.

- Tak, skoro wiesz już tyle... To historia, jakich wiele. Czułam się zależna od Franka; dzięki niemu miałam jedzenie i dach nad głową. A ponieważ byłam mu podległa, uważał, że od czasu do czasu ma prawo mi przyłożyć.

W Gideona wstąpiła furia. Gdyby dopadł Franka Shomburga, chybaby go zabił. Opuszkami palców pogładził Brooke po twarzy. Nie wyobrażał sobie, jak można chcieć krzywdzić tak dobrą istotę. Przecież ona niczego złego Frankowi nie zrobiła. Potrząsnął bezradnie głową.

- Najgorsze jest to - ciągnęła Brooke - że ja mu na wszystko pozwalałam. Całymi latami. Nie potrafiłam zaprotestować, uwolnić się. Chyba nigdy sobie tego nie wybaczę. Dlatego rozumiem, co ty teraz czujesz. Wiem, co to znaczy być zdradzonym, okłamywanym i wykorzystywanym przez bliską ci osobę.

Przez jeden krótki szalony moment miał ochotę opowiedzieć jej o sobie wszystko, ale opamiętał się. Wciągając Brooke w swoje sprawy, naraziłby ją na niebezpieczeństwo.

- Jak... - odchrząknął - jak udało ci się przerwać ten obłąd? Jakim cudem zebrałaś się na odwagę, aby w końcu od niego uciec?

Odwróciła spojrzenie.

- Któregoś dnia ocknęłam się w szpitalu i chyba to sprawiło, że wreszcie przejrzałam: Nigdy wcześniej nie wzywałam na pomoc policji; wydawało mi się, że sama sobie poradzę. Ale tego dnia po wyjściu ze szpitala uznałam, że mam dosyć. Pojechałam prosto do

banku, opróżniłam nasze wspólne konta bankowe, następnie wróciłam do biura na tyłach piekarni i rozwaliłam zamek w sejfie. Większość pieniędzy Frank trzymał w gotówce; ukrywał je przed urzędem skarbowym. Nawet nie liczyłam, ile tego jest. Wzięłam wszystko co do grosza.

- I dobrze.

- Nie. Źle. Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, ale chciałam, żeby choć raz poczuł, jak to jest, kiedy się cierpi. Zabrałam mu również samochód, żeby nie mógł ruszyć za mną w pościg. Przed wyjazdem z Wichity wszystkie pieniądze przekazałam schronisku dla maltretowanych kobiet, następnie ruszyłam na zachód. Kiedy w baku skończyła się benzyna, zostawiłam samochód na poboczu drogi. Potem zatrzymałam ciężarówkę jadącą do Oregonu. Resztę historii znasz.

Zadumał się. Tak wiele ich łączy, ale jeszcze więcej dzieli. Brooke jest dobra. Kradzieżą, jakiej się dopuściła, wyrządziła krzywdę tylko jednemu człowiekowi, który w dodatku zasłużył na karę. W Redemption rozpoczęła nowe życie. Zamiast roztkliwiać się nad sobą i swym losem, starała się nie myśleć o przeszłości, lecz z nadzieją patrzeć w przyszłość.

Wróciła do bolesnych wspomnień tylko po to, aby pomóc jemu uporać się z przeszłością. Co za dziwne zrządzenie losu, pomyślał, że pierwszą osobą, jaką spotkał po opuszczeniu swego podziemnego świata, była właśnie Brooke.

A może nie dziwne? Może bogowie wcale nie rechoczą?

Przed domem rozległ się odgłos klaksonu. Podskoczywszy, Gideon zerknął nerwowo w kierunku okna. Brooke położyła dłoń na jego kolanie.

- To tylko miejscowa młodzież. Pewnie świętują. Ze zdziwieniem skonstatował, że dziewczyna się uśmiecha.

- Co świętują?

- Szczęśliwego nowego roku, Gideonie.

No tak, faktycznie. Nawet nie zdawał sobie sprawy, co dziś za dzień. Stary rok się kończy, nowy zaczyna. Ludzie hucznie obchodzą takie okazje; podejmują noworoczne postanowienia, obiecują wprowadzić zmiany w życiu...

On też pragnął zmiany. Tak bardzo pragnął wyzwolić się spod wpływu Koalicji, że zaczął drzeć.

- Szczęśliwego nowego roku, Brooke.

Nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć, zgarnął ją w ramiona i pocałował. Marzył o tym, by ta noc trwała wiecznie. O tym, by czas się zatrzymał. O tym, by stać się człowiekiem.

W ciemnościach ogarniała go wściekłość na niesprawiedliwość losu. Dlatego nie zgasił światła: wołał się kochać w jaskrawym blasku lampy.

O takim laboratorium jak to mieszczące się w podziemiach Redcom Systems marzy każdy naukowiec. Budowa i wyposażenie na pewno kosztowało majątek, ale koszty nie grały roli. Skomplikowana aparatura zajmowała niemal całe wnętrze. Na samym końcu sali znajdowały się odgradzone od siebie stanowiska pracy z biurkiem,

komputerem, mikroskopem, książkami i notatkami poszczególnych naukowców. Największe biurko, stojące na lekkim podwyższeniu, należało do Agnes Payne.

Oliver Grimble wsunął ręce do kieszeni białego fartucha i stanął za krzesłem żony.

- I jak? - spytał.

Agnes poprawiła ostrość mikroskopu.

- Hodowla komórek postępuje znacznie wolniej, niż się spodziewaliśmy - odrzekła, nie odrywając oczu od instrumentu.

- Widzisz jakieś zmiany?

- Minimalne.

- Może próbki, które wczoraj przygotowałem, dadzą lepszy wynik.

- Wydaje mi się, że znowu pomyliłeś się w obliczeniach, Oliverze.

- To nie moje obliczenia, lecz Henry'ego. Agnes obróciła się i zmierzyła męża gniewnym wzrokiem.

- Od ponad dwudziestu lat tak się tłumaczysz. Powoli tracę cierpliwość.

- Szyfr, jakim się Henry posługiwał, nie jest łatwy.

- Henry nie był aż takim geniuszem. Gdyby tak było, nadal by żył.- Chcę, żebyś jeszcze raz wszystko przeliczył.

- Oczywiście. — Skierował się do swojego biurka. Po paru krokach zawahał się i odchrząknął.

- O co chodzi? - spytała jego żona.

- Zauważyłaś, jak dużo Gideon ostatnio sypia?

- Nie, Oliverze, nie zauważyłam. - Agnes ponownie zbliżyła oczy do mikroskopu.

- Willard wspomniał mi o tym wczoraj, zanim wyjechał do Arizony. Powiedział, że Gideon więcej czasu spędza w łóżku niż przy komputerze.

- Mam nadzieję, że niczym go nie sprowokowałam. Przez jego ostatnią wypowiedź Gideon zażyczył sobie Van Gogha.

- Nie, nie, przysięga, że się bardzo pilnował. Po prostu chciał mi zwrócić uwagę na coś, co może stanowić potencjalny problem.

Skrzywiwszy się, Agnes wyjęła spod mikroskopu płytkę, którą oglądała, a na jej miejsce wsunęła inną.

- Cieszę się, że posłuchał mojej rady i nie wybrał się do Portland. Victor sam sobie poradzi z Jakiem Ingramem, a obecność Willarda przyda się w naszym nowym ośrodku. Już ponad połowa personelu się tam przeniosła.

- A co zrobimy z Gideonem?

- Nie wiem, może będziemy musieli zabrać go do Arizony - rzekła Agnes, pochylając się nad okulem. - Jeżeli jednak chcemy się go pozbyć, musisz mi dostarczyć prawidłowe wyliczenia, abym mogła wyhodować jego następcę.

Skinąwszy głową, Oliver podszedł do sąsiedniego biurka i zabrał się do pracy. Wcisnął kilka klawiszy. Czekał na wynik, zerknął na monitor, na którym rejestrowała obraz kamera zamontowana w

sypialni Gideona. Obraz był niewyraźny, niemal całkiem czarny; widać było jedynie mętny zarys łóżka i leżącej na nim postaci.

- O! Znów śpi.

- Co?

- Gideon. Przyciemnił światło.

Z głośnym westchnieniem Agnes przerwała pracę i popatrzyła na monitor stojący pomiędzy dwoma biurkami.

- Tak, Oliverze, masz rację.

- Dochodzi południe. Może jest chory?

- Wątpię.

- Willard wspomniał, że parę dni temu kręciło mu się w głowie.

- I co z tego? Ma prawo być zmęczony i odczuwać zawroty.

- Dlaczego?

- Nie pamiętasz? Zwiększyliśmy mu dawkę leków, żeby za bardzo się nie buntował. Nawet ktoś mający tak wyjątkową przemianę materii może przez jakiś czas odczuwać skutki uboczne.

- Więc stąd te zawroty? Całe szczęście. - Oliver odetchnął z ulgą.

Agnes uniosła zdziwiona brwi.

- Czyżbyś na stare lata robił się sentymentalny?

- Skądże! Po prostu myślałem, że będę musiał sprawdzić, co mu dolega, a męczy mnie odgrywanie tej farsy, wkładanie sterylного kombinezonu i tak dalej.

- Fakt, jest to dość uciążliwe - przyznała ze śmiechem Agnes. - Ale system funkcjonuje znakomicie.

- To prawda. Wszystko dzięki tobie, Agnes. Jesteś genialna. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zdobędziesz uznanie, na które zasługujesz. Poglądziła męża po dłoni.

- Tak, ja też. Ja też, Oliverze. - Po chwili wskazała głową na ciemny monitor. - Może powinniśmy go obudzić? Im szybciej skończy zadanie, które mu zleciliśmy, tym szybciej zrealizujemy nasze marzenia.

- Twierdził, że potrzebuje odpoczynku. Ja bym mu nie przeszkadzał.

- Ale może dobrze mu czasem przypomnieć, kto tu rządzi. - Wyciągnęła rękę w stronę przycisków u dołu monitora.

- A jeżeli zażąda, żebyśmy mu zdobyli kolejny obraz? Wszystko znów się opóźni.

Przez chwilę się wahała, po czym westchnęła z rezygnacją.

- Masz rację. Nie możemy sobie pozwolić na zwłokę. Dajmy mu jeszcze godzinę czy dwie... - Zamyśliła się. - Budząc go, mogę udać, że niepokoję się o jego zdrowie.

Oliver wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak jak mówiłem: jesteś genialna. Przyjrzała mu się z zainteresowaniem.

- Chyba pora na lunch, nie sądzisz? - Wstawszy od biurka, podała mężowi rękę. - Mam ochotę zamówić coś do pokoju. Idziesz, Oliverze?

Podniósł się i podał żonie ramię. Nawet nie zauważyli, że drzwi na korytarz były otwarte. Opuszczając laboratorium, żadne z nich nie

obejrzało się za siebie. Toteż nie spostrzegli ubranej na czarno postaci przycupniętej w mroku za stołem, na którym stała większość sprzętów.

Gideon odczekał, aż drzwi się zamkną i rozlegnie się charakterystyczny odgłos znamionujący włączenie się elektronicznego zamka; dopiero wtedy się wyprostował. Wstrzymując oddech, przez chwilę wyteżał słuch. Kiedy ucichły oddalające się korytarzem kroki, wypuścił z płuc powietrze i spojrzał na swoje zaciśnięte pięści.

Wściekłość towarzyszyła mu od kilku dni. Powinien umieć się już opanować. Przecież zna swoich opiekunów, wie, czego się po nich może spodziewać. Nie łączą go z nimi żadne ciepłe uczucia.

Mimo to, podsłuchując ich rozmowę, miał ochotę jak dziecko dać upust złości i frustracji: zacząć tupać, grzmocić pięścią w ścianę, rozwalić cenny sprzęt naukowy, wykrzyczeć małżonkom prosto w twarz, co o nich myśli, zacisnąć dłonie na ich gardłach i...

Wziął kilka głębokich oddechów, starając się powściągnąć gniew. Jeszcze za wcześnie na konfrontację. Musi uzbroić się w cierpliwość, użyć głowy, a nie siły. Chciał rozpocząć nowe życie, miał jednak świadomość, że uciec od Koalicji będzie znacznie trudniej niż od piekarza z Wichity.

Trudniej, ale strategię zamierzał obrać podobną, czyli uderzyć w Koalicję błyskawicznie, niespodziewanie, w najczulszy punkt. Tak, by uniemożliwić zorganizowanie pościgu.

Ale pojawił się inny problem. Skoro większość pracowników przeniosła się do nowego ośrodka, oznacza to, że FBI węszy coraz

bliżej. A zatem nawet jeżeli zdoła umknąć Koalicji, wciąż będzie poszukiwanym człowiekiem. Jake Ingram i policja zagrażają jego wolności nie mniej niż Croft, Payne i Grimble; nie miał zamiaru zamieniać jednego więzienia na drugie.

Czy Brooke mu wybaczy, kiedy dowie się, co zrobił? Nie powinien wciągać jej w swoje sprawy; powinien zniknąć z jej życia. Tak byłoby najlepiej. Najrozsądniej. Ale jeśli chodzi o Brooke, nigdy nie kierował się rozsądkiem. Nie wyobrażał sobie życia bez niej, ale... czy kiedy Brooke pozna prawdę, nadal będzie patrzyła na niego z ufnością w oczach? Czy może ufność i sympatię wyprze niechęć i wzdarda?

Podszedł do stanowisk pracy na końcu długiej sali. Zatrzymał wzrok na monitorze, na którym wyświetlała się przygotowana przez niego taśma pokazująca śpiącą postać. Miał dziś szczęście, ale wiedział, że prędzej czy później sztuczka się wyda. Ktoś - Agnes lub Croft - dojdzie do wniosku, że sprawy Koalicji są ważniejsze od jego potrzeby snu, zarządzi pobudkę, a wtedy...

Ciekawe, co by zrobili? Niemal żałował, że nie odkryli jego podstępu i nie przekonali się, że wcale nie jest tak potulną ofiarą, za jaką go biorą. No ale satysfakcja, jaką by poczuł, trwałaby krótko.

Musi się skupić. Macki Koalicji sięgają daleko. Nie wystarczy tylko przeciąć tych, które jego oplatają. Jeżeli chce odzyskać wolność, powinien zniszczyć całą bestię. Bestię, którą pomógł stworzyć.

Rozejrzał się po doskonale wyposażonym laboratorium. Teraz, gdy pozbył się z organizmu środków odurzających, którymi go od lat

karmiono, nic nie mąciło jego pamięci. Pamiętał każde przestępstwo, którego się dopuścił.

Wziął się w garść. Nie ma teraz czasu ani na wyrzuty sumienia, ani na złość. Usiadł przy komputerze Olivera i przejrzał otwarte dokumenty. Już wcześniej się zorientował, że małżonkowie wcale nie usiłują rozwiązać problemu jego skazy genetycznej, ponieważ takowej wcale nie ma. Wspomnieli coś o notatkach Henry'ego.

Przypuszczalnie chodziło im o Henry'ego Bloomfieldda, naukowca, który stworzył program badań o nazwie Proteusz.

Najwyraźniej Agnes z Oliverem starają się rozgryźć zapisane szyfrem notatki Bloomfieldda i powtórzyć jego eksperyment. Psiakrew, dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Czy z powodu silnych leków, które zakłócały jego zdolność postrzegania? Całkiem możliwe. A może nie dostrzegał prawdy, bo nie chciał? Był więźniem Koalicji, ale cennym więźniem. Geniuszem. Gdyby udało im się stworzyć kolejnych geniuszy, jego przydatność znacznie by zmalała.

Przejrzał resztę plików. Wszystko wskazywało na to, że naukowcom daleko było do osiągnięcia celu. Bardzo dobrze. Teraz musi tylko zainstalować program, który zniszczy wszystkie dane.

Sprawdził godzinę u dołu ekranu. Prywatne pomieszczenia małżonków znajdowały się na tym samym poziomie co laboratorium, mniej więcej dwieście metrów dalej. Ma niewiele czasu. Przesiadł się do komputera Agnes, podejrzewając, że najważniejsze informacje będzie chciała trzymać u siebie. Niecałe trzy minuty później okazało się, że miał rację.

Uśmiechnął się pod nosem. Potrzeba dominacji i kontroli sprawiła, że Agnes wszystko sumiennie zapisywała. On, Gideon, drogą elektroniczną wyprowadził z Banku Światowego miliardy dolarów, które wpłacił na liczne konta Koalicji. Nie interesował się, co się dalej działo z pieniędzmi. Agnes zaś wszystko skrupulatnie notowała: każdą transakcję, każdy kraj, który udzielił żołnierzom Koalicji schronienia, każdego przedstawiciela rządu, który przyjął łapówkę, każdego sędziego, którego przekupiono, każdego policjanta, który przymknął oczy na przestępstwo...

Stopniowo uświadomił sobie zasięg konspiracji. Uśmiech znikł mu z twarzy. Nawet mając tak wyjątkowe zdolności intelektualne, czy zdoła zniszczyć to potężne monstrum?

Hm, skoro można wpłacić pieniądze tak, by nikt nie doszedł po nitce do kłębka, to można je również w identyczny sposób wypłacić. Wyjął z kieszeni dyskiety, wsunął w stację i zaczął kopiować pliki. Czekaając, aż się przegrają, rozglądał się po biurku Agnes, na którym panował idealny porządek.

Książki, notesy i podręczniki stały na regale ustawione według rozmiarów, od najwyższego do najniższego. Gideon wyciągnął pierwszy z brzegu notes. Strony, wypełnione drobnym charakterem pisma, zawierały szczegóły eksperymentów genetycznych wykonanych - sądząc po datach na marginesach - cztery lata temu, Z podsłuchanej rozmowy wynikało, że od tego czasu praca nie posunęła się zbyt daleko. Zastanawiał się, dlaczego Agnes zapisywała wszystko ręcznie w zeszycie, zamiast przechowywać dane w komputerze. Ale

przypomniawszy sobie, że zawsze lubiła mieć notatki przy sobie. Pisząc, pochylała się nad kartką, a drugą ręką zasłaniała tekst, jakby nie chciała, by ktoś go przeczytał. Używała cienkopisów; gdy była zdenerwowana, naciskała nimi tak mocno, że często łamała czubki.

Komputer dał znać, że nagrywanie się skończyło. Gideon wyjął dyskietkę, schował do kieszeni i ponownie się zadumał.

Czy kiedykolwiek podczas zebrań w sali konferencyjnej widział, by Agnes coś notowała? Chyba nie. Siedziała skupiona, za każdym razem uważnie kontrolując przebieg rozmowy. Nie traciłaby czasu na robienie notatek. Więc skąd miał pewność, że to charakter pisma Agnes? I skąd znał jej zwyczaje: że pochyla się nad kartką i używa cienkopisów?

Delikatnie przesunął palcami po odwrocie strony. Wyczuwał lekkie wgłębienia na papierze. Czy nadal potrafi czytać słowa wspak? Kiedyś tak się zabawiał.

- Skoncentruj się, Gideonie. Przecież wiesz, jak się robi takie równania. Najpierw wynik funkcji logarytmicznej trzeba... no, co trzeba? Ściskając w dłoni pisak, Gideon wszedł na stół, by dosięgnąć tablicy. Poznał po głosie, że ciocia Agnes zaczyna tracić cierpliwość, dlatego postanowił przemilczeć fakt, że w trzeciej linii popełniła błąd. Łatwiej mu będzie wykonać obliczenia w głowie.

- Gideonie. - Ciocia Agnes postukała cienkopisem w zeszyt. - Czekam.

Zdjął nakrętkę z pisaka i zmarszczył nos. Zapach tuszu kojarzył mu się z zapachem lekarstw wypełniającym salę, w której odbywał

sesje z wujem Oliverem. Nie cierpiał tych sesji. Zawsze czuł się po nich senny.

- Dziś są nasze urodziny. Mam nadzieję, że dostaniemy tort?

- Nie bujaj w obłokach - mruknęła Agnes. - Marzenia to strata cennego czasu.

- Najbardziej lubię czekoladowy. Uwielbiam, jak czekolada rozpuszcza się w ustach.

- Skup się, bo za karę nie dostaniesz żadnego tortu. Skupił się. Kiedy sam przed sobą udawał, że lekcje są grą, wtedy z zainteresowaniem podchodził do nauki. Podobały mu się różne skomplikowane wzory i równania. Podobał mu się również ostry dźwięk, jaki pisak wydawał, kiedy przyciskało się go do tablicy.

- Bardzo dobrze - pochwaliła Agnes.

- Mogę już iść?

- Tak. Ale nie spóźnij się jutro. Zeskoczywszy na podłogę, skierował się do wyjścia.

Drzwi otworzyły się, zanim do nich dobiegł. W progu stała ciemnowłosa kobieta...

Z korytarza dobiegły głosy. W elektronicznym zamku rozległ się cichy szum. Mechanizm skanujący analizował odcisk kciuka.

Przeszłość miesza się z teraźniejszością. Za drzwiami czyha niebezpieczeństwo. Ktoś usiłuje dostać się do środka. Kto? I co się zaraz wydarzy?

Gideon z trudem wrócił na ziemię. Co to było? Wspomnienie? Sen? Wciąż widział twarz kobiety, która na niego czekała. Violet

Vaughn. Jego matka. Serce waliło mu jak szalone. Ze strachu czy z miłości?

Zamek cicho zazgrzytał.

Gideon czym prędzej wsunął notes na miejsce i rzucił się pędem do sąsiedniego pokoju. Dobiegłszy do drzwi, usłyszał, jak Agnes z Oliverem wracają do laboratorium.

Ciocia Agnes z wujkiem Oliverem.

Jeżeli będzie niegrzeczny, zaprowadzą go do sali, w której unosi się zapach lekarstw. I nie dostanie tortu.

Ktoś recytował wierszyk. Gideon poruszył się niespokojnie. Chciał, żeby nastąpiła cisza. Odruchowo jednak jego wargi powtarzały słowa wierszyka...

Przycisnął kciuki do skroni, z całej siły starając się pozostać w teraźniejszości. Nie może pozwolić, aby wciągnęły go wspomnienia. Wtedy wszystko się wyda, a on jeszcze nie jest gotów. Potrzebuje co najmniej kilku dni, by przygotować ucieczkę, zebrać więcej informacji, dokończyć program...

Wspomnienia muszą pozostać zamknięte w jego głowie, dopóki sam nie otworzy im drzwi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Nie masz się czego bać - powiedziała do siebie Brooke. Wyjęła z samochodu torby ze starannie zapakowanym jedzeniem, po czym zatrzasnęła biodrem drzwi. - Zachowujesz się jak histeryczka.

Biuro szeryfa mieściło się przy głównej ulicy, w murowanym piętrowym domu, który sąsiedował z budynkiem poczty. Oprócz radiowozu na parkingu stało kilka aut, przypuszczalnie należących do klientów poczty. Mimo to Brooke odruchowo sprawdziła tablice rejestracyjne. Odetchnęła z ulgą, gdy przekonała się, że żadna nie jest z Kansas.

W głównej sali komisariatu stało kilka szaf z aktami, wieszak na płaszcze, ekspres do kawy oraz kilka biurek, większość pustych na skutek cięć budżetowych, które spowodowały konieczność redukcji personelu. Przy jednym z komputerów pracowała Nancy Savard, synowa burmistrza, której redukcja nie dotknęła. Kobieta skinęła na powitanie głową, po czym zawołała przez ramię:

- Panowie, kolacja!

Szklanych drzwi prowadzących do gabinetu Trevora pilnował jakiś obcy mężczyzna. Nie miał na sobie munduru, ale Brooke się domyśliła, że jest przedstawicielem prawa. Wskazywała na to jego krótka fryzura, kamienny wyraz twarzy i konserwatywny szary garnitur.

- Proszę postawić torby na blacie - rzekł, podchodząc bliżej.

Brooke bez słowa wykonała polecenie. Zamiast zabrać torby na zaplecze, mężczyzna każdą otworzył i zajrzał do środka, następnie wyjętym z kieszeni długopisem podważył wieczka pojemników, w których czekało przygotowane przez nią jedzenie. Inspekcję wykonał szybko i sprawnie. Kiedy skończył, podziękował Brooke, po czym chwycił torby i ponownie skierował się w stronę szklanych drzwi.

Gdy zastukał, ze środka wyłonił się inny mężczyzna w ciemnoszarym garniturze, o wysmarowanych żelem włosach. Przejął torby od swego kolegi i cofnął się. Zanim jednak zdążył zamknąć drzwi, na progu pojawił się Trevor, który szepnął coś do mężczyzny na zewnątrz. Kiedy obaj obcy znikli w gabinecie, Trevor podszedł do Brooke.

- Pachnie wspaniale - powiedział z uśmiechem. - Spisałyście się z Mabel na medal.

- Dziękuję. - Kątem oka widziała za drzwiami trzy postaci. - Przywiozłam cztery porcje, tak jak prosiłeś. Rostbef z pieczonymi ziemniakami.

- I po kawałku ciasta?

Tak. Dziś upiekłam jabłkowo-żurawinowe.

- Pysznie. - Poprawił mankiety u koszuli. - Mam nadzieję, że nie pracowałeś ciężko w sylwestra?

- No wiesz, nie mogę się lenić, jeśli chcę otworzyć własny interes. - Mając w pamięci nieśmiałą propozycję Trevora, by spędzić wspólnie sylwestrowy wieczór, postanowiła czym prędzej zmienić

temat. Wyciągnawszy z kieszeni płaszcza rachunek, położyła go na blacie. - Mabel prosiła, żebyś zapłacił gotówką.

- Podpiszę to i później się z nią rozliczę.

- Przykro mi, ale tym razem Mabel nalega na gotówkę. Wiesz, jaka ona jest.

- W porządku. - Policjant zwrócił się do swojej zastępczyni. - Nancy, możesz się tym zająć? Bo muszę wrócić na naradę.

- Jasne, szefie. - Nancy Savard wstała od biurka i podeszła do segregatora. - Jeszcze ci pani MacKenzie doliczy odsetki, tak jak w zeszłym roku.

Pożegnawszy Brooke uśmiechem, Trevor wrócił do swego gabinetu. Mężczyzna w szarym garniturze ponownie ustawił się na straży.

Brooke nie miała wątpliwości, że facet pilnuje biura szeryfa. Torby z jedzeniem, które przyniosła z Grilla, sprawdził tak dokładnie, jakby szukał materiałów wybuchowych. Ciekawe, kto jeszcze jest w gabinecie Trevora? Najwyraźniej Trevor nie przesadził, mówiąc o spotkaniu w ważnych sprawach zawodowych.

- Ile się należy?

Brooke przeniosła spojrzenie na Nancy, która stała pochylona nad widoczną w dolnej szufladzie segregatora metalową kasetką. Brooke odczytała sumę podaną na rachunku. Nancy zagwizdała' cicho.

- Ależ ta Mabel ma tupet.

- Ostrzegła -szeryfa, że będzie drożej.

-Jeśli posiłek okaże się w połowie tak dobry jak te ekierki, które parę dni temu dostarczyłaś na przyjęcie u taty, to nie ma co narzekać na cenę. - Zasuńawszy szufladę, Nancy przyniosła Brooke pieniądze. - Zresztą i tak wszystko pokrywa rząd. Brooke pochyliła się nad blatem.

- Nancy, co się dzieje? - spytała, zniżając głos.

- Nie mam pojęcia - odparła zastępczyni szeryfa. - Nie jestem wtajemniczona.

- Ale garniturowcy są z FBI?

- Nie wiem, Brooke.

- Czy to ma związek z wybuchem w Portland? Gazety donosiły o porachunkach miejscowych gangów.

- Naprawdę nie umiem ci nic powiedzieć.

- Oby tylko nie przenieśli się do Redemption. Może nie żyjemy w najbardziej urokliwym mieście pod słońcem, ale przynajmniej jest tu w miarę spokojnie.

Gdy wróciła do Grilla, większość stolików była zajęta. Po świętach znów zaczął się ruch w interesie. Pod oknem siedziała grupa kierowców, wśród nich Phil z Paulem, pałaszując ze smakiem kolację.

Mabel stała nieopodal kasy, nasadzając pokrywki na styropianowe kubki z kawą, na które czekała para sennie wyglądających młodych ludzi.

- Jedźcie ostrożnie - powiedziała do nich. - Jeżeli zechce wam się spać, zatrzymajcie się na poboczu.

- Dobrze. - Chłopak, który mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat, wysupłał z kieszeni drobne i położył je na ladzie. - Dziękujemy.

Mabel przesunęła monety w jego stronę.

- Kawa i bułeczki są dziś na koszt firmy. Chłopak oblał się rumieńcem. Przez moment wahał się, jakby chciał zaprotestować, ale potem schował pieniądze do kieszeni, objął dziewczynę i skierował się do drzwi.

- Forsę lepiej wydaj na fryzjera, zanim pójdziesz na tę rozmowę kwalifikacyjną! - zawołała za nim właścicielka lokalu.

Brooke uśmiechnęła się. To było w stylu Mabel: jednemu liczyła astronomiczną sumę za posiłek, a drugiemu dawała dobrą radę i przekąskę za darmo.

- Ominęło mnie coś ciekawego? Mabel wzruszyła ramionami.

- Dzieciak szuka pracy.

- A ty masz miękkie serce.

- Skończyły się nam słodkie bułeczki.

- Upiekę z samego rana. Kogoś trzeba obsłużyć?

- Tylko tego dziwnego faceta w rogu.

Brooke chwyciła bloczek i ruszyła do klienta, którego wskazała Mabel. Szefowa miała rację: facet istotnie sprawiał dziwaczne wrażenie. W przeciwieństwie do Gideona, nie wyglądał tajemniczo czy intrygująco, lecz... nieapetycznie. Chudy jak strach na wróble, o twarzy kościotrupa, siedział zastygły w bezruchu.

Brooke wyjęła długopis.

- Dobry wieczór. Co panu podać? Mężczyzna zamknął menu i podniósł wzrok. Oczy miał tak głęboko osadzone, że niemal nie widać było białek.

- Nie zauważyłem w karcie żadnych sałatek...

- Bo klienci rzadko je zamawiają, ale jeśli pan ma ochotę, zaraz jakąś przyrządzę.

- Byłbym wdzięczny. Podobno przygotowujecie posiłki na wynos?

Nie lubiła oceniać ludzi po wyglądzie, ale ten facet wyraźnie budził jej nieufność.

- Właściwie to nie...

- Nie? Ktoś wspomniał, że właśnie wraca pani z biura szeryfa.

Czyżby próbował wyciągnąć z niej jakieś informacje? Wsunęła menu pod pachę.

- A więc zamawia pan sałatkę na wynos? Pokiwawszy głową, wyjrzał na dwór. Tu, skąd siedział, miał świetny widok na samochód Brooke.

Gdy przyjechała wieczorem do domu, zauważyła wydobywający się spod drzwi wąski pasek światła. Nie zaniepokoiła się tym; odkąd dała Gideonowi zapasowy klucz do mieszkania, codziennie czekał na jej powrót z pracy. Pierwszego wieczoru przyniósł jej CD z walcami Chopina. Drugiego - stary, oprawiony w skórę tom wierszy Johna Keatsa. Nigdy nie brakowało im tematów do rozmowy, chociaż o sobie Gideon mówił bardzo niewiele. Czasami w ogóle nie rozmawiali. Wczoraj, ledwo przekroczyła próg, porwał ją w ramiona-, rozpiął jej płaszcz i kochał się z nią w salonie na podłodze.

Każdej nocy ich poczucie bliskości pogłębiało się. Gideon był wspaniałym kochankiem, czułym, a zarazem pełnym namiętności. Ból

i gniew, które jeszcze kilka dni temu widziała w jego oczach, ustąpiły miejsca determinacji. Może nie był jeszcze gotowy do zwierzeń, ale Brooke nie narzekała; w jego ramionach mogła czekać w nieskończoność.

- Gideon?! - zawołała, otwierając drzwi.

- Jestem w kuchni! Wcześniej dziś wróciłaś.

- Tak. Mabel uznała, że musi uczcić te sto czterdzieści dolców, które zarobiła od rządu za cztery posiłki dostarczone do biura szeryfa.

Zdjęła płaszcz i skierowała się w stronę głosu. Dopiero po chwili zauważyła Gideona, a raczej czubek jego głowy. Okazało się, że odsunął stojącą przy kuchence lodówkę, a sam wcisnął się w niewielką przestrzeń, jaka się za nią utworzyła.

- Boże! Co robisz?

- To urządzenie ciągle się psuje.

- Wiem. Wystarczy je kopnąć i znów działa. Postawiła na stole torbę z kolacją, którą przyniosła z Grilla, po czym zerknęła za lodówkę. Gideon klęczał na podłodze rozebrany do pasa. Związane czarną tasiemką włosy leżały między łopatkami. Cały lśnił od potu; ramiona miał umazane ciemnym smarem.

Był doskonale zbudowany; nagość nie wprawiała go w zakłopotanie. Brooke nigdy dotąd nie spotkała kogoś, kto tak naturalnie traktowałby własne ciało. Przez chwilę rozkoszowała się wspaniałym widokiem, po czym spojrzała na tył lodówki.

- O rany. Rozłożyłeś ją na czynniki pierwsze.

- Bez przesady. - Przytwierdził miedzianą rurkę do metalowej skrzynki, a całość umieścił w specjalnym otworze mniej więcej metr nad podłogą, po czym zasłonił otwór metalową płytką. - Musiałem dokonać paru drobnych poprawek, aby zamocować przyrząd, który usprawni jej działanie.

- Nie gniewaj się, ale czy... czy kiedykolwiek już naprawiałeś urządzenia chłodnicze?

- Nie, ale nie ma w tym nic trudnego. Obrócił się, by wepchnąć wtyczkę do kontaktu.

Rozległo się ciche buczenie oznaczające, że lodówka działa, które po paru sekundach ustało.

- No trudno - westchnęła Brooke. - Zresztą i tak była stara. Może właściciel zna kogoś, kto ją naprawi.

Gideon pozbił z podłogi druty, narzędzia oraz różne nieprzydatne części i wyszedł z ciasnego kąta. Śrubokręt schował do szuflady z narzędziami, inne rzeczy wrzucił do śmieci, po czym przysunął lodówkę do ściany.

- Ależ ona działa, Brooke. - Otworzył drzwi, demonstrując zapalone światło. Ze środka powiało chłodem. - Pracuje ciszej i zużywa mniej prądu, bo... - Wygłosił krótki wykład na temat dokonanych przez siebie ulepszeń, z którego Brooke prawie nic nie zrozumiała. - Jeśli ci się nie podoba - dodał na zakończenie - mogę wszystko przywrócić do poprzedniego stanu.

Potrząsnęła z uśmiechem głową, po czym zamoczyła pod kranem ściereczkę, skropiła ją mydłem w płynie i - zaczęła przecierać Gideonowi ramiona, by usunąć z nich smar.

- Po Chopinie i Keatsie ciekawa byłam, czym mnie dzisiaj zaskoczysz. Powiedz, na samochodach też się znasz? Powinnam zmienić olej, zrobić przegląd...

- Chętnie zerknę.

- Może kiedy indziej, jak będziesz bardziej ubrany.

- Pogładziła palcami jego mięśnie. - Wiesz, że nie musisz mi nic naprawiać? Ani przynosić prezentów?

- Ale chcę. Nawet nie wiesz, jakie to ważne, kiedy ma się w kimś oparcie.

- Mylisz się, wiem. Kiedy znalazłam się w potrzebie, mogłam liczyć na Mabel. Przyjemnie jest tworzyć łańcuch dobrych serc.

Objął ją w pasie i przytulił.

- Jesteś niesamowita, Brooke. Twoja dobroć nieustannie mnie zadziwia.

Zaczęła czyścić jego skórę. Była brudna tylko w jednym miejscu, ale skoro nadarzyła się okazja, by go dotknąć, nie chciała jej zmarnować.

- Ty też jesteś niesamowity... - Nagle pod włosami na piersi spostrzegła wąską białą bliznę. - Co to?

- Przeciągnęła palcem po szramie. - Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam? Co się stało?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy wersja, którą mi przedstawiono, pokrywa się z prawdą, a sam niewiele pamiętam.

Przycisnęła usta do blizny.

- Tak czy inaczej, wygląda bardzo seksownie.

- Tylko ty potrafisz powiedzieć coś miłego o takim paskudztwie
- rzekł ze śmiechem.

- Coś, co jest częścią ciebie, nie może być paskudne. Pocałował ją w czubek nosa.

- Mam dla ciebie prezent.

Minąwszy ją, podszedł do małego okrągłego stołu, przy którym rano jedli śniadanie. Na wierzchu leżał stos papierów: jedne zawierały matematyczne równania, inne rysunki.

- Co to? - spytała Brooke, wieszając ściereczkę na drzwiach piekarnika.

- Dokumentacja. Dokładny opis tego, co zrobiłem.

- Wyciągnął ze stosu kilka kartek i złożył je razem.

- Według moich obliczeń twoja lodówka będzie teraz zużywać dziewięćdziesiąt dwa przecinek siedem procent mniej prądu niż dotychczas. Rysunki pokazują urządzenie, jakie zastosowałem, sposób, w jaki można je powielić i zamontować w innych sprzętach. Zapisałem również nazwy kilku znanych firm, które byłyby zainteresowane produkcją i dystrybucją urządzenia. Jeżeli je opatentujesz...

- Zaraz, chwileczkę. Chcesz powiedzieć, że mogę sprzedawać ten gadżet, który mi wsadziłeś do lodówki?

- Inni by go sprzedawali, a ty jako właścicielka patentu dostawałabyś pieniądze. Dobry prawnik powinien wynegocjować dla ciebie co najmniej dwadzieścia milionów z góry oraz udział w zyskach.

Kolana się pod nią ugięły. Wysunęła krzesło i usiadła.

- Żartujesz, prawda?

- Mogę się mylić co do sumy. Niewykluczone, że dostaniesz bliżej sześćdziesięciu milionów. Dużo lepiej znam się na systemach zabezpieczeń niż na zagadnieniach związanych z oszczędzaniem energii, ale ponieważ ceny prądu stale rosną, myślę, że będzie spory popyt na ten, jak go nazwałaś, gadżet.

Oszłomiona patrzyła na kartki w jego dłoni.

- Jeżeli to urządzenie działa tak, jak mówisz, to warte jest fortunę.

Gideon wyciągnął kartki w jej stronę. Serce zabiło jej mocniej. Oblizwała wargi.

- Gideon, dlaczego mi to dajesz?

- Bo to jedyne, co mam.

- Mówiłam ci, że nie oczekuję żadnych prezentów.

- Tak wiele od ciebie dostałem, Brooke, a tak mało ofiarowałem ci w zamian. Chciałbym, żebyś już nigdy nie była od nikogo zależna.

- O to się nie martw. A miliony nie są mi potrzebne do szczęścia. Już wkrótce będzie mnie stad na otwarcie własnego interesu. -

Uśmiechnęła się. - Pieniądze z tego wynalazku wykorzystaj do... -

Nagle coś jej przyszło do głowy. - A może z Redcomem wiązą cię jakieś umowy? I dlatego sam nie możesz sprzedać patentu?

- Nie o to chodzi. Pieniędzy mi nie brakuje, a w ostatnim czasie wprowadziłem pewne zmiany na kontach, na których procentują zyski z moich poprzednich wynalazków. Mogę bez wiedzy Redcomu podjąć, ile tylko zechcę. - Położywszy kartki na stole, zaczął przemierzać pokój. - Mam zamiar zrezygnować z obecnej posady...

- I co będziesz robił?

- To zależy, jaką formę przybierze moje rozstanie z Redcomem. Oczywiście będę musiał również zrezygnować z mieszkania.

- Słusznie. Ale bez trudu znajdziesz coś w Redemption. Firmy pobankrutowały, ludzie powyjeżdżali z miasta...

- Wiem. - Potarł ręką brodę. - Ciężkie nastały czasy. Serce ponownie jej zakołatało.

- Możesz też zamieszkać ze mną. Nie ma tu takich wygód, do jakich przywykłeś, ale...

- Nie mogę, Brooke. - Skręcił do wnęki kuchennej po koszulę, którą zostawił na szafce. - Wyjeżdżam.

Patrzyła, jak się ubiera. Koszulę miał luźną, z cieniutkiej bawełny. Czarną, jak wszystko, co nosił. Zastanawiała się, dlaczego wybiera ten kolor. Do twarzy mu było w czerni, ale na pewno nie powodowała nim próżność.

Wolała rozmyślać o garderobie Gideona niż przyjąć do wiadomości fakt, iż opuszcza Redemption.

- Na zawsze? - spytała w końcu. - Dlatego dajesz mi te rysunki i wykresy?

- Nie na zawsze. - Zapiął guzik. - A rysunki dam ci na wszelki wypadek. Gdyby coś mi się stało.

- Nie rozumiem.

Podszedł do krzesła, na którym siedziała, i oparł dłonie na jej ramionach.

- Brooke, więcej przebywałem wśród maszyn i komputerów niż wśród ludzi, dlatego tak trudno mówić mi o uczuciach. Jesteś... moim największym skarbem. Ponieważ chcę spędzić z tobą przyszłość, muszę uporać się z terażniejszością.

- Wciąż nic nie rozumiem. Mówisz, że chcesz spędzić ze mną przyszłość, a jednocześnie twierdzisz, że wyjeżdżasz?

- Tak. - Podciągnął ją na nogi. Przez moment intensywnie wpatrywał się w jej twarz, jakby chciał ją powierzyć swej pamięci. - Zamierzam opuścić Redemption, ale chciałbym cię z sobą zabrać.

- Co? - Uchwyciła się jego koszuli. - Gideon, mam tu dom, przyjaciół, tu chcę otworzyć cukiernię. Jak możesz...

- Wiem - przerwał jej. - Jak mogę prosić, abyś z wszystkiego zrezygnowała? Po prostu pragnę cię tak bardzo, że myślę sercem, a nie głową. Sądysz, że to miłość?

- Co?

- To, co nas łączy. Mówiłaś o miłości do matki... Ja o miłości czytałem, czasem widzę miłość uwiecznioną w sztuce, ale nie pamiętam, czy kiedykolwiek sam jej zaznałem. - Zaciśnął dłoń na jej

piersi. -W łóżku nasze ciała zlewają się w jedno, ale nawet wtedy, kiedy się nie dotykamy, mam wrażenie, że tworzymy nierozłączną całość. Kiedy jestem z tobą, czuję, że żyję. Wprawdzie potrafię samodzielnie funkcjonować, ale nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. - Pocałował ją w usta. - Jesteś stale obecna w moich myślach, w moich snach... Czy to miłość?

Nie umiała odpowiedzieć. Od paru dni sama również usiłowała rozwikłać tę zagadkę.

- Zwykle potrzeba więcej czasu - szepnęła. - Żeby wiedzieć na pewno.

- Chyba emocje nie podlegają intelektowi?

- Nie, nie podlegają.

- Więc skąd można wiedzieć na pewno?

- Po prostu się wie. Ufa się temu, co mówi serce.

- Ja ufam tobie, Brooke. Obudziłem się z letargu, kiedy poczułem dotyk twojej skóry. On mnie ogrzał, ożywił. To wewnętrzne ciepło, które mnie rozpala... to musi być miłość.

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Gideon rozprawiał o miłości z pasją i namiętnością mężczyzny, a zarazem niewinnością dziecka. Rozum jej mówił, że miłość rodzi się wolniej, serce jednak nie sprzeciwiało się słowom, które słyszała.

- Zawsze mnie zaskakujesz...

- Tak? - Skubnął wargami jej ucho, potem musnął lekko szyję. - Zaskakuję, powiadasz? - Podciągnął jej sweter, rozpiął stanik. - Znam parę innych zaskakujących sztuczek...

Zadrzała.

- Musimy porozmawiać.

- Później. Najpierw pokażę ci...

Nagle rozległo się głośnie pukanie. Brooke chciała je zignorować. Dochodziła północ. Ktoś musiał pomylić numer mieszkania. Zamknęła oczy...

- Brooke Carter? - dobiegł z korytarza obcy męski głos. - Panno Carter, proszę otworzyć drzwi.

Gideon zeszywniał i opuścił ręce.

- FBI - oznajmił drugi głos, gdy pukanie powtórzyło się. - Proszę otworzyć, panno Carter.

- Psiakrew - mruknął pod nosem Gideon. - Nie teraz. Jeszcze jeden dzień. Tyle by mi wystarczyło.

- Boże - szepnęła, zapinając stanik. - Wiedziałam, że Frank się tak łatwo nie podda. To pewnie on ich nasłał. - Obciągnęła sweter i rozejrzała się po mieszkaniu, jakby szukając drogi ucieczki. Potem podbiegła do okna. Na widok bronco z migającym światłem na dachu zrobiło się jej słabo. - Chryste! Trevor też tam jest.

Gideon przeszedł do łazienki i sypialni. Po chwili wrócił; na jego twarzy malował się ponury wyraz.

- Za domem też pilnują.

- Od kradzieży minęły tylko cztery lata - szepnęła Brooke. - Przedawnienie następuje dopiero po siedmiu. Uciekając Franka wozem, przejechałam przez kilka stanów. Przepraszam. Myślałam, że jestem bezpieczna.

- Jesteś. Nic nie mów, wszystko będzie dobrze. -Pocałował ją w czoło. - Zwrócili się do ciebie „panno Carter”, nie „panno Pritchard”.

- Ale...

Rozmowę przerwał głośny huk. Pchnięte od zewnątrz drzwi otworzyły się na oścież. Do środka wpadło kilku uzbrojonych mężczyzn.

Gideon wysunął się przed Brooke, własnym ciałem odgradzając ją od wymierzonych w nich luf.

- Nie przyszli po ciebie, Brooke - oznajmił zimnym jak stal głosem, który tylko raz wcześniej u niego słyszała. - Przyszli po mnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

To jej się śniło nocami: że nie zdoła umknąć przed przeszłością. Że któregoś dnia policja ją odnajdzie i wsadzi za kratki. Strach i niepewność towarzyszyły jej nieustannie, odkąd tylko rozpoczęła nowe życie. Ale mężczyźni, którzy wtargnęli do środka, słowem nie wspomnieli o pieniądzach i samochodzie Franka. Koszmar, którego się tak bała, rozwijał się w całkiem innym wymiarze.

- Nie wierzę. - Zacisnęła ręce na oparciu krzesła, aby nikt nie widział, jak bardzo drżą. - To niemożliwe.

- Panno Carter, mamy niezbite dowody - oznajmił Jake Ingram. Zamknął za sobą szklane drzwi do gabinetu Trevora, po czym przysunął krzesło i usiadł koło niej. - Człowiek, którego pani zna jako Gideona Faulknera, jest Achillesem.

Miała nadzieję, że ktoś jej robi głupi kawał, ale na twarzy Jake'a Ingrama malował się wyraz śmiertelnej powagi. Domyśliła się, że facet nie jest policjantem - miał za dobrze skrojony i za drogo wyglądający garnitur, a włosy dłuższe i mniej starannie uczesane od swoich współtowarzyszy. Twierdził, że został wynajęty przez Bank Światowy, aby pomagać FBI w ściganiu największego złodzieja wszech czasów. Jego niebieskie oczy zdradzały nieprzeciętną determinację oraz inteligencję.

Brooke przeniosła spojrzenie na Trevora, który siedział przy biurku. Prawie się nie odzywał, odkąd wyprowadził ją z mieszkania

do radiowozu, za to przyglądał się jej ze smutkiem i jakby rozczarowaniem.

- Nie wierzę - powtórzyła.

- Od paru miesięcy agenci zawężali teren poszukiwań. - Trevor wzruszył ramionami. - Nie ma mowy o pomyłce.

- Gazety ciągle pisały, że policja jest coraz bliżej wykrycia sprawcy kradzieży. Ale byłam pewna, że Mabel ma rację i że to wszystko rządowa propaganda. - Ponownie wbiła wzrok w Jake'a Ingrama. - Jednego nie rozumiem. Skoro FBI zamierzało lada dzień dokonać aresztowania, to chyba nie powinno rozgłaszać swego przyjazdu do miasta, prawda?

- Oczywiście.

- A o waszym wczorajszym przybyciu wiedzą wszyscy. Nawet jeden z gości w Grillu mówił, że szykuje się jakaś chryja. Gdyby Gideon faktycznie był Achillesem, to dawno by stąd zwiął.

- Kim jest Mabel? - spytał Ingram Trevora.

- Właścicielką Highway Grilla, skąd mieliśmy wczorajszy posiłek - odparł szeryf. - Przez tę babę pójdę z torbami.

Brooke poderwała głowę.

- Nie dość, że zniesławiasz Gideona, to jeszcze oczerniasz Mabel? Możesz nie lubić jej poczucia humoru, ale dobrze wiesz, że ona po pierwsze, doskonale zna się na interesach, a po drugie, muchy by nie skrzywdziła.

- Jest pani bardzo lojalna w stosunku do swoich przyjaciół - zauważył Jake Ingram.

- To źle?

- Owszem, źle, kiedy się chroni narzeczonego, którego FBI ściga za kradzież trzystu pięćdziesięciu miliardów dolarów - odparł gniewnie Trevor. - Teraz wiem, dlaczego nie chciałaś się wybrać ze mną na sylwestra. Bo romansowałaś z Achillesem! Wiesz, że możesz być oskarżona o współudział w przestępstwie? O udzielanie schronienia człowiekowi poszukiwanemu przez prawo? O...

- Szeryfie... - wtrącił Jake Ingram - tylko pan pogarsza sytuację.

- W porządku. - Trevor skrzyżował ręce na piersi. - Niech pan z nią rozmawia.

- Panno Carter, pani przyjaciółka Mabel nie myliła się. Gazety istotnie uprawiały propagandę. Nasze głośne przybycie do Redemption też miało swój określony cel.

- To znaczy?

- Achilles jest członkiem dużej organizacji przestępczej, która usiłowała nam przeszkodzić w ujęciu go. Musieliśmy się uciec do podstępu, do wysyłania fałszywych sygnałów i informacji mających zmylić czujność przeciwników. Wiedzieliśmy, że gdy poczują się bezpieczni, automatycznie staną się mniej ostrożni.

- Innymi słowy kłamaliście.

- Tak. Od wielu tygodni mieliśmy ten teren pod ścisłą obserwacją.

- Jeśli kłamaliście wcześniej, dlaczego teraz mam wam wierzyć?

- Ponieważ grozi pani niebezpieczeństwo, panno Carter.

Współpracując z nami, zyska pani pewność, że nic złego pani nie spotka.

- Dotychczas tylko raz w życiu widziałam wycelowaną w siebie broń: kiedy pan i pańscy kumple wdarli się do mojego mieszkania.

- Czyli nie widziała pani ładunków wybuchowych, które usunęliśmy z pani samochodu.

Poczuła się tak, jakby uciekło z niej powietrze.

- Co takiego? - spytała szeptem.

Jake Ingram sięgnął po leżącą na biurku teczkę. Otworzywszy ją, wyjął ze środka kilka zdjęć polaroidowych.

- Proszę. Oto co znaleźliśmy w pani aucie.

Rozpoznała swój samochód, ale tkwiącą w bagażniku, tuż przy kole zapasowym, płataninę drutów oraz podobną do kitu szarą masę widziała po raz pierwszy w życiu.

- Boże...

- A tego człowieka pani zna?

Ingram podał jej kolejne zdjęcie. Wyglądało tak, jakby wykonano je z pewnej odległości; ostrość była nie najlepsza, ale twarz rozpoznawalna - chuda, o zapadłych policzkach, głęboko osadzonych oczach, kościach sterczących jak u kościotrupa.

- Widziałam go wieczorem w Grillu. Prosił o sałatkę na wynos. Wiedział, że dostarczyłam do biura szeryfa zamówione wcześniej dania.

- To Victor Prego. - Jake Ingram zabrał zdjęcie i schował je do teczki. - Odkąd zacząłem pomagać FBI, kilkakrotnie usiłował mnie zabić. Ostatnio podkładając ładunek pod samochód w Portland.

- Myślałam, że to były porachunki gangów.

- Taką informację przekazaliśmy dziennikarzom.

- Co ten Prego ma przeciwko mnie? Czym mu się naraziłam?

- Nie chodziło mu o panią, lecz o mnie. Ładunek w pani samochodzie był zdalnie odpalany. Podejrzewamy, że facet zamierzał go odpalić, kiedy będzie pani dostarczała kolejne zamówienie do biura szeryfa. Materiału wybuchowego starczyłoby na to, aby kilka budynków obrócić w perzynę. Poczcie, sklep, całą ulicę.

Brooke zacisnęła pięści.

- Mogliśmy wszyscy zginąć. Pan, pańscy przyjaciele, ja, Nancy. Boże. O tej porze, na poczcie jest zawsze pełno ludzi. Rodziny z dziećmi...

- Dlatego chcieliśmy dyskretnie rozmieścić tu naszych ludzi. Od dawna śledziliśmy Prega; właściwie cały czas wyprzedzaliśmy go o krok. - Pochylił się do przodu. - I dlatego nie mogliśmy dłużej czekać z Achillesem. Mamy do czynienia w grupą okrutnych przestępców, panno Carter. Trzeba ich bezwzględnie powstrzymać. Achillesa też.

Brooke pokręciła wolno głową.

- Myli się pan co do Gideona. Ufam mu. On nigdy by nikogo nie skrzywdził. Nie wierzę, aby miał cokolwiek wspólnego z tymi przestępcami, o których pan mówi.

- On z nimi mieszka od ponad dwudziestu lat -oznajmił Jake Ingram. - Wychowywali go, odkąd w wieku dziesięciu lat rozdzielono go z rodziną. Gideon Faulkner jest geniuszem. Jako Achilles podejmuje się różnych zadań, które finansują tę groźną podziemną organizację.

- Nie.

Mężczyzna przysunął się bliżej.

- Od kilku dni obserwujemy go, jak opuszcza strzeżony ośrodek mieszczący się w podziemiach Redcom Systems i udaje się prosto do pani. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to jest człowiek, którego szukamy.

Brooke z trudem przełknęła ślinę.

- Nie - powtórzyła. - Gideon to na pewno nie Achilles.

- Panno Carter, czy kiedykolwiek była pani w jego domu? Czy opowiadał pani o sobie? Czy zastanawiała się pani, dlaczego widuje go jedynie nocą?

- Mieszka w jednym z tych luksusowych domów na wzgórzach - odparła. - On naprawdę nie jest żadnym potworem. Jest dobrym, wrażliwym człowiekiem, który...

- Nie zdziwiło pani, dlaczego poddał nam się bez protestu, bez walki?

Przycisnęła palce do oczu, chcąc powstrzymać łzy. Ale myśli, które cisnęły się jej do głowy, nie była w stanie powstrzymać. Powoli fragmenty łamigłówki zaczynały układać się w straszną całość.

„Nie przyszli po ciebie. Przyszli po mnie”.

Nie, to przecież niemożliwe! Jej Gideon o przeraźliwie smutnym spojrzeniu pełnym tęsknoty, a czasem furii, który nie pamięta swojej przeszłości, nie może być tym przestępcą, którego ściga FBI.

Ale rzeczy, które mówił Jake Ingram, pasowały do tego, co wcześniej on sam jej opowiadał. Tak, fragmenty łamigłówek zaczynają tworzyć całość, ale wielu kawałków wciąż brakuje. Przetarłszy oczy, uniosła brodę. Kiedy przyznała mu się do kradzieży, Gideon jej nie potępił; szukał dla niej usprawiedliwienia. Postanowiła odwdziżyć mu się tym samym.

- Cokolwiek uczynił, jestem pewna, że nie miał wyjścia - oświadczyła, bezwiednie cytując słowa, jakie wypowiedział, kiedy przyznała mu się do własnych grzechów.

Z umieszczonego wysoko na ścianie i przysłoniętego gęstą drucianą siatką okna widać było niewielki skrawek nieba. Paląca się na zewnątrz latarnia rzucała do celi trochę światła. Do świtu zostało już tylko kilka godzin.

Oparty czołem o żelazne pręty w drzwiach, Gideon wpatrywał się w zamek. Było to stare, tradycyjne urządzenie z zapadkami, a nie jeden z tych nowoczesnych, elektronicznych mechanizmów. Otwarcie go nie stanowiłoby większego, problemu. Wprawdzie policja zabrała Gideonowi pasek, sznurowadła, a nawet wstążkę, którą wiązał włosy, ale mógł użyć kawałeczka sprężyny, którą zauważył pod łóżkiem, a potem rozbroić strażnika i...

Rozejrzał się dookoła. Trzy cele, z czego zajęta jest tylko jedna, środkowa, w której przebywa on sam. Przy małym metalowym biurku

nieopodal schodów siedzi agent specjalny Lansky, który przygląda mu się z obojętną miną. Jake'a Ingrama, który dowodził całą operacją, Gideon jeszcze nie widział. Najwyraźniej facet się nie spieszy; może chce go w ten sposób zmęczyć?

Ponownie utkwiał wzrok w oknie. Wiele dłużej nie mógł czekać. Powinien wrócić do swojego podziemnego królestwa, zanim ktoś zauważy jego nieobecność. Taśmę wideo nastawił tak, by kręciła się w nieskończoność, ale prędzej czy później ktoś może urządzać mu pobudkę.

Gideon westchnął. Potrzebuje jeszcze kilku godzin, by dokończyć program. Potem musi na moment dorwać się do głównego komputera. W przeciwnym razie...

W przeciwnym razie nigdy nie będzie wolny. Z całej siły zacisnął palce na żelaznych prętach. Tak niewiele dzieliło go od sukcesu. Gdyby nie poszedł wczoraj do Brooke... Ale nie mógł się powstrzymać. Chciał ją zobaczyć, przytulić, upewnić się, że da sobie radę w życiu, nawet jeśli on poniesie porażkę.

Uczucie do Brooke osłabiło jego czujność. Pozwoliło, by wpadł w zasadzkę przygotowaną przez wroga. I ono, a nie żelazne pręty, sprawiło, że wciąż tkwi w celi.

Nie zamierzał uciekać, póki nie nabierze pewności, że Brooke nic nie grozi; że nie zostanie o nic oskarżona. Musi przekonać Ingrama, że Brooke jest niewinna.

Ciszę przerwało głośnie pukanie. Lansky wstał od biurka, wyrzwał przez wąskie okienko, po czym otworzył szeroko drzwi. Zamieniwszy słowo z kimś, kto stał na zewnątrz, odwrócił się do Gideona.

- Achilles, masz gościa!

Na widok Brooke Gideon poczuł, jak wali mu serce. Do tej pory udało mu się zachować pozory spokoju, ale teraz...

- Daję wam dziesięć minut - rzekł agent, zastawiając drzwi, by się nie zamknęły. - A sam będę tuż obok, więc nie próbujcie żadnych sztuczek.

Rozglądając się niepewnie, Brooke weszła do podziemnego pomieszczenia. Kiedy zobaczyła, jak Gideon wysuwa rękę przez kraty, resztę drogi przebyła biegiem. Ujęła jego dłoń. Nic nie mówiła, ale w jej oczach dostrzegł dziesiątki pytań.

- Nic ci nie jest? - spytał. - Nie wyrządzili ci krzywdy?

Potrząsnęła głową. Na jego palec kapnęła łza.

- Nie. Przeszukali mnie, to wszystko. I powiedzieli...

- Że jestem Achillesem? - dokończył za nią.

Przytknęła jego dłoń do swojej piersi.

- Tak. Tamtego dnia twierdziłeś, że ani razu mnie nie okłamałeś.

-Owszem.

- Nie obchodzą mnie ich dowody. Jeżeli powiesz mi, że FBI się myli, uwierzę ci.

- Nie myli się. Jestem Achillesem. Zacisnąwszy powieki, jęknęła cicho.

- Przykro mi, Brooke. Nie chciałem, żebyś w ten sposób poznała o mnie prawdę, ale... milczałem, żeby nie oskarżono cię o pomaganie przestępcy. - Wysunąwszy za kraty drugą rękę, pogładził ją po włosach. - Czy postawiono ci jakiegokolwiek zarzuty?

Pokręciła przecząco głową.

- Jeżeli będziesz potrzebowała pieniędzy, opatentuj urządzenie redukujące zużycie prądu. Poza tym podjąłem kroki, aby zwrócono ci pieniądze, jakie straciłaś w wyniku bankructwa Savings and Loan. Wkrótce dostaniesz list z innego banku. Twoja przyjaciółka Mabel również. Wiem, że nigdy nie zdołam wyrównać krzywd, jakie...

- Niech cię szlag trafi - mruknęła pod nosem.

- Brooke, przepraszam. Nie wiem, co...

- Niech cię szlag trafi! - Otworzyła oczy. - Żyłam samotnie od czterech lat, wszystko mi się świetnie układało, dopóki nie poznałam ciebie. A wtedy straciłam rozum. Dlaczego musiałam zakochać się akurat w tobie? - Zrozpaczona, walnęła dłonią w kraty. - Psiakrew! Cały świat chce twojej głowy. Moja najlepsza przyjaciółka sama by ci chętnie wpakowała kulkę w serce. Kiedy zamierzałeś się przyznać, co?

- Kiedy nic by nam nie groziło - odparł. - Kiedy udałoby mi się zniszczyć tych, dla których latami pracowałem, i przynajmniej częściowo wymazać swoje winy. Powiedziałaś, że... że mnie kochasz?

- Oczywiście, że kocham. Inaczej by mnie tu nie było. - -

Poczuł dziwne pieczenie pod powiekami. Obraz zaczął mu się rozmazywać. Zamrugał, żeby odzyskać ostrość widzenia.

- Zwykle potrzeba więcej czasu. Żeby wiedzieć na pewno - rzekł, podświadomie cytując jej słowa.

- Tak, ale czasu nie mamy. Jake Ingram dał mi dziesięć minut, abym cię przekonała...

- Nic z tego. Odmawiam.

- Poczekaj. Chociaż mnie wysłuchaj. To nasza jedyna szansa. - Przyglądała mu się z zafascynowaniem.

- Tak, to na pewno miłość - szepnął. - Cierpienie, a zarazem rozkosz...

- Gideon...

- Kocham cię, Brooke.

- Nie próbuj zamydlić mi oczu. Nie teraz. Musimy wyplatać się z tej sytuacji.

Z tej sytuacji istniało tylko jedno wyjście, wiedział jednak, że Brooke mu się sprzeciwi.

- Dobrze - rzekł. - Zamieniam się w słuch.

- FBI chce, żebyś im pomógł.

- Jak?

- Jeżeli złożysz zeznania obciążające ludzi, dla których pracujesz, dostaniesz możliwie najniższy wyrok, a po wyjściu z więzienia przyłączysz się do mnie w programie ochrony świadków.

- Możliwie najniższy wyrok? Taka jest ich propozycja.

Stłumił wybuch wściekłości. Ponad dwadzieścia lat spędził w więzieniu, w którym nie musiał tkwić. Nie miał ochoty dobrowolnie oddawać się w ręce nowych strażników.

- Nie zamierzam siedzieć za kratkami. Ani dnia dłużej. Po prostu nie i już.

- Będę na ciebie czekała, Gideonie. Dostaniemy nową tożsamość. Tylko w ten sposób zdołamy być razem.

Pogładził palce zaciśnięte na żelaznych prętach. Podziwiał Brooke za jej ogromną wewnętrzną siłę.

- Zostawiłabyś dla mnie wszystko? Mieszkanie, przyjaciół, marzenia?

- Nie po raz pierwszy zaczynałabym życie od nowa. Raz się udało, drugi raz też się uda.

- To nie to samo, Brooke. Koalicjanci tak łatwo nie zrezygnują, kiedy uświadomią sobie, że wymknąłem się spod kontroli. Stanowię dla nich zbyt duże zagrożenie.

- Koalicjanci?

- Tak siebie nazywają ci, dla których pracowałem. Znam ich metody działania.

- Ingram mówił mi o nich. Ale w programie ochrony świadków będziemy bezpieczni. Nikt nam nic nie zrobi.

- Koalicję trzeba zniszczyć, całą, za jednym zamachem. W przeciwnym razie FBI nas nie ochroni.

- Ochroni. Naprawdę. Oni potrafią przewidzieć ruchy wroga. Znaleźli na przykład bombę, którą ten facet, Prego, podłożył w moim aucie.

- Co? - Z całej siły zacisnął rękę na dłoni Brooke.

- Była przeznaczona dla Ingrama, nie dla mnie. Facet zamierzał ją zdetonować, kiedy dostarczę kolejny posiłek do biura szeryfa.

Gideon, puść. To boli.

Zwolnił uścisk, obrócił się na pięcie i ruszył na drugi koniec celi. Miał do przejścia zaledwie trzy kroki - za mało, by mógł wyładować nagromadzoną złość. Walnął pięścią w kamienną ścianę.

- Gideon! Przestań. Wyrządzisz sobie krzywdę.

Na myśl o tym, co mogło spotkać Brooke, ponownie walnął pięścią w ścianę. Ogarnęły go tak wielkie wyrzuty sumienia, że ledwo był w stanie oddychać. To dzięki niemu Victor Prego rósł w siłę, a Brooke, dobra, niewinna Brooke, o mało nie zginęła.

Cóż on najlepszego zrobił? Dlaczego całymi latami czynił zło? Oczy go piekły, łzy płynęły po twarzy. Wytarł policzki rękawem. Już wiele miesięcy temu przestał kraść dla Koalicji, ale konsekwencje jego czynów trwały do dziś; niczym kamień rzucony w wodę powodowały fale, które rozchodziły się coraz dalej i dalej.

- Trzeba ich powstrzymać. Za wszelką cenę.

- Więc przyjmiesz propozycję FBI?

- To nic nie da.

- Ależ da. Mając twoje zeznania, FBI wsadzi ich za kratki.

Zerknął na niebo. Ile czasu mu zostało?

- Ręka ci krwawi...

Przeniósł spojrzenie na zaciśniętą dłoń. Faktycznie. Krew leciała z rozciętej skóry i kapłała na podłogę. Dopiero wtedy poczuł ból.

Ucieszył się: ból pozwoli mu się skupić na zadaniu.

- Pomogłem stworzyć Koalicję. Teraz muszę ją zniszczyć.
 - Ale policja...
 - Policja nie ma moich zdolności. Ja jeden mogę tego dokonać.
 - Ingram twierdzi, że jesteś geniuszem.
 - Zgadza się. Roześmiała się nerwowo.
 - Gdyby powiedział to ktokolwiek inny, uznałabym go za zarozumialca. Ale ciebie znam. Wiem, co potrafisz. Twój umysł pracuje zupełnie inaczej niż mój.
 - Bo jest inny. Ja jestem inny. Tylko ktoś o moich wyjątkowych zdolnościach może zniweczyć zło, które latami czyniłem.
 - Święta prawda - oznajmił obcy głos.
- Gideon obrócił się w lewo. W drzwiach stał mężczyzna, szczupły, wysoki, o niebieskich oczach. Ta twarz... ten głos... W pamięci Gideona zapaliło się małe światełko. Zapaliło i po chwili zgasło.
- Tylko ktoś o twoich wyjątkowych zdolnościach może zniszczyć Koalicję - stwierdził obcy. - Dlatego przydzielono mnie do tej sprawy.
- Gideon z trudem powściągnął emocje. Wiedział, kim jest ten człowiek. Po miesiącach wirtualnej zabawy w kotka i myszkę wreszcie spotkał swą nemezis.
- Jake Ingram, jak przypuszczam?
- Mężczyzna skinął głową i postąpił naprzód, zamykając drzwi na klucz; klucz schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.
- A ty jesteś Achillesem?

Gideon uznał, że nie ma sensu zaprzeczać.

- Wolę, żeby nazywano mnie Gideonem.

- W porządku. Nigdy mi się Achilles nie podobał.

- Jake Ingram przysiadł na biurku, przy którym wcześniej urzędował Lansky. - Swoją drogą, dlaczego akurat taką wybrałaś ksywę?

Co za dziwne pytanie, pomyślał Gideon. Spodziewał się całkiem innego przesłuchania. A na pytanie nie umiał odpowiedzieć. Nie wiedział, dlaczego wybrał takie imię.

- Panie Ingram - do rozmowy wtrąciła się Brooke.

- On potrzebuje lekarza. Rozciął sobie rękę.

- Skoro walnął pięścią w mur... - Schyliwszy się, Jake wyciągnął szufladę biurka, z której wyjął małe białe pudełko z czerwonym krzyżykiem. - Mam nadzieję, że nic nie złamałeś?

Gideon wyprostował palce. Na szczęście kości miał całe. Złamaną ręką znacznie trudniej byłoby mu wprowadzić ostatnie informacje do programu, który musiał dokończyć.

Postawiwszy pudełko na biurku, Jake zaczął przeglądać jego zawartość. Po chwili wydobył paczkę wacików, płyn dezynfekujący, rolkę gazy, bandaż i nożyczki.

- Zna się pani na udzielaniu pierwszej pomocy? - popatrzył pytająco na Brooke.

Ta skinęła głową i podeszła do biurka.

- Szkoda, że nie ma tu mojej siostry Faith - ciągnął Jake. - Ona jest w naszej rodzinie ekspertem medycznym.

Brooke wzięła przygotowane przybory i wróciła do Gideona. Ten wysunął rękę przez kraty, ale nie zwracał uwagi na zabiegi pielęgnacyjne; cały czas był skoncentrowany na Jake'u Ingramie. Zastanawiał się, jaką strategię facet postanowił obrać. O co mu chodzi? Próbuje go zbić z tropu? Po jakie Ucho wspomniał siostrę?

- Marcus też mógłby się przydać - ciągnął Jake Ingram, uważnie wpatrując się w Gideona. - Bardziej tobie, niż pannie Carter. Gołymi rękami potrafiłyby rozciągnąć te żelazne pręty. On jest siłaczem w rodzinie.

- Niestety, nie mogę przyjąć pańskiej propozycji, panie Ingram - oznajmił Gideon, obracając rękę, żeby Brooke łatwiej było owinać ją bandażem. - Chcę dokończyć to, co rozpocząłem.

- Teraz to moje zadanie. I proszę do mnie mówić Jake. Panno Carter - zwrócił się do Brooke - niech pani nie próbuje dawać mu nożyczek. Nasz geniusz w mig zrobiłby z nich pilnik do metalu.

Ucięła gazę, zawiązała końce, po czym odniosła przybory na miejsce.

- Nie rozumiem, dlaczego pan sobie żartuje - zbesztła Jake'a. - A tak w ogóle to nie powinniście go tu trzymać. Gideon chce upadku Koalicji tak jak wy.

- Pewnie ma pani rację, ale proszę pamiętać, że pani przyjaciel jest geniuszem. Mógł się domyślić, że będę podsłuchiwał waszą rozmowę, i mówić to, co sądził, że chcę usłyszeć.

- Nieprawda! - Oparła ręce na biodrach. - Od początku roku usiłuje się od nich uwolnić. Oni go latami wykorzystywali i okłamywali. Wykonywał ich polecenia, bo myślał, że nie ma wyboru.

- Wcześniej zeznała pani, że nie wie, czym się zajmował - zauważył Jake.

- No bo...

- Brooke - przerwał jej Gideon. - Nie jesteś w to zamieszana, więc proszę cię: nic nie mów.

- Jak to, nie jestem zamieszana? - Wbiła w niego gniewne spojrzenie. - Kocham cię, Gideonie. Dziela nas kraty, ale już nie jesteś sam. Nigdy cię nie opuszczę; razem przez to przebrniemy.

Coś w nim pękło. Tak bardzo chciał ją przytulić, że z tego pragnienia rozsadzał go ból. Nie wyobrażał sobie, jak to możliwe, aby tyle lat żył bez miłości.

Oczy Brooke zaszyły łzami. Chciała podejść bliżej kraty, zanim jednak wykonała krok, Jake Ingram chwycił ją za łokieć.

- Dlaczego pani uważa, że nie miał wyboru?

- Zostaw ją, Ingram! Ona nic nie wie.

- W takim razie ty nas oświeć. - Jake puścił łokieć Brooke i zeskoczywszy z biurka, podszedł do krat. - Wyjaśnij mi, Gideonie, dlaczego ukradłeś trzysta pięćdziesiąt miliardów dolarów i spowodowałeś światowy kryzys ekonomiczny. Dlaczego przez ponad dwadzieścia lat wykorzystywałeś swój genialny umysł, żeby służyć ludziom Koalicji, a teraz nagle twierdzisz, że ci się wszystko odmieniło? Bo bez względu na to, kim jesteś... bez względu na to, kim

panna Carter chciałaby, abyś był... bez względu na to, czego ja pragnę... -Na moment urwał; wcale nie był tak opanowany, za jakiego próbował uchodzić. - Jeśli nie otrzymam satysfakcjonującej odpowiedzi, czeka cię od dwudziestu pięciu lat do dożywocia.

Gideon popatrzył mu prosto w oczy. Byli tego samego wzrostu, włosy mieli identycznej barwy, oczy też. Przez jedną szaloną chwilę czuł się tak, jakby widział swoje lustrzane odbicie.

- To nie ma sensu, Ingram. Nie mogę przyjąć twojej propozycji.

- Gideonie, proszę cię - przerwała mu Brooke. - Obaj chcecie tego samego: powstrzymać Koalicję.

- Owszem, chcemy tego samego - przyznał, nie odrywając spojrzenia od Jake'a Ingrama. - Musisz otworzyć te drzwi i wypuścić mnie. Tylko w ten sposób osiągniemy wspólny cel.

- Możesz mówić jaśniej?

- Mam dokładne informacje, gdzie trafiły wykradzione przeze mnie pieniądze. Nazwiska, daty, numery kont. Utworzyłem specjalny program, który zablokuje je wszystkie jednocześnie. Koalicja straci dostęp do swojego ogromnego majątku, a co za tym idzie, straci władzę i wpływy. Bez pieniędzy przestanie się liczyć. Dopiero wtedy będzie można oskarżyć i osądzić jej członków.

- Daj mi ten program. Uruchomię go.

- Okazałeś się godnym przeciwnikiem, Ingram - rzekł Gideon. - Podziwiam twoje zdolności, ale obawiam się, że nie dorównują moim. To ja zaprojektowałem komputery Koalicji i tylko ja potrafię dokończyć swe dzieło.

- Rozumiem.

- Więc wypuść mnie.

Jake nawet nie drgnął; ciało miał napięte.

- Twoje argumenty brzmią logicznie, ale z jednym się nie zgadzam.

- Z czym?

- W wyniku eksperymentu Proteusz urodziło się pięcioro dzieci.

Wszystkie mają szczególne uzdolnienia. Wcale nie jesteś taki wyjątkowy, jak ci się zdaje.

Tego się Gideon nie spodziewał. Wiedział, że Ingram jest inteligentnym graczem, ale nie podejrzewał, że aż tak świetnym. Jakim cudem udało mu się poskładać razem części łamigłówki?

- Dzieci zostały rozdzielone, kiedy przerwano eksperyment - ciągnął. - Wychowaniem ciebie zajęli się Agnes Payne i Oliver Grimble. Wraz z innymi naukowcami, którzy nie mogli pogodzić się z zakończeniem programu badań, oraz grupą byłych agentów założyli organizację zwaną Koalicją.

Gideonowi mignął w pamięci kolejny obraz: chłopca o niebieskich oczach, czarnych włosach i rozbijającym uśmiechu. Wysuwając ręce przez pręty, chwycił Jake'a za klapy marynarki i przyciągnął do celi.

- Co o nich wiesz? - spytał. - O tych dzieciach? Czy żyją? Gdzie się podziewają? Powiedz.

Jake ujął więźnia za nadgarstki. Trzymał Gideona równie mocno, jak Gideon jego.

- Żyją. Miewają się dobrze. Również szóste dziecko, o którego istnieniu nie wiedzieliśmy, bo oddano je tuż po porodzie. Connor jest technicznym geniuszem, który pokonał własną ślepotę. Mark, zwany obecnie Marcusem, wstąpił do marynarki wojennej; należy do elitarnej jednostki Navy SEAL. Grace, obecnie Gretchen, potrafi rozwiązać każdą zagadkę i rozszyfrować każdy kod. Faith, jak już wspomniałem, ukończyła medycynę. A twój najstarszy brat ma niezwykle talent do liczb; jest geniuszem finansowym.

Gideon wziął głęboki oddech. Czyli żyją. Dzięki Bogu. Imiona brzmią znajomo. Mark, Grace, Faith... Zaraz, zaraz; przecież Ingram powiedział, że to jego siostra ma na imię Faith.

Ciszę przerwał kobiecy głos. Gideon uniósł głowę, nie zważając na to, że woda zalewa tunel, który wykopał wokół generatora.

- Gideonie, chodź do domu! Mark, Grace, gdzie jesteście?

Cienie na piasku poruszyły się; dziecięce głosy odpowiedziały na wołanie. Gideon zgarnął zabawki, po czym ujął Grace za rękę; dziewczynka mocno ją ścisnęła.

- Hej, Achilles! - Mark klepnął go w ramię. - Ścigamy się? Kto przybiegnie ostatni, ten jest zgniłym jajem.

Rechocząc wesoło, Gideon z Grace rzucili się do biegu.

- Faith! - zawołała kobieta na werandzie. - Gdzie Jake?

Stojąca na wydmie dziewczynka o długich ciemnych włosach wskazała palcem na plażę.

- Tam, mamusiu!

Obejrząwszy się przez ramię, Gideon ujrzał pędzącego po piasku brata. Biegli niemal łeb w łeb. Żaden nie lubił przegrywać, zwłaszcza Jake...

Grace, Faith; Mark i Jake. Dzieci na plaży. Jego siostry i...

- Jestem twoim bratem, Gideonie - oznajmił Ingram.

Gideon milczał. Nie był w stanie wydobyć głosu. Wpatrywał się w twarz mężczyzny po drugiej stronie krat. Po chwili złała się z twarzą chłopca. Z twarzą Jake'a.

Jake Ingram jest jego bratem. Żyje. I nie pozwalając Gideonowi opuścić więzienia, może sprawić, że wszyscy zginą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ile razy człowiek może przeżyć szok, zanim zacznie tracić zmysły? Brooke podejrzewała, że zbliża się do tej granicy. W przeciwnym razie dlaczego te wszystkie szalone rewelacje wydawałyby się tak logiczne?

Czując, jak kręci się jej głowie, złapała się krawędzi biurka, by nie upaść, po czym wolno podeszła do krzesła i usiadła. Głosy mężczyzn wciąż rozbrzmiewały w podziemnej sali. Wyteńczywszy uwagę, skupiła się na rozmowie.

Gideon jest złodziejem, i to największym w dziejach ludzkości. W porządku. Miała kilka godzin, aby przywyknąć do tej myśli. Zresztą sama też nie jest bez winy. Wiedziała, do czego ludzie są zdolni, aby tylko utrzymać się przy życiu. Różnica pomiędzy tym, co ona zrobiła, a tym, czego on się dopuścił, dotyczy wyłącznie skali kradzieży. Gideon żałował swego uczynku. Wierzył, że nie miał wyboru. A ona wierzyła jemu. Była pewna, że w gruncie rzeczy jest dobrym, szlachetnym człowiekiem.

To wszystko potrafi zaakceptować. Ale, jak się okazało, Gideon nie jest zwykłym człowiekiem. Jest genetycznie zmodyfikowanym superczłowiekiem, wynikiem tajnych badań o nazwie Proteusz, które CIA prowadziła w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. To tłumaczy, dlaczego tak bardzo różnił się od innych. Brooke słyszała o Proteuszach - dzieciach urodzonych w czasie trwania eksperymentu. Rok temu, kiedy sprawa wyszła na jaw, wszystkie gazety o tym

pisały. Tajna armia supermanów! Niebezpieczne mutanty! Potwory! Dziwolągi!

Na Brooke te tytuły nie robiły większego wrażenia. Na Mabel też nie. Obie znacznie bardziej interesowały się sprawą Achillesa.

Najwyraźniej jednak artykuły o genetycznie zmodyfikowanych dzieciach zawierały prawdziwe informacje. Dwoje z tych dzieci stoi tuż obok. Teraz, gdy wiedziała o łączących ich więzach krwi, bez trudu dostrzegła podobieństwo. Obaj są tego samego wzrostu, mają identyczny kolor oczu i włosów, identyczne spojrzenie i podobną energię w ruchach.

Gideon marzył o odnalezieniu swojej biologicznej rodziny. Jeden z braci odnalazł go pierwszy. Szkoda, że na powitanie wtrącił go do aresztu.

Nagle poderwała się na nogi. Zebrawszy się na odwagę, podeszła do mężczyzn i chwyciła Jake'a Ingrama za ramię.

- Pan naprawdę jest bratem Gideona? - spytała. Obejrzał się zaskoczony, jakby zapomniał o jej istnieniu.

- Tak - odparł, puszcżając nadgarstki Gideona. Potrząsnęła nim.

- Więc gdzie pan był przez te wszystkie lata? Wiedliście normalne szczęśliwe życie, tylko biedny Gideon trafił na opiekunów z piekła rodem.

Gideon zwolnił uchwyt na klapach marynarki Jake'a i cofnął się w głąb celi.

- Brooke...

- Jakim prawem każe pan Gideonowi tłumaczyć się z tego, co zrobił? Zważywszy że wychowywała go banda przestępców, to cud, że wyrósł na tak wrażliwego i porządnego człowieka. Przecież miał zaledwie dziesięć lat, kiedy trafił w ich ręce. Dlaczego rząd się wami nie zaopiekował? Dlaczego nikt nie zainteresował się losem Gideona? Moim zdaniem to pan się powinien tłumaczyć, a nie on.

- To bardzo skomplikowana sprawa - zaczął Jake.

- Skomplikowana? - Przetarła ręką policzek, zdumiona, że jest mokry od łez. Nawet nie zauważyła, kiedy znów zaczęła płakać. Sięgnąwszy za kraty, chwyciła dłoń Gideona. - Widzi pan ten zakrwawiony bandaż? Nie jestem tak wykształcona ani tak inteligentna jak wy dwaj geniusze, ale wiem jedno: czasem rozum przeszkadza; czasem po prostu trzeba przyjąć coś na wiarę. A może naukowcy z Proteusza zapomnieli dać panu organ zwany sercem? - spytała, patrząc z wyrzutem na Jake'a.

Widziała, że jej słowa sprawiły mu ból. Później go przeprosi. Na razie chodzi jej wyłącznie o Gideona.

Jake Ingram wyjął z kieszeni marynarki zestaw kluczy. Po chwili otworzył drzwi celi.

- Nie mogę wypuścić Gideona - rzekł. - Przynajmniej dopóki nie dojdziemy do porozumienia. Ale panią mogę do niego wpuścić.

W okamgnieniu znalazła się w ramionach ukochanego. Objęła go w pasie, on przycisnął policzek do jej włosów.

- Cierpienie i rozkosz - szepnęła. - Czy miłość zawsze jest taka?

- Nie zawsze. Ale czasem radości towarzyszy smutek.

Metalowa krata się zatrzasnęła, klucz zazgrzytał w zamku.
Przytulając do siebie Gideona, Brooke wcisnęła nos w jego koszulę.

- Panna Carter ma rację - oznajmił Jake. - Jestem ci winien wyjaśnienie. Otóż do kwietnia ubiegłego roku, kiedy zaistniałeś w cyberprzestrzeni jako Achilles, nikt z nas nie wiedział, że żyjesz. Zresztą sami o sobie też nie znaleźliśmy prawdy. Kiedy przerwano eksperyment, Agnes z Oliverem użyli leków o działaniu narkotycznym oraz sugestii po hipnotycznej, żeby zablokować nam wspomnienia z dzieciństwa; zamierzali wykorzystać nas do własnych celów. Naszej mamie udało się zabrać im wszystkie dzieci, poza tobą. Bojąc się, że Koalicja wpadnie na nasz trop, oddała nas do adopcji. Chciała zapewnić nam bezpieczeństwo, nawet jeśli to znaczyło, że już nigdy nas nie zobaczy.

Brooke natychmiast przyszło do głowy jedno pytanie. To samo, które po chwili Gideon zadał na głos:

- Dlaczego mnie jednego mama nie zabrała?
- Zostałeś postrzelony. Mama sądziła, że nie żyjesz, W przeciwnym razie na pewno by cię nie zostawiła.

Brooke poczuła, jak ciałem Gideona- wstrząsnął dreszcz. Ponieważ długo się nie odzywał, zaniepokojona spojrzała w jego twarz. Czubkiem palca pogładził ją lekko po policzku, następnie delikatnie oswobodził kosmyk włosów, który przyczepił się do bandaża.

- Pewnie stąd mam tę bliznę, o którą pytałaś - powiedział cicho.

Przed oczami stanęła jej nierówna biała szrama na piersi Gideona, tak blisko serca! Brooke odruchowo rozpostarła dłoń, przykrywając krwawiące przed laty miejsce.

- Miałeś zaledwie dziesięć lat - szepnęła. - Byłeś ranny, bezbronny.

- Pamiętam krew i ból. Pamiętam też zapach prochu i fiołków. Jake podszedł do kraty.

- Odzyskałeś wspomnienia? - spytał.

- To nie są wspomnienia - odparł Gideon, nie odwracając wzroku od Brooke. - Raczej migawki. Agnes i Oliver powiedzieli mi, że to mama do mnie strzeliła. Na rozkaz rządu.

- Dranie - mruknął pod nosem Ingram. - To nieprawda. Nasza mama próbowała nas ratować. Strzelała Agnes.

- Hm, czyli właśnie wtedy musiało się zacząć to wielkie oszustwo. - Gideon przeniósł spojrzenie na Jake'a. - Najpierw trzymali mnie w izolacji, żeby w ranę nie wdała się infekcja, a potem wymyślili powód, żeby izolację przedłużyć w nieskończoność.

- Jakie wielkie oszustwo?

W oczach Gideona pojawił się błysk złości.

- Mówili, że mam skazę genetyczną; że drobna zmiana w genach odpowiedzialna za mój wyjątkowy umysł spowoduje moją śmierć, jeżeli znajdę się w bezpośredniej obecności innego człowieka.

- Co takiego? - Jake zacisnął dłonie na żelaznych prętach.

- Do jedzenia dosypywali mi jakieś środki odurzające, abym nie kwestionował ich słów, a z więzienia, w którym mnie trzymali,

uczynili luksusowy pałac, żebym nie miał ochoty go opuścić. No i nie opuszczałem. Ponad dwadzieścia lat wierzyłem w kłamstwo, którym mnie karmili, i spełniałem wszystkie ich życzenia, byleby tylko o mnie dbali. Wierzyłem, że jeśli wysunę nos na zewnątrz, to zginę, albo na skutek reakcji immunologicznej, albo od kuli rządowego skrytobójcy. Bałem się, że jestem mutantem, więc unikałem wszelkiego kontaktu z ludźmi. Wydawało mi się, że nie mam wyjścia... - Popatrzył na Brooke i wyraz złości w jego oczach zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. - Ale potem spotkałem kobietę, która otworzyła przede mną serce i pokazała, czym naprawdę jest życie.

Brooke słuchała oszołomiona. Bała się, że za moment zemdleje. Dwadzieścia lat życia w odosobnieniu! Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Co za straszliwe potwory z tych Agnes i Olivera, aby pozbawić dziecko, potem dorosłego człowieka nie tylko wolności, ale nawet zwykłego kontaktu z drugim człowiekiem.

Boże! Parę dni temu spytała Gideona, co takiego zrobili mu adopcyjni rodzice. Teraz niemal żałowała, że zna odpowiedź. Ludzka umiejętność zadawania cierpień zdaje się nie mieć granic. Zniszczenia, których dokonał Achilles za pomocą komputera, są ogromne, lecz są niczym w porównaniu ze złem, które jemu zadano.

Czy swoją miłością ona, Brooke, kiedykolwiek zdoła zaleczyć jego rany? Czy...

- Chryste - jęknął Jake. - Wiedziałem, że to podli ludzie pozbawieni skrupułów, ale... - Przeczesał ręką włosy w identyczny

sposób, jak to robił Gideon. -Przepraszam. Zdaję sobie sprawę, jakie to dla ciebie bolesne, ale musiałem poznać prawdę.

- Rozumiem. Może spędziliśmy razem kilka pierwszych lat życia, ale nie kochasz mnie tak jak Brooke i nie masz powodu mi ufać.

Brooke przygryzła wargę, próbując powstrzymać szloch. Zdumiewało ją, że brak uczuć rodzinnych można przyjmować jako coś tak oczywistego.

- Wypuścisz mnie? - zwrócił się Gideon do brata.

- Musimy dojść do porozumienia. Rzecz jasna w tej sytuacji złożę wniosek, aby odstąpiono od kary więzienia.

- Człowieku, czyś ty oszalał? - zdenerwowała się na Jake'a Brooke. - Nie sądzisz, że on już dość się wycierpiał? Zresztą obiecał zniszczyć Koalicję.

Gideon ponownie ją przytulił.

- W porządku, Brooke. Jake ma rację; musimy się dogadać, bo ja też mam parę żądań.

- Nie mogę cię wypuścić, dopóki nie złamiemy Koalicji. Rozumiesz? Będziesz pod naszą ochroną. Marcus, Faith i Gretchen zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie im grozi. Nawet Connor, który właściwie w ogóle nie miał styczności z Proteuszem, stara się przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności.

- Bardzo dobrze. Bo kiedy Koalicja odkryje, że wymknąłem im się spod kontroli, uczynią wszystko, aby mnie zastąpić. Musicie na siebie uważać.

- Mamy do swojej dyspozycji kawałek prywatnej wyspy u wybrzeży Portugalii. Nasi bracia i siostry już tam są, razem ze swoimi żonami i mężami. Wrócą dopiero wtedy, gdy Koalicja przestanie istnieć.

- Doskonale - ucieszył się Gideon. - Chciałbym, żeby Brooke również tam zamieszkała. Nie pomogę wam, dopóki nie uzyskam pewności, że nic jej nie grozi.

- Oczywiście. Na jutro załatwię przelot.

- Chwileczkę - oburzyła się dziewczyna. - Nigdzie nie jadę bez ciebie.

- Po drugie - ciągnął Gideon, nie zwracając uwagi na jej protesty - chcę mieć dostęp do akt policyjnych w Kansas.

Jake skinął ze zrozumieniem głową.

- Chodzi ci o wydany tam nakaz aresztowania Brooke Pritchard? Brooke znieruchomiała.

- To ty... wiesz?

- Przecież to mój brat - stwierdził Gideon bez nuty zdziwienia w głosie..- Pewnie jak tylko się dowiedział, że się spotykamy, kazał zdobyć wszystkie informacje na twój temat. - Ponownie zwrócił się do Jake'a. - Chcę, aby wycofano zarzuty. Żeby Brooke nie figurowała w żadnej kartotece.

- Zgoda. - Przez chwilę Jake przyglądał się dziewczynie. - Przypuszczam, że zainteresuje cię wiadomość, że Frank Shomburg odbywa karę w więzieniu stanowym za oszustwa podatkowe.

Opuścił ją strach - strach, który od lat był stałym elementem jej życia. Kolana się pod nią ugięły, ale tym razem z ulgi i radości.

Ścisnąwszy Gideona za ramię, oparła głowę na jego piersi i zadrżała.

- Po trzecie - ciągnął Gideon - żądam prywatności. Jake zmarszczył czoło.

- Niestety nie...

- To nie podlega negocjacom. Przystąpiliście do działania, zanim zdołałem zainstalować program. Muszę być rozdzielony z kobietą, którą kocham. Chciałbym pożegnać się z nią na osobności, a nie w więzieniu, na oczach strażnika.

- W porządku - zgodził się Jake. - Przeniesiemy cię gdzie indziej. Zaraz też zajmę się sprawą przelotu na wyspę.

Brooke nie zamierzała nigdzie lecieć, ale nie zdążyła się sprzeciwić.

- W takim razie - rzekł Gideon, przytulając ją z całej siły - jesteśmy umówieni. A rano, Jake, dam ci to, czego oczekujesz.

Dom, w którym Jake i agenci FBI zatrzymali się na czas działań w Redemption, należał kiedyś do kierownika tartaku. Znajdował się po drugiej stronie miasteczka, w dzielnicy eleganckich willi, mniej więcej dwa kilometry od zjazdu prowadzącego do Redcom Systems. Piękny i luksusowo wyposażony dom stał na wzgórzu, skąd rozciągał się wspaniały widok na położone w dolinie miasteczko. Kiedy nieoznakowany samochód wjechał do garażu, widoku nie można było podziwiać. Wszędzie panowały ciemności.

Transfer z więzienia do luksusowej willi odbył się szybko i w największej tajemnicy. Zresztą przed nastaniem świtu FBI i tak zamierzało przenieść Gideona w bardziej ustronne miejsce, aby nie rozniosło się po miasteczku, że w celi siedzi słynny Achilles.

Oczywiście Gideon nadal był pilnie strzeżony. Wprawdzie okna nie miały krat, ale po całym domu kręciło się mnóstwo ponurych, krótko ostrzyżonych facetów w garniturach, z kaburą pod pachą.

Jake szedł przodem, prowadząc Gideona i Brooke.

- Tu mieszkała gospodyni - rzekł, stając przed drzwiami na parterze. - Jest to małe, samodzielne mieszkanie. Poprosiłem, aby je dla was przygotowano... To co? Przyjadę rano, tak jak się umawialiśmy.

Gideon wyciągnął rękę do klamki.

- Jake, a moje pozostałe dwie prośby?

- Wszystkim się zajmę. Zawsze dotrzymuję słowa. - Na moment zamilkł. - Mam nadzieję, że ty również?

- Przecież nie zwieję - odparł Gideon. - Zakładam, że twoi koledzy z FBI będą pilnowali terenu?

- Tak. Przykro mi.

- Nie przejmuj się. Na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. -

Mieszkanie gospodyni okazało się całkiem przestronne i równie luksusowo urządzone jak pomieszczenia, które mijali po drodze. Składało się z salonu, sypialni oraz ogromnej łazienki z wpuszczoną w podłogę wanną. Wszystko utrzymane było w eleganckich beżach. W oczy rzucał się jednak brak kilku podstawowych rzeczy, które

zazwyczaj widuje się w mieszkaniach. Nie było telefonu, komputera, telewizora, sprzętu nagłaśniającego, a nawet ekspresu do kawy czy zegara. Usunięto wszystko, co by mogło posłużyć do skomunikowania się z kimś z zewnątrz.

Zostali sami. Brooke nawet nie rozejrzała się po salonie; wbiła oczy w twarz Gideona.

- Nie dam się wyekspediować na żadną portugalską wyspę. Jestem ci potrzebna.

Uśmiechnął się.

- Kochasz mnie i dlatego tak mówisz.

- Doceniam, co dla mnie robisz, Gideon. I cieszę się ze zmiany otoczenia. Więzienie...

- Ono wcale nie było najgorsze, Brooke.

- Wiem, przepraszam. Nie chciałam ci przypominać o tym drugim, w którym spędziłeś dwadzieścia lat... - Przełknęła ślinę. - Boże, nie wiem, jakim cudem nie oszalałeś.

- Nieraz się zastanawiałem, czy jeszcze jestem normalny, czy już mi odbiło. - Objął ją w talii. - Ale wiesz co? Mam lepszy pomysł, co możemy robić przez te cztery i pół godziny do świtu, zamiast użalać się nad moim losem.

Oparła dłonie na jego klatce piersiowej.

- Słyszałeś, co powiedziałam? Nie zostawię cię. Nie powinieneś być teraz sam.

- Nie będę - szepnął. - Będziemy razem. Będziemy się kochać.

Mimo napięcia roześmiała się.

- Jesteś niesamowity. Zgarnął ją w ramiona.

- Jeśli nie chcesz, to nie musimy. Wystarczy mi sam twój dotyk.

Możemy leżeć koło siebie, trzymać się za ręce, patrzeć, jak na niebie gasną gwiazdy. Bylebyśmy byli razem.

Położyła głowę na jego ramieniu, dając się przenieść do sypialni.

-Boję się...

- Mnie? Ja ci nigdy nie wyrządzę krzywdy.

- Nie ciebie. Całej tej sytuacji.

Schyliwszy się, delikatnie opuścił ją na materac.

- Zmienię ją. Uwolnię siebie... nas wszystkich... od Koalicji.

- Wierzę ci. Nigdy mnie nie okłamałeś.

- No właśnie. I nigdy nie okłamię. - Zrzucił buty i zaczął rozpinąć koszulę. - Jesteś moją prawdą.

Przypomniała sobie, że już raz to powiedział W sylwestra. Miała wrażenie, że to było strasznie dawno temu, a przecież minął zaledwie tydzień. Przypomniała sobie jeszcze coś, co powiedział tamtego wieczoru, kiedy spytała, czy ma żonę. Wcześniej się nad tym nie zastanawiała, a teraz...

- Boże. A więc tej pierwszej nocy, kiedy się kochaliśmy, wyznałeś mi prawdę? Że nigdy nie byłeś z kobietą?

- Tak.

- Źle cię wtedy zrozumiałam. Nie przyszło mi do głowy, że ktoś bez doświadczenia może być tak... tak dobry. - Odsunęła na bok poły jego koszuli i pogłaskała go po umięśnionym brzuchu. - No bo... skoro tyle lat żyłeś w odosobnieniu, to skąd wiesz, co kobieta...

- Przeczytałem parę książek.

Roześmiawszy się, przesunęła dłonie niżej.

- Gideonie, jesteś naprawdę geniuszem. I bardzo pojętym uczniem.

- A ty świetną nauczycielką.

- Cieszę się, że to właśnie ja... - Nagle coś innego zaświtało jej w głowie. - Kiedy pierwszy raz się kochaliśmy, byłeś pewien, że wkrótce umrzesz, prawda? Że twój organizm nie zwalczy infekcji... Dlatego tak dziwnie się zachowywałeś, kiedy Rudy cię ugryzł...

- Tak. Myślałem, że zostało mi parę godzin życia.

- Innymi słowy, że nie masz nic do stracenia? I że chcesz przed śmiercią choć raz zakosztować seksu? Czyli gdyby była przy tobie inna kobieta.

- Nie, Brooke. - Uniósł jej rękę do ust. - Ten cud, który się wydarzył, nie mógłby się stać z nikim innym. Łączy nas coś znacznie więcej niż więź fizyczna. Tworzymy harmonijną całość. Nie rozumiałem tego, dopóki nie opowiedziałaś mi o swojej przeszłości. Żadna kobieta nie rozbudziłaby we mnie takich emocji jak ty. Nasze drogi się zeszyły, bo jesteśmy sobie przeznaczeni.

- Gideon...

- Gdyby wtedy na parkingu inny mężczyzna wybawił cię od Rudy'ego, nie poszłabyś z nim do łóżka, prawda?

- Oczywiście, że nie. Nikt inny by nie... - Nagle w pełni uświadomiła sobie, co Gideon dla niej zrobił. - Pomogłeś mi, chociaż wierzyłeś, że kontakt z drugim człowiekiem może cię zabić.

Skinął głową. Czy może wątpić w siłę jego uczuć? Czy może mieć jeszcze wątpliwości? Gotów był dla niej poświęcić życie.

- Boże - szepnęła. - Tyle spraw muszę sobie na spokojnie przemyśleć...

- Mamy tylko kilka godzin.

- Mmm... - Jęknąwszy cicho, wsunęła palce w jego włosy. - Kiedy Koalicja przestanie istnieć, a złoczyńcy wylądują za kratkami, to... to co z nami wtedy będzie?

- A co chcesz, żeby było? Spełnię każde twoje życzenie.

- Czy nadal... no wiesz, czy ty i ja... Usiadł na piętach i popatrzył jej w oczy.

- Brooke, pragnę spędzić z tobą resztę życia. Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem, gdybym mógł na to zasłużyć.

- Gdybyś mógł zasłużyć... Och, Gideon.

- Nigdy nie naprawię szkód, które wyrządziłem jako Achilles. Nawet jeśli zniszczę zło, które sam pomogłem stworzyć, konsekwencje moich działań będą długo odczuwalne.

Nie miałeś wyboru. Wierzyłeś, że zginiesz, jeśli nie będziesz wypełniał poleceń Koalicjantów. - Pod- parła się na łokciu. - Dawali ci środki odurzające, okłamywali cię... Na miłość boską, byłeś dzieckiem, kiedy i to wszystko się zaczęło.

- A jutro wreszcie nastąpi koniec. Zadrzała.

- To brzmi tak ostatecznie.

- Wiesz. - Ujął jej twarz w dłonie. - Kiedy kochaliśmy się pierwszy raz, miałem dwa marzenia. Te same dwa miałem w sylwestra.

Tej nocy odkrył kłamstwo, jakim był karmiony od lat. Jakaż wściekłość malowała się wtedy w jego oczach! Pochyliwszy głowę, Brooke musnęła wargami jego dłoń.

- Jakie? - spytała cicho.

- Żeby ta noc nigdy się nie skończyła. Żeby mogła trwać. - Oczy zalśniły mu od łez. Pochyliwszy się, pocałował ją w usta, mocno i namiętnie. - Nadal tego pragnę. Może to samolubne, ale nie chcę, aby nastał ranek. Chcę cię kochać, pieścić, całować. Dotykami wyrażać uczucia. A kiedy nie będę miał siły ruszyć ręką, chcę ci szeptać do ucha, jak bardzo cię kocham.

- To jedno. A drugie?

- Chciałbym... - przytknął czoło do jej czoła - chciałbym być stuprocentowym człowiekiem.

Ból przeszył jej serce. Wysunąwszy się spod Gideona, położyła rękę na jego piersi; po chwili odnalazła palcem bliznę.

- Jesteś, kochanie. Bez względu na to, co mówiły ci te dranie. Bez względu na to, jak zostałeś poczęty. Jesteś stuprocentowym człowiekiem. A oto dowód.

- Tylko dlatego, że krwawię...

- Nie mówię o twoim DNA. Mówię o tym, co masz w środku. - Postukała go w serce. - Tylko to się liczy.

- Nie wiem, co mam w środku. Nie pamiętam.

- Nie szkodzi. Przestań się zadreć. Owszem, popełniłeś w życiu wiele błędów. Dużych błędów. Ale... - Ujęła go za brodę i zmusiła, żeby popatrzył jej w oczy. - Nie ma ideałów, wszyscy popełniamy błędy. Na tym polega bycie człowiekiem.

Przyglądał się jej z napięciem. Tylko ich ciche oddechy zakłócały panującą w sypialni ciszę. Po chwili dziewczyna delikatnie obrysowała palcem zarys jego warg.

- Możemy zakończyć rozmowę? - spytała z błyskiem w oku. - Znam wiele ciekawszych sposobów spędzenia wolnego czasu...

Pocałunkiem zamknął jej usta. Kochali się tak jak przedtem: namiętnie, gorąco, czerpiąc rozkosz i dając ją. Ale tym razem Brooke wyczuwała różnicę. Tym razem wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że odnalazła szczęście; że trafiła na mężczyznę swego życia, z którym stworzy dom.

- Nie zostawię cię, Gideonie - szepnęła. - Wiesz o tym, prawda?

- Tak, Brooke. Wiem.

- Do zobaczenia rano, kochany.

Dopiero później uzmysłowiła sobie, że na te słowa odpowiedział milczeniem

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Trudno było poznać, czy słońce już wzeszło. Znad oceanu bowiem nadciągnął w nocy front atmosferyczny, który sprawił, że cała dolina była zasnuta gęstą mgłą. Osiadające na szybie kropelki wody spływały w dół, wąskimi strużkami przecinając szarość za oknem.

Brooke zazwyczaj lubiła mgłę; miała wrażenie, że spowija ją miękka puszysta chmura. Ale tego ranka szarość, którą ujrzała za oknem, wyglądała złowieszczo. Zadrzała i przewróciwszy się na bok, wyciągnęła rękę do Gideona. Trafiła na pusty materac - jeszcze ciepły.

Przesunęła rękę wyżej; wyczuła w poduszce wgłębienie, gdzie niedawno spoczywała głowa. Hm, musiał wstać dosłownie przed chwilą. Usiadła. Spodziewała się, że z łazienki doleci ją szum wody. Ale nie; panowała cisza jak makiem zasiał. Ubranie Gideona też nie leżało na podłodze, tam gdzie je wczoraj rzuciła.

Przyciągnęła do siebie poduszkę i przez moment wdychała znajomy zapach. Nie chciała wstawać ani myśleć o nowym dniu. Pocieszała się, że Gideon jest gdzieś obok, że zaraz wróci...

Ale w głębi duszy wiedziała, że się okłamuje. Jest sama. Owinąwszy się prześcieradłem, podreptała do łazienki. Oczywiście nikogo tam nie zastała. Po chwili wbiegła do salonu.

Stała jak wryta. Kropelki osiadłe na zewnętrznej stronie okna były zamazane, jakby ktoś otarł się o szybę ramieniem. Z walącym sercem podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Jak on to zrobił? Od

ile od wschodu wzgórze wznosiło się łagodnie, to od zachodu opadało stromo w dół. Poza tym teren patrolowali agenci FBI. Jakim cudem Gideon wy dostał się niezauważony?

Przycisnęła rękę do okna, usiłując przeniknąć wzrokiem mgłę. Przejął ją chłód. Zadrżała - z zimna, lecz i ze strachu.

Rozumiałaby Gideona, gdyby uciekł dlatego, że zamarzyła mu się wolność. Nie potępiałaby go. Ktoś, kto całe życie spędził jako więzień Koalicji, ma prawo nie chcieć znów trafić za kratki.

Wprawdzie Jake obiecał, że poprosi o odstąpienie od kary, ale czy FBI go posłucha?

Jednakże podczas wczorajszej rozmowy z bratem Gideon nie żądał niczego dla siebie. Nie domagał się żadnych gwarancji, że nie zostanie aresztowany; nalegał jedynie na to, aby jej, Brooke, nie spotkała krzywda... i na to, aby mógł się z nią pożegnać. Gideonie, co robisz? Gdzie jesteś?

Znała odpowiedź. Gideon zostawił mnóstwo wskazówek. Nie kłamał. Obiecał Jake'owi, że da mu to, czego tamten oczekuje, ale nie powiedział, w jaki sposób to uczyni.

Uwolnię siebie... nas wszystkich... od Koalicji.

Oznajmił, że ma program, który tylko on może zainstalować. Ani razu nie zgodził się przekazać steru w ręce Jake'a.

„Jutro wreszcie nastąpi koniec”.

Cholera. Psiakrew. Dlaczego wcześniej niczego się nie domyśliła? Rzuciła się pędem do sypialni i ubrała pośpiesznie, starając się hamować łzy. Nie może się teraz załamać. Wiedziała, że

nie wynagrodzi Gideonowi straconego dzieciństwa ani doznanych krzywd, ale jest mu potrzebna.

„Nigdy nie naprawię szkód, które wyrządziłem jako Achilles. Nawet jeśli zniszczę zło, które sam pomogłem stworzyć, konsekwencje moich działań będą długo odczuwalne”.

Nie powiedział, że spędzą razem resztę życia, tylko że byłby szczęśliwy, gdyby zasłużył na taką możliwość.

Gideon nigdzie nie uciekł. Przeciwnie, postanowił wrócić do świata, w którym go latami więziono. Wrócić i się z nim rozprawić. Zniszczyć Koalicję. Nawet gdyby niszcząc ją, miał sam zginąć.

- Nie! - Chwyciła gałkę u drzwi; ta nawet nie drgnęła. Drzwi musiały być zamknięte od zewnątrz. Zaczęła walić w nie pięścią. - Ratunku! Na pomoc! Wypuście mnie!

Drzwi otworzył jeden z agentów, którego widziała w więzieniu. Usiłowała minąć go i wybiec na korytarz, lecz przytrzymał ją za łokieć.

- Panno Carter, nie...

- Puść mnie, Lansky. - Zaczęła mu się wrywać. - Chcę się zobaczyć z Jakiem Ingramem. Natychmiast.

- Nie może pani. Jest teraz zajęty.

- Gideonowi grozi niebezpieczeństwo. Jake musi go... - Nagle urwała. - Chyba że są razem? - spytała z nadzieją w głosie. - Razem przystąpili do działania? Wypuszczałeś stąd Gideona? Gdzie on jest?

Lansky nie odpowiedział. Ściskając ją za łokieć, skinął na dwóch funkcjonariuszy dyżurujących na końcu korytarza. Ci weszli do

mieszkania, w którym spędziła z Gideonem noc. Po chwili wyszli stamtąd, kręcąc przecząco głowami. Lansky wyciągnął z kieszeni komórkę.

- Ingram miał rację - rzekł do telefonu. - Achilles wymknął się.

Mgła była jego sprzymierzeńcem. Osłaniała go, kiedy wolno schodził śliskim stromym zboczem. Tłumiła odgłos kroków - co przydało się zwłaszcza wtedy, gdy poślizgnąwszy się, runął w dół ostatnie trzy metry. Czyniła go niewidocznym, gdy przedzierał się przez las. Ale stanowiła też przeszkodę, gdyż w mlecznych oparach trudniej było dostrzec charakterystyczne punkty, którymi się wcześniej kierował.

Powoli mgła się rozrzedzała, Gideon wciąż jednak szedł znacznie wolniej, niż zamierzał; bał się, by nie zablądzić. Ile czasu mu zostało?

Właściwie nie ma to znaczenia. Osiągnie- cel - za kilka minut lub za kilka godzin, ale go osiągnie.

Pierwszej nocy, gdy opuścił swój podziemny świat, zastanawiał się, jak głęboko tkwi w nim zło. Teraz będzie miał okazję się przekonać.

- Witaj, Gideonie.

Zastygł bez ruchu. Mgła zniekształcała dźwięk; sprawiała też, że trudno było odgadnąć, z której strony dobiega głos. Ale Gideon instynktownie wyczuł, z kim ma do czynienia. Wyteżył wzrok; z lewej widział ciemne zarysy drzew, z prawej sporej wielkości głąz.

- Jake? - spytał, wpatrując się w drzewa.

Z mroku wyłoniła się wysoka szczupła sylwetka.

- Kiepska pogoda na spacer, nie sądzisz, braciszku? Gideon nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go śledzi.

Najwyraźniej mgła przynosiła korzyści również Jake'owi.

- Czego chcesz?

- Domyśliłem się, że będziesz próbował się wydostać. Dlatego zostawiłem instrukcje, aby ci nie przeszkadzano.

- Dlaczego?

- Ciekaw byłem, dokąd się udasz. Nie idziesz w kierunku szosy, lecz w stronę tunelu, przez który już parokrotnie wchodziłeś na zamknięty teren Koalicji.

- Owszem.

- Nie zawiodłem się na tobie. Gideon, którego znałem, postąpiłby tak samo.

- Tak? Muszę ci wierzyć na słowo.

Jake podszedł bliżej. Włosy miał wilgotne od mgły, twarz napiętą.

- Zawsze byłeś uparty.

- Obiecałem; że rano dam ci to, czego oczekujesz. Zamierzam zniszczyć Koalicję.

- Nie tak się umawialiśmy. Miałeś mi dać program, który zainstaluję...

- Nie zdołasz - oznajmił Gideon. Uważnie obserwował brata. Jake sprawiał wrażenie nieuzbrojonego, ale przypuszczalnie miał pod pachą kaburę. - Wciąż mi nie ufasz, prawda?

- To nie jest kwestia zaufania. Zrozum, już wystąpiłem o to, aby wycofano przeciwko tobie wszystkie oskarżenia. Puściłem machinę w ruch...

Tego się Gideon nie spodziewał. Oznacza to jedną przeszkodę mniej na drodze do szczęścia, ale najważniejsza przeszkoda pozostała.

- Nikt z nas nie będzie wolny, póki nie powstrzymam Koalicji.

- Nie tylko ty masz na pieńku z Croftem, Payne i Grimble'em - rzekł Jake. - Ja też chcę zniweczyć ich plany. Wystarczy, jak...

- Słuchaj, program trzymam na dyskietce u siebie w gabinecie. Można go uruchomić wyłącznie na głównym komputerze ośrodka. Ośrodek mieści się pod ziemią, we wnętrzu góry. Chyba nie muszę ci mówić, jak pilnie jest strzeżony?

- Nie możesz tam wrócić. - Jake zastąpił mu drogę. - To zbyt niebezpieczne.

Przez moment Gideon zastanawiał się, czy zdoła powalić brata. Prawą rękę miał ranną; stawiało to pod znakiem zapytania jego zwycięstwo w walce wręcz. Postanowił uciec się do siły tylko w ostatecznym wypadku.

- Zostaw mnie, Jake. Powiedz im, że mnie nie znalazłeś.

- Ty naprawdę nic nie pamiętasz - mruknął Jake. - W przeciwnym razie nigdy byś czegoś takiego nie zaproponował.

- Pamiętam, że nie lubisz przegrywać.

Mruknąwszy pod nosem przekleństwo, Jake podszedł do głazu i kopnął leżący u jego podstawy, porośnięty mchem kamień.

- Przewisko Achilles wymyślił dla ciebie Mark. Pamiętasz?

Gideon pokręcił przecząco głową.

- Uznał, że to zabawne: komuś, kto nie znosi walczyć, dać imię legendarnego wojownika.

- Już nie jestem tamtym dzieckiem. Minęło zbyt wiele czasu.

- Przykro mi bardzo z powodu tych lat, kiedy byłeś więźniem Koalicji. - Jake zdjął rękawiczkę i potarł twarz. - Brooke ma rację. Reszta z nas wiodła normalne, bardziej lub mniej szczęśliwe życie. Tobie odebrano tę szansę... Rozmawiałem z nimi rano.

- Z kim?

- Z naszym rodzeństwem. Nie mogą się doczekać spotkania z tobą. Chcą cię otoczyć miłością, wynagrodzić ci te stracone lata. Nie musisz tego robić... wracać do ośrodka, narażać się na niebezpieczeństwo.

Poczuł ukłucie tęsknoty. Rodzina. Trudno mu było przyzwycząić się do myśli, że już nie jest sam. Najpierw Brooke, teraz bracia, siostry...

- Powiedziałeś im, kim jestem? Co mam na sumieniu?

- Wiedzieli. Nie ma to dla nich znaczenia.

Gideon odwrócił wzrok. Nie chciał, by Jake widział, jak bardzo mi zależy na tym, żeby to była prawda.

- Więc o to chodzi? - Jake najwyraźniej przejrzał go na wylot. - Nie kieruje tobą poczucie sprawiedliwości, chęć zemsty ani upór. Chcesz zniszczyć Koalicję, żeby odkupić własne winy?

- Robi się późno. Jake zastąpił mu drogę.

- Dlatego nie chcesz pomocy, tak? Uważasz, że tylko w ten sposób możesz odpokutować za grzechy? Nie wierzysz, że zasługujesz na to, aby być kochany?

- Jestem kochany. Brooke mnie kocha.

- Więc dlaczego odrzucasz jej miłość?

Gideon milczał. Psiakość, nie nawykł do obcowania z człowiekiem o równie logicznym i przenikliwym umyśle.

- Bo właśnie to robisz - kontynuował Jake. - Lata w odosobnieniu sprawiły, że zacząłeś powątpiewać we własne człowieczeństwo, dlatego teraz postanowiłeś za wszelką cenę udowodnić, kim jesteś.

Gideon rozejrzał się. Promienie słońca powoli przedzierały się przez gałęzie. Ile stracił czasu na tę rozmowę?

- Zejdź mi z drogi, Jake. Każda minuta zwłoki zmniejsza moje szanse, dotarcia niezauważonym do ośrodka.

- Nie, Gideonie. Wracaj do domu.

- Wykluczone.

Jake wsunął rękę do kieszeni.

- Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Gideon napiął mięśnie, gotów wyrwać bratu z dłoni broń, ale zamiast pistoletu Jake wydobył nieduży notes.

- To są notatki naszego ojca - oznajmił. - Przez kilka miesięcy Gretchen je rozszyfrowywała. Zawierają dokładne informacje na temat Proteusza.

- Tamten eksperyment dawno się skończył. Przeszłość się nie liczy.

- Liczy się. Bo wpływa na teraźniejszość. Słowa brzmiały znajomo. Po chwili Gideon uświadomił sobie, że kiedyś to samo powiedział do Brooke.

- Najlepiej, jak wspomnienia wracają stopniowo, samoistnie - ciągnął Jake. - Ale nie mamy czasu.

- Masz rację, nie mamy czasu. Nie chcę się z tobą bić, ale...

- *„Był raz pokrętny człek, co krętą drogą szedł...”* Gideon poczuł się tak, jakby ktoś z całej siły uderzył go pięścią w brzuch. Przez moment nie był w stanie złapać tchu.

Głos brata uległ dziwnemu przeobrażeniu, a w zapach lasu nagle wdarł się odór chemikaliów.

Ktoś recytował wierszyk. Bardzo mu się to nie podobało. Chociaż chciał, by głos ucichł, otworzył usta i przyłączył się do recytacji...

- *„Gdy zaszedł w gęsty gąszcz, to znalazł trefny grosz...”*

Dziecięca rymowanka. Wypowiadając jej słowa, Gideon zaczął dygotać. Nagle zachwiał się i potknął o gnijący pień. Przytrzymał się gałęzi, by nie upaść.

Jake stał tuż obok. W dalszym ciągu recytował wierszyk, ale jego głos zdawał się docierać z daleka, jakby z odległej przeszłości.

- *„Trafił się trefny kot...”*

Mgła unosiła się, obrazy stawały się coraz bardziej wyraźne. Dom nad brzegiem morza. Dzieci. Matka, która podziwia konstrukcję,

jaką zbudował jej mały Gideon. Ojciec, który sadza go sobie na ramionach.

- „...co złowił trefną mysz...”

Gideon utkwiał wzrok w Jake'u. Co to jest? Złudzenie? Omamy? Obraz zadrżał. W mężczyźnie trzymającym w dłoni notes Gideon dojrzał chłopca, brata, którego ubóstwiał.

- „I cały ten pokrętny tłum...”

Ukryty kod. Słowa rymowanki przypisanej wyłącznie jemu, które tkwiły tak głęboko w jego podświadomości, że nie zdawał sobie sprawy z ich istnienia, wypływały ku powierzchni. Mgła coraz bardziej rzedła. Recytując wierszyk, słyszał cichy dziecięcy głosik...

Był raz pokrętny człek,

co krętą drogą szedł.

Gdy zaszedł w kręty gąszcz,

to znalazł trefny grosz.

Trafił się trefny kot,

co złowił trefną mysz.

I cały ten pokrętny tłum

w pokrętym domku znikł.

- Gdy tylko wypowiedział ostatni wers, uwięzione wspomnienia rozsadziły niewidoczną tamę i zalały go-potęzną falą. Pod ich naporem osunął się na kolana. Wyciągnawszy pośpiesznie rękę, uchwycił się gałęzi. Dziesiątki obrazów przelatywały mu przed oczami. Laboratorium wuja Olivera i ciotki Agnes. Zastrzyki. Badania. Pokój pełen modeli samochodów i samolotów, tablice do

pisania, cotygodniowa przesyłka nowych zabawek, przyjemność płynąca z nauki, gimnastyka umysłu.

Wyprawy do miasta - do biblioteki, do szkoły, do kina. A wieczorem uściski i całusy na dobranoc.

Jake ścisnął brata za ramię.

- Przepraszam, braciszku. Wiem, że to szok. Ale musiałem przywrócić ci pamięć.

Unosząc głowę, Gideon wziął głęboki oddech.

- Chcę ich zobaczyć.

- Kogo?

- Marka, Grace, Faith. Powiedziałeś, że żyją. Że są cali i zdrowi.

Muszę ich zobaczyć...

Nagle pojawiły się kolejne wspomnienia, spychając na bok poprzednie. Pogrzeb ojca. Wyraz powagi i determinacji na twarzy matki, która jego, Gideona, usiłuje wyciągnąć z łóżka. W owym czasie miał już zablokowaną pamięć, dlatego jej nie rozpoznał. I dlatego walczył. Nagły huk. Potem krew i ból. Oraz twarz matki - zapłakana, wykrzywiona smutkiem i straszliwym cierpieniem...

Gideon chwycił spoczywającą na jego ramieniu dłoń.

- Gdzie mama?

- Nie żyje. Zmarła w zeszłym roku.

Mgła topniała, z każdą sekundą odsłaniając coraz więcej. Im jaśniejszy stawał się świat, tym ostrzej Gideon wszystko postrzegał. Stratę i ból. Miłość i nadzieję. Dobro i zło.

- Próbowaliśmy nas uratować - szepnął. - Pamiętam.

- I uratowała. Przed śmiercią uczyniła wszystko, żebyśmy się odnaleźli.

- Żebyśmy się odnaleźli...

Poczuł ostry ból w klatce piersiowej. Miał wrażenie, jakby serce mu rosło, pęczniało. I w tym momencie przypomniał sobie miłość - siostrzaną, braterską, rodzicielską - która stale towarzyszyła mu w dzieciństwie.

Sądził, że nie znał tego uczucia, dopóki nie spotkał na swej drodze Brooke, ale to nieprawda. Ono w nim tkwiło. I pozwalało przetrwać. Gdyby nie miłość rodziców, nie miałyby siły przez ponad dwadzieścia lat znosić okrucieństwa Koalicji.

Podniósł się z kolan i zgarnął w ramiona Jake'a.

- Jak to dobrze cię widzieć, Jake. Jesteś taki podobny do taty.

Brat poklepał go po plecach.

- A tobie, jak zwykle, przydałyby się postrzyżyny.

- Nic się nie zmieniłeś. Wciąż próbujesz mną dyrygować.

- To dlatego, że wiem, co dla ciebie jest najlepsze. - Uwolniwszy się z uścisku, popatrzył Gideonowi w oczy. - Posłuchaj. Tym, którzy cię kochają, nie musisz nic udowadniać.. Proszę cię, wróć do domu, do Brooke.

Oszołomiony zalewem wspomnień, przez chwilę nie wiedział, o czym Jake mówi. Potem jednak pokręcił głową.

- Odzyskanie pamięci nie wpływa na zmianę mojej decyzji.

Mówiłem ci, tylko ja mogę wgrać i uruchomić program.

- Zrozum, Koalicja nas nie szukała, bo miała ciebie. Nie jesteś nam nic winien. To my ci zawdzięczamy nasze życie. I czas najwyższy, abyśmy przejęli od ciebie pałeczkę.

- Jake...

- Przykro mi, ale dobrze wiesz, że nie lubię przegrywać.

Jake odwrócił się, jakby chciał odejść, po czym szybko, zanim Gideon zdążył zorientować się, co zamierza, wykonał zamach. Gideon, trafiony w szczękę, zatoczył się i uderzył głową w drzewo. Gałęzie zawirowały mu przed oczami, ziemia uniosła się i znów spowiała go mleczna mgła.

Brooke stała na tarasie. Mimo świeżącego na niebie słońca nogi miała zdrętwiałe z zimna. W dodatku bolały ją plecy. Dwadzieścia minut temu Lansky przyniósł jej kawę, żeby się rozgrzała. Nie wypila nawet łyka. Nie miała ochoty przysunąć kubka do ust. Bała się choć na moment oderwać oczy od drzew porastających dół zbocza.

Jake odnajdzie Gideona, powtarzała w myślach. Odnajdzie go i powstrzyma. Jeżeli ktokolwiek może przemówić mu do rozsądku, to tylko brat. Mają te same geny, podobną inteligencję. Jake nie pozwoli Gideonowi narażać życia.

- Kochany, wróć. Wróć do mnie.

Tyle razy powtarzała te słowa i tyle razy wyobrażała sobie, jak spomiędzy drzew wyłania się cień, że w pierwszej chwili nie zorientowała się, co się dzieje. Wstrzymała oddech, po czym podbiegła do balustrady.

Tak, spomiędzy drzew wyszedł człowiek i skierował się pod górę, w stronę domu. Był zbyt daleko, by mogła dojrzeć jego rysy, ale instynktownie czuła, że to on. Kubek wypadł jej z ręki i roztrzaskał się o kamienną posadzkę. Nie zwracając na to uwagi, Brooke wspięła się na balustradę.

- Gideon!

Wiatr zniósł jej głos w przeciwnym kierunku.

Spostrzegłszy prowadzącą w dół ścieżkę, dziewczyna rzuciła się przed siebie. Kilka razy poślizgnęła się na kamkach i mokrym mchu, ale nie zwolniła. Serce waliło jej tak mocno, że nie była w stanie oddychać. Nagle wyrósł przed nią rozłożysty krzak. Straciła Gideona z oczu. Przez moment wahała się: czy to naprawdę był on, czy może wyobraźnia splatała jej figla.

Obiegła krzak i znów go ujrzała. Długie rozpuszczone włosy powiewały na wietrze. Na skroni miał zaschniętą krew, na brodzie siną opuchliznę. Szedł z zaciśniętą gniewnie szczęką, z dłońmi zwiniętymi w pięści.

Brooke zatrzymała się. Wyglądał inaczej, lżej, jakby znikł ciężący na nim mrok. Przez chwilę nie była pewna, o co chodzi. Potem uznała, że to kwestia słońca. Po raz pierwszy widziała Gideona w świetle dnia.

- Gideon?

Rozpostarł ramiona. Już nie próbowała tłumić łez. Biegła ile tchu. Dopiero gdy znalazła się w jego objęciach, odetchnęła głęboko.

- Co się stało? Krew...

- Nic mi nie jest, Brooke. - Wtulił twarz w jej włosy. - Jesteś taka piękna w świetle dnia. W naszym domu będziemy mieli mnóstwo okien.

- W naszym domu?

Pocałowałszy Brooke lekko w usta, objął ją i ruszył ścieżką pod górę.

- Tak, zamieszkamy w pięknym domu, ale najpierw musimy się pobrać.

- Pobrać?

Z wrażenia potknęła się. Pewnie upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

- Tak chyba robią ludzie, którzy się kochają i pragną mieć dzieci.

Tylko Gideon mógłby się w ten sposób oświadczyć.

Przygryzając wargę, by nie wybuchnąć śmiechem, skinęła głową.

- To prawda.

- Jake dał mi szansę na nowe życie; nie zamierzam jej zmarnować.

Brooke obejrzała się za siebie.

- No właśnie, a gdzie on jest? Znalazł cię?

- Owszem, znalazł. Potem ciosem w szczękę pozbawił mnie przytomności i zajął moje miejsce.

- Co takiego? - zdumiała się.

- Udał się do podziemnego laboratorium, żeby dokończyć moje dzieło. Muszę ostrzec jego ludzi... Cholera, co za uparty osioł!

Gdybym go tak bardzo nie kochał, chętnie bym mu skręcił kark.

Brooke chwyciła Gideona za płaszcz i przyjrzała mu się badawczo. To nie promienie słońca wyparły z niego mrok. Blask w oczach był wynikiem zmiany, jaka dokonała się wewnątrz, w psychice.

- Gideon, coś jeszcze się tam wydarzyło. Widzę to w twoim spojrzeniu. Czy...

- Odzyskałem pamięć, Brooke. Wszystko pamiętam. Moje dzieciństwo, moją rodzinę, siebie. - Uśmiechnął się. - Nareszcie wiem, kim jestem.

Wytarła łzy, żeby go wyraźniej widzieć. Z jego twarzy znikł wyraz smutku i osamotnienia; pojawił się spokój.

- A więc kim jesteś? - zapytała, przykładając palce do posiniaczonej szczęki.

- Człowiekiem obdarzonym rodziną i miłością. Człowiekiem, którego czeka wspaniała przyszłość. - Na moment zamilkł. - Miłość potrafi wydobyć nas z otchłani piekieł i sprawić, żeby chciało nam się żyć.